

GRZEGORZ GÓRNY:
PONTYFIKAT FRANCISZKA
TO REWOLUCJA. CZY DOBRA?

PIOTR SEMKA O KULISACH
LEGENDARNEGO PROGRAMU „REFLEX".
FRAGMENT WAŻNEJ KSIĄŻKI

PYZA I WIKŁO:
JAK ZATRZYMALIŚMY
IMIGRANCKĄ MAFIĘ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 10 (328) 2019
11–17 marca
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

DR PIOTR GONTARCZYK UJAWNIA

SKANDAL

ZŁAPANI NA KŁAMSTWIE

TAK MANIPULUJĄ HISTORIĄ

W GETCIE W BOCHNI NIEMCOM POMAGALI W ZBRODNI POLICJANCI ŻYDOWSCY – W KSIĄŻCE „DALEJ JEST NOC..." PODMIENIONO ICH NA „POLSKICH"!

PROF. JAN GRABOWSKI I BARBARA ENGELKING, AUTORZY KSIĄŻKI „DALEJ JEST NOC..."

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

Telewizja na start nawet

6 MIESIĘCY BEZ OPŁAT



Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z minimalnym zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Liga Sprawiedliwości" © Warner Bros. „Ucieczka z Dannemory" © Home Box Office, Inc. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl 2c3010439d

Bilet, praca, szczęście

Kolejne sondaże pokazują, że opozycja skupiona pod szyldem Koalicji Europejskiej depcze Zjednoczonej Prawicy po piętach. Przewaga obozu rządzącego jest niewielka, na granicy błędu statystycznego. Zapowiada się także wysoka frekwencja – zarówno w maju, jak i jesienią. Aż do końca możliwy więc będzie każdy scenariusz, a o losach Polski może zdecydować jeden błąd którejś ze stron.

By mieć szansę na samodzielne rządy, Prawo i Sprawiedliwość potrzebuje 43–44 proc. poparcia. To poziom, który formacja Jarosława Kaczyńskiego notuje dziś w niektórych badaniach uwzględniających wyłącznie zdecydowanych wyborców. Jeśli więc uda się przekonać przynajmniej połowę wyborców niezdecydowanych, PiS może potwierdzić swój mandat do rządzenia. Należy pamiętać, że proporcjonalne rozłożenie się głosów wyborców chwiejnych pomiędzy wszystkie partie wcale nie jest oczywiste; w 2011 r. Platforma zdołała na tyle przestraszyć tę grupę, że niemal w całości poparła Donalda Tuska. To dlatego być może najważniejszym frontem obecnej kampanii jest ten związany z atmosferą w kraju.

Siły III RP od dawna dążą do nakręcenia emocji, do zmęczenia Polaków. Z tego właśnie powodu PiS nie podejmuje nawet tych działań, które w oczywisty sposób są konieczne, ale które mogłyby się stać zapalnikiem wielkiej awantury. Sztuczny kampanijny letarg w sferze przebudowy państwa nie powinien być jednak traktowany jako coś trwałego. To po prostu wniosek wyciągnięty z tego, co zdarzyło się w roku 2007. Ów letarg powinien być jednak dobrze zbalansowany, bo np. brak adekwatnej odpowiedzi na śmiertelnie groźną ofensywę lewicy w sprawie seksualizacji dzieci i promocji postulatów mniejszości seksualnych może się okazać bezcennym prezentem dla konkurencyjnej listy prawicy, złożonej z narodowców i Korwina.

Jeśli PiS nie uda się zdobyć samodzielnej większości, będzie myślało o budowie prawicowej koalicji. Najbardziej sensownym – co nie znaczy, że łatwym lub przyjemnym – partnerem jest oczywiście Kukiz'15. Ugrupowanie to walczy obecnie o przeżycie z Wiosną Roberta Biedronia. Mimo radykalnych różnic światopoglądowych są to bowiem dość podobne elektoraty, wyróżniające się pragnieniem głębokiej zmiany i swego rodzaju gniewem wobec status quo. Na szczęście dla prawicy wydaje się, że Biedroń nie wykorzystał swojej szansy i może nawet nie dostać się do parlamentu. Nie udało mu się bowiem wejść na tak wysoki poziom, by stać się niezbędnym elementem opozycyjnej układanki. Słaby Biedroń będzie zaś konsekwentnie „wygaszany", by wzmocnić szanse głównego bloku opozycyjnego.

Obóz rządzący staje przed bardzo trudnym zadaniem, być może na granicy tego, co możliwe. Ważne jednak, że wykupił bilet. Pierwszy ruszył z kampanią, przedstawił też propozycje, które już stały się osią debaty. Jeśli nie odda prowadzenia i zdoła wypracować wyraźną przewagę nad zjednoczoną konkurencją, może doprowadzić do dekompozycji tej konstrukcji. Bo choć nienawiść jest w polityce skutecznym lepiszczem, to jego trwałość zawsze ogranicza zimna kalkulacja.

Jacek Karnowski



SIECI spis treści



32 *Z Tomaszem Porębą rozmawia Jacek Karnowski*



40 Imigrancka ciuciubabka *Marek Pyza, Marcin Wikło*



44 Z Sofią Ennaoui *rozmawia Dorota Łosiewicz*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TRANS MISIA NA ŻYWO**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **NOWA EDYCJA „NOCNEJ ZMIANY”**
Jan Pietrzak

15 **CO WOLNO CYTOWAĆ**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **TO NIE BYŁO OCZYWISTE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **NAUKOWA MISTYFIKACJA**
Piotr Gontarczyk

KRAJ

28 **KOALICJA WYROLOWANYCH**
Stanisław Janecki

32 **Z TOMASZEM PORĘBĄ**
rozmawia Jacek Karnowski

37 **CZY POLACY CHCĄ WIĘCEJ LGBT?**
Konrad Kołodziejski

40 **IMIGRANCKA CIUCIUBABKA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

44 **Z SOFIĄ ENNAOUI**
rozmawia Dorota Łosiewicz

47 **STAWIĆ CZOŁA ZAGROŻENIOM**
Stanisław Żaryn

50 **TO TUTAJ SIANE JEST ZIARNO…**
Marcin Wikło

SIECI KULTURY

53 **KURIER W AKCJI**
Jolanta Gajda-Zadworna

56 **„KURIER” W STYLU RETRO**
Łukasz Adamski

58 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

59 **MUZYKA WOLNOŚCI**
Adam Ciesielski

60 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

62 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

64 **„CHWILE CISZY” MICHAŁA ŚWIDRA**
Leszek Długosz

OPINIE

66 **TO BYŁ CIERŃ W OKU WAŁĘSY**
Piotr Semka

70 **RYZYKOWNY PROJEKT**
Jan Rokita

74 **ZE STANISŁAWEM PIOTROWICZEM**
rozmawia Ryszard Makowski

HISTORIA

76 **„OCAL NASZEGO TATUSIA”**
Tomasz Plaskota

ŚWIAT

80 **DEMOKRATYZACJA UNII?**
Aleksandra Rybińska

84 **„NOWY PARADYGMAT” W STOLICY APOSTOLSKIEJ**
Grzegorz Górny

GOSPODARKA

86 **DŁUGI ŁAŃCUCH KORZYŚCI**
Forum wGospodarce.pl

NATURA DLA LUDZI

100 **WIOSNA UTAJONA W ZIMIE**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

102 **MOJE SMAKI: MACIEJ MIKOŁAJCZYK**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **CZEGO NIE MÓWIĄ POMNIKI?**
Maciej Pawlicki

106 **BROŃMY NORMALNOŚCI**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **WARUNKI NORMALNOŚCI**
Aleksander Nalaskowski

109 **SZTACHETĄ W SZTAFETĘ**
Wiktor Świetlik

110 **ZNP TAM, GDZIE STAŁO ZOMO**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **KONTO W SŁOIKU**
Ryszard Makowski

113 **PAMIĘCI MICHAŁA ŚWIDRA… MALARZA**
Leszek Długosz

114 **SĄD – WŁADCA SŁÓW?**
Katarzyna Zybertowicz

106/0119/F

eprasa.pl 2c3010439d



Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Jesteśmy liderem na rynku gazu ziemnego w Polsce. Poszukujemy i wydobywamy gaz ziemny i ropę naftową w kraju i za granicą. Importujemy i sprzedajemy gaz, w tym LNG. Dywersyfikujemy źródła dostaw.

PGNiG

eprasa.pl 2c3010439d



Sygnalista nadaje

Adam Michnik nie zaskoczył i udzielił wsparcia Koalicji Europejskiej. Uzasadnił to następująco: „Partia Kaczyńskiego powinna być od władzy odsunięta. Mam poczucie, że Polska potrzebuje zmiany polegającej na tym, że PiS – partia Kaczyńskiego, partia deweloperów, przekręciarzy, kłamców, nienawistników – powinna być od władzy odsunięta". W związku z tym znów trzeba przypomnieć wypowiedź Bronisława Wildsteina sprzed kilku tygodni: „30 lat powtarzam tezę, że żyjemy w świecie na opak, odwróconym, gdzie sensy, wartości są postawione na głowie, gdzie dziwki rozpaczają nad upadkiem obyczajów, oszuści wzruszają się tym, że prawda w życiu publicznym nienależycie funkcjonuje, złodzieje są poruszeni faktem, że własność nie jest traktowana poważnie, gdzie nienawistnicy organizują się, by walczyć z nienawiścią".

„Gazeta Wyborcza" ucieszyła się na pierwszej stronie, że taśmy Birgfellnera „ciągną PiS w dół". „PiS oficjalnie lekceważy taśmy Kaczyńskiego, ale w badaniu CBOS 21 proc. wyborców dobrej zmiany stwierdziło, że Jarosław Kaczyński zachował się niewłaściwie, prowadząc biznesowe negocjacje w siedzibie swojej partii" – podaje dziennik. Jeśli to ma być sukces, to jest on wyjątkowo nędzny. Publikacja taśm miała być przecież „najważniejszym dniem w historii PiS". Inna sprawa, że trudno dociec, czym kierował się CBOS, zlecając takie badanie.

Platforma tak się podekscytowała taśmami Birgfellnera, że postawiła w sejmie tablicę opisującą „układ Kaczyńskiego". Tablicę zabrała straż marszałkowska, więc PO wystawiła nową. Tę z kolei wziął pod pachę Marek Suski i zaniósł do swoich. „Tablica PO to same kłamstwa, jednak działanie Marka Suskiego to nadmierna reakcja na łamanie przez PO prawa" – skomentowała rzecznik PiS Beata Mazurek. Innymi słowy: ktoś chciał nałapać punktów i może nałapał, ale zarazem skutecznie nagłośnił platformerską hucpę. Nie warto tego ciągnąć.

Choćby dlatego, że sprawa odciąga uwagę od piątki Kaczyńskiego. A jest ona na tyle imponująca, że poruszona Monika Olejnik zapytała wprost, choć ironicznie: „Czego chcesz, prezesie, za twe hojne dary?". Cóż, pewnie przede wszystkim wygranej w maju i jesienią, bo jeśli będzie reelekcja, wszystkie inne podarki będą w zasięgu ręki i kontrasygnata TVN może już nie być konieczna.

W PiS wyraźnie panuje przekonanie, że by dojść do celu, trzeba przekraczać granice wcześniej nieprzekraczalne. „My chcemy dać Polakom święty spokój na co dzień, dostatnie życie i wolność życia rodzinnego. Istotnym elementem naszej filozofii i praktyki rządzenia jest doganianie średniej europejskiej w standardzie życia" – ogłosił premier i jest już chyba jasne, jak blisko jesteśmy „ciepłej wody w kranie". Prawicę to frustruje, ale – możemy się pocieszać – opozycję jeszcze bardziej.

Zdaniem Adama Hofmana to będzie trudna kampania, „jeszcze trudniejsza niż kilka tygodni temu, bo pojawił się polski Jobbik, czyli lista prawicowych polityków, która od prawej strony będzie PiS zaczepiać". Konfederacja rzeczywiście pewne szanse na sukces ma, bo tym razem PiS – jeśli chce wygrać – nie może

„Koło Słowiańska na linii rozgraniczenia między terenem kontrolowanym przez Ukrainę a obszarem okupowanym. Ukraińcy kazali ubrać kamizelki kuloodporne" – napisał na Twitterze marszałek **Ryszard Terlecki** *i zamieścił swoje zdjęcia w kasku i z papierosem. Posypały się słuszne porównania do „Rambo", „Psów wojny" i innych klasyków, obrodziło memami. Jeśli to było świadome, to można bić brawo za wyczucie. Jeżeli przypadkowe, trzeba gratulować szczęścia.*

eprasa.pl 2c3010439d

się przesunąć zbyt mocno na prawo. Ale trochę powinno, bo brak reakcji na ofensywę LGBT w Warszawie sprawia wrażenie, że nie broni swoich wyborców ani ich dzieci przed bezpośrednią agresją ideologiczną, choć przecież ma w ręku narzędzia.

Kościół też niestety nie broni. „Jako rodzic dzieci uczących się w Warszawie jestem pozostawiona przez pasterzy Kościoła bez wsparcia" – słusznie zauważyła Kaja Godek. Na pytanie Roberta Winnickiego: „Czy było już jasne, klarowne oświadczenie JE kard. Nycza ws. masowej demoralizacji w Warszawie za pomocą Karty LGBT", rzecznik kurii odpowiedział: „Sprawa jest już rozeznawana w kurii warszawskiej i prawdopodobnie będzie analizowana wspólnie z diecezją warszawsko-praską". Aha.



W obronie normalności stanął za to ***Zbigniew Boniek***. „Zamiast walić w dzieci LGBT, proponuję promocje w PSRP (Park, Sport, Rywalizacja, Przyjaźń)". Brawo! Ale pamiętajmy: lajki w internecie tego nie zatrzymają. Nie wygramy z marksizmem kulturowym, nie wygramy z wrogami normalnego dzieciństwa, jeśli choć trochę się nie ruszymy. Na początku proponujemy wsparcie dla Ruchu 4 Marca, choćby w formie podpisu pod Kartą Wolności (dostępna na www.ruch4marca.pl).



Były premier Kazimierz Marcinkiewicz przerwał milczenie w sprawie swojej Isabel. „Niestety od czterech lat zalewa mnie fala hejtu, szkalowania, kłamstw i pomówień ze strony mojej byłej żony, od której odszedłem sześć lat temu. Myślałem, że z czasem to minie. Niestety była żona stała się moim stalkerem. […] Ukazało się kilkaset – tak, kilkaset – szkalujących mnie tekstów. Nie ma takiego drugiego przypadku w Polsce, ale chyba też na świecie. Przekroczono wszelkie możliwe granice". Coś w tym jest. Przypomina się film „Fatalne zauroczenie", choć Marcinkiewicz przeszedł chyba jednak więcej niż grany przez Michaela Douglasa główny bohater.



Prof. Paweł Śpiewak błysnął w wywiadzie dla „Polityki" opinią, że „nawet Messi odnotował istnienie Polski", ponieważ stwierdził, że jesteśmy „faszystowskim krajem". Problem w tym, że mem z Messim był zwykłym fejkiem, a argentyński piłkarz nigdy nie wypowiadał się na temat Polski. Ale gdyby nawet się wypowiadał, czy byłby to dowód na cokolwiek? I tak oto koło się zamyka: i dla prostego leminga, i dla profesora socjologii rzeczywistością jest to, co dociera do nas jako „opinia Zachodu", a nie to, co widzą wokół siebie.

Wpadka z Messim to jednak drobnostka. Naprawdę smutno się robi, gdy zapoznamy się z opinią prof. Śpiewaka w sprawie sformułowania „polskie obozy śmierci": „Ja rozumiem, że to jest kwestia uczuć i możemy je szanować, starać się unikać tego określenia, ale robienie z tego sprawy numer jeden nazwałbym histerią. Zresztą walka z »polskimi obozami« to nie jest żadna obrona przed stereotypem. Bo ten powiela się poprzez demonstrowane w części obozu władzy łagodne traktowanie neofaszyzmu. To jest istota rzeczy". Aha.

Podczas zorganizowanej przez fundację From The Depths uroczystości ku czci Polaków ratujących Żydów głos zabrał Władysław Teofil Bartoszewski. „Mój ojciec oceniał, a znał się na tym nie tylko jako praktykujący Sprawiedliwy, lecz i jako historyk, że na przestrzeni całej okupacji niemieckiej pomagało Żydom ok. 300 tys. Polaków. To jest mały procent 20 mln Polaków, którzy żyli w Generalnej Guberni, ale 300 tys. ludzi to nie jest mała liczba, biorąc pod uwagę, jakie za to groziły kary dla Sprawiedliwych i ich rodzin. Ja bym tego tak nie odrzucał lekką ręką" – powiedział. I jest to bardzo ważna deklaracja, zasługująca na odnotowanie, bo wciąż krążą liczby kilkukrotnie niższe.

Na łamach „Rzeczpospolitej" opublikowano żartobliwy tekst Jakuba Bierzyńskiego, prezesa domu mediowego. A w nim takie kwiatki: „Prześladowanie prawicowych wydatków to mit. Mit, którym karmią się od lat, ukrywając własną bierność i niekompetencję. Bo prawda jest taka, że nigdy nie próbowali nawet zabiegać o pieniądze swoich potencjalnych klientów". Dobre. Możemy okazać e-maile od dużych firm, szeroko się reklamujących, zakończone zdaniem: „I już do nas nie piszcie, bo nie damy wam żadnej reklamy". Kto chciał, ten widział także wielką ogólnopolską kampanię banku zmieniającego nazwę, która media konserwatywne starannie ominęła. Bierzyński albo świadomie kłamie, albo naprawdę jest nierozgarnięty, co tłumaczyłoby i klęskę Petru, i widoczną już na horyzoncie klapę Biedronia.

Tak naprawdę tekst Bierzyńskiego ma jednak na celu zastraszenie instytucji publicznych, które po 2015 r. zaczęły dostrzegać istnienie mediów innych niż „GW" czy „Polityka". Tekst to w sumie haniebny. Ale jeszcze bardziej haniebne jest to, że coś takiego opublikowała „Rzeczpospolita", która – jak przyznaje to jej naczelny – od dwóch lat nie ma żadnych poważnych problemów z pozyskiwaniem pieniędzy ze spółek skarbu państwa. Żeby było jasne: nie dziwimy się, bo tak naprawdę „Rzepa" zionie większą nienawiścią do PiS niż „GW", tylko nieco bardziej to skrywa.

Fot. Andrzej Wiktor, Dziurek/Shutterstock.com, twitter

eprasa.pl 2c3010439d

Trans misia na żywo



KRZYSZTOF FEUSETTE

Motto: „Jest coś takiego jak sport osób LGBT, wrażliwy na orientację i tożsamość płciową” (Oktawiusz Chrzanowski, stowarzyszenie Miłość Nie Wyklucza, jeden z inicjatorów wprowadzenia w Warszawie Karty LGBT podpisanej przez prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego)

Halo, halo, witam państwa serdecznie z pierwszych Igrzysk Mniejszości Seksualnych w Warszawie! I od razu łączymy się ze stadionem im. Eltona Johna przy ulicy Ciepłego Kowboja, gdzie dosłownie przed sekundą rozpoczął się mecz piłki nożnej. Musimy oczywiście przypomnieć widzom, czym różni się gejowski futbol od tradycyjnego. A więc po pierwsze, aby uniknąć jednoznacznych skojarzeń, zawodników płci męskiej wprowadzają na środek boiska dziewczynki, a zawodniczkom towarzyszą chłopcy. Ponadto tradycyjna wymiana koszulek odbywa się tutaj nie po meczu, ale przed nim i trwa tyle, ile normalna dogrywka, chociaż jest tylko przygrywką. Na boisku – tak jak w futbolu klasycznym – mamy 22 piłkarzy, tworzą oni jednak nie dwie drużyny 11-osobowe, ale 11 drużyn dwuosobowych. Z przyczyn oczywistych nie obejrzą tutaj państwo tzw. gry na zero z tyłu. Wręcz przeciwnie. Nie ma także pozycji „na spalonym”, bo przecież żadna pozycja nie może oznaczać bycia wykluczonym. Czerwoną kartkę można otrzymać wyłącznie po golu – za schowanie piłki pod koszulką, co w tradycyjnym futbolu oznacza, że żona lub partnerka piłkarza jest w ciąży. Trwają prace nad tym, jak przekazać kibicom, że strzelec gola stara się z partnerem o adopcję.

Ale oto mamy już, jak słyszę, połączenie z Wackiem, który jest na miejscu. Halo, Wacek, oddaję ci głos. Halo, Misiu, dziękuję ci bardzo. A zatem witam państwa serdecznie z samego jądra Eltona, to znaczy stadionu im. Eltona Johna, na którym spotka się dziś 11 klubów finansowanych przez Miasto Stołeczne Warszawa. I oto wchodzą już na boisko w towarzystwie dziewczynek z przedszkola Biedroński: Ochota Juniors, Boa Wiśta Natolin, Tęcza Stara Miłosna, Śliczni Śródmieście, Young Boys Bródno, Bajer Bemowo, Aktywni Praga, Konczita Mokotów, Klata Włochy, Wilanów Genders oraz gościnnie Dynamo Brokeback Mountain. Pierwszy gwizdek i już suną lewym skrzydłem zawodnicy w różowych koszulkach oraz tęczowych spodenkach! Och, jaka wspaniała parada bramkarza, który w fioletowym boa niedbale narzuconym na złoty trykot rozpoczyna przemarsz wokół boiska z transparentem „Nikomu nie bronię”. Jak widzimy, część zawodników wymieniła się już koszulkami i schodzi do szatni, by poprawić makijaż. Pozostali klepią się po ramionach, niektórzy siedli na murawie i płaczą, a przecież mecz nawet się jeszcze nie rozpoczął.

Wrócimy tu jeszcze, ale teraz oddaję głos naszym komentatorom w hali sportowej im. Ofiar Kościoła, gdzie za chwilę pierwszy gwizdek w meczu inaugurującym rozgrywki koszykówki. Halo, Misiu, oddaję ci głos. Halo, Wacku, dziękuję ci bardzo. A zatem przypomnijmy różnice. W homobaskecie nie rzuca się do kosza, ale po prostu daje go partnerowi, rzucając nie piłkę, ale jego samego – za trzy punkty, jeśli porzucenie odbywa się z daleka. Pytają państwo w e-mailach, co z wsadami do kosza. Wyjaśniamy: w tej odmianie koszykówki traktowane jest to jako faul. Za niezgodne z duchem gejowskiego sportu uznano także zakładanie przeciwnikowi tzw. czapy, które mierzwiło fryzurę. Za chwilę przeniesiemy się jednak na zawody w leciutkiej atletyczce, bo tam trwają już rozgrzewki przed finałami skoku na tyczkę, pchnięcia dyskiem oraz sztafety cztery razy po dwa razy. Najpierw jednak szybciutka relacja z zapasów. Nie mają one, rzecz jasna, nic wspólnego z tym okropnym, starogreckim rzucaniem się mężczyzny na mężczyznę w celu zwalenia go z nóg. Tutaj zawodnicy robią wszystko wspólnie. Właśnie widzimy, jak kończą notatki, z którymi za chwilę ruszą do drogerii, by zrobić zapasy na czarną godzinę. Po nich w szranki staną przedstawiciele nowej, ale jakże pięknej dyscypliny – drużynowego sumo na lodzie, lubianego szczególnie przez panie, które wcześniej były panami.

A my już pędzimy z naszą, nomen omen, trans-misją na stadion rugby, na którym od kilku godzin trwa przedmeczowy taniec bojowy drużyny Naprzód Chałupy. Wszyscy mamy w pamięci groźne, pełne pokrzykiwań i walenia się po udach układy choreograficzne rugbistów Nowej Zelandii na igrzyskach olimpijskich. Tu jest podobnie, tyle że układ pochodzi z „Jeziora łabędziego”. Proszę tylko spojrzeć, jak oni są zmotywowani, jak przygotowani kondycyjnie. Najciekawsze przyłożenia pokażemy państwu zaraz po relacji z ringu bokserskiego, na którym niebawem rozpocznie się druga runda pokazu bokserek męskich w kolorach lila oraz indygo. Mamy tu swojego zawodnika i trzeba powiedzieć, że Rafał Rafalala ma już pewne doświadczenie, chociaż ostatnio w Mediolanie dostał lanie, a w Paryżu miał ból w krzyżu. Ale oto widzimy już światowe gwiazdy tej dyscypliny. W lewym narożniku i tęczowym szlafroku Jack Monday, w prawym narożniku i różowej podomce Pablo Rabiejos. Zawodnicy przechodzą między linami... Oj, boa się zaplątało Mondayowi i już leży na deskach! Tymczasem Rabiejos jest liczony... Pięć, sześć, siedem... Siedem grochów na bokserkach, a więc jednak Monday, który ma ich osiem! Trenerzy rzucają ręczniki, wygląda na to, że czas na prysznic! A cóż jeszcze dzisiaj przed nami? Fryzjerstwo szybkie, fryzjerstwo figurowe, podpływanie synchroniczne oraz akrobacje na drążku. Nad ranem zaś bobsleje plażowe i to, na co wszyscy czekamy – kolarski wyścig tandemów bez trzymanki. Emocje gwarantowane.

eprasa.pl 2c3010439d

107/0119/F

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



Ruszając w drogę z AC z opcją Auto Non Stop w PZU masz komfort, jaki daje sprawna pomoc i auto zastępcze na cały okres naprawy.

Teraz nowość! Zarejestruj się na portalu moje.pzu.pl i korzystaj z obsługi online.

Umów się z agentem 801 102 102 pzu.pl
Opłata zgodna z taryfą operatora

Informacje o zakresie ubezpieczenia i ograniczeniach odpowiedzialności PZU SA są zawarte w ogólnych warunkach ubezpieczenia PZU Auto dostępnych w Oddziałach PZU i na stronie pzu.pl

eprasa.pl 2c3010439d



20 lat w NATO

Trwają obchody „NATO Week". Gwoździem programu okazał się pokaz walczących pododdziałów przygotowany przez żołnierzy 15. Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej oraz żołnierzy z USA, Wielkiej Brytanii, Rumunii i Chorwacji tworzących Wielonarodową Batalionową Grupę Bojową NATO. Wszystko to z okazji 20. rocznicy przystąpienia Polski do Paktu Północnoatlantyckiego. Podczas pokazowych manewrów zaprezentowano sprzęt bojowy 15. Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej i współpracujących z nią natowskich jednostek. Na błotnistym poligonie w Orzyszu załogi czołgów PT-91, Leopardów II i amerykańskich Abramsów pokazywały, co potrafią. Wspierały je haubice samobieżne Rak, a także chorwacka artyleria Volcano. Nie zabrakło również desantu z wykorzystaniem polskich śmigłowców Mi-17 i Mi-24.

Co pokazały nam te manewry? Otóż to, że jeszcze długo nie będziemy sami w stanie obronić się przed ewentualnym atakiem ze Wschodu. Dlatego wstąpienie do NATO było pierwszym poważnym krokiem na drodze do bezpieczeństwa i samostanowienia naszego kraju. Gdyby w pierwszej połowie lat 90. weszły w życie koncepcje byłego prezydenta Lecha Wałęsy, tzw. NATO-bis, nigdy byśmy nie wyszli spod sowieckiej, a następnie rosyjskiej strefy wpływu. Niestety czas, który zyskaliśmy, wstępując do Sojuszu, został częściowo zaprzepaszczony przez poprzednie ekipy rządzących, głównie PO-PSL. To właśnie oni żyli w mirażu dobrych stosunków ze wschodnim sąsiadem. Niewiele inwestowali w siły zbrojne, jednocześnie pozwalając na wyprowadzanie setek miliardów z afery VAT i innych. Sumy te były tak potężne, że wystarczyłyby na pełne, nowoczesne wyposażenie naszej armii, zdolnej powstrzymać rosyjską agresję przez kilka miesięcy.

Kwintesencją tej nieodpowiedzialnej polityki była tzw. Biała Księga Bezpieczeństwa Narodowego RP opracowana przez szefa BBN gen. Stanisława Kozieja pod auspicjami prezydenta Bronisława Komorowskiego. Stwierdzono w niej, że ze strony Rosji nie grozi wszczęcie konfliktu zbrojnego, co najwyżej presja ekonomiczna. Kilka miesięcy później wybuchła wojna na Ukrainie, która trwa do dziś.

Obecna ekipa rządząca zmieniła wektor polityki obronnej. Dlatego 20-lecie przystąpienia Polski do NATO jest tak ważną rocznicą.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Marek Malszewski/REPORTER

USA

Rasista John Wayne

Ech, te lotniska! Nadają im imiona bez żadnej refleksji. Czy oni nie wiedzą, że istnieje coś takiego jak mądrość etapu? W starożytnym Rzymie zmieniano głowy na pomnikach. W postnowoczesnym świecie byłby to problem. Normy poprawności politycznej pędzą jak tęczowy Struś Pędziwiatr i zmiana głów musiałaby następować co kilka tygodni.

Będzie trzeba zmienić imię lotniska w kalifornijskim Orange County. Domaga się tego wpływowy felietonista „LA Times" Michael Hiltzik. Lotnisko nosi imię aktora Johna Wayne'a. Największa obok Clinta Eastwooda ikona westernu miała poglądy zdecydowanie prawicowe. O ile Clint Eastwood to libertarianin, który obok progresywnych poglądów na kwestie obyczajowe (popiera małżeństwa gejowskie i aborcję) walczy z politpoprawnością i lewicowymi nowinkami w gospodarce, o tyle Wayne zawsze był w stu procentach konserwatywny. Aktor stanął u boku Richarda Nixona, gdy ten przegrywał z ulubieńcem Hollywood Johnem F. Kennedym. Popierał też wojnę w Wietnamie, gdy całe jego środowisko ją potępiało. A gdy Jane Fonda fotografowała się z komunistycznym Vietcongiem obok tzw. Hanoi Hilton, gdzie przetrzymywano amerykańskich jeńców, on nakręcił „Zielone berety" – prorządowy film o Wietnamie.

Publicysta „LA Times" wygrzebał wywiad Wayne'a dla „Playboya" sprzed prawie 50 lat, gdzie zdobywca Oscara za „Prawdziwe męstwo" miał obrazić „gejów, Afroamerykanów, rdzennych Amerykanów, młodzież i liberałów". Wayne po wyśmianiu młodzieży za poparcie socjalizmu („Oni by chcieli na każdy posiłek jeść lody i ciastka. Ale z tego się wyrasta") powiedział, że rozumie rozgoryczenie czarnych Amerykanów, którzy mają wiele racji. Dodał jednak, że nie można przed nimi „padać na kolana i wywracać nagle zastany porządek, oddając im władzę".

„Wierzę w supremację białych, dopóki czarni nie będą na tyle wyedukowani, by móc brać na siebie odpowiedzialność rządów. Nie wierzę w przyznawanie władzy nieodpowiedzialnym ludziom" – powiedział. Dodał też, że „Indianie samolubnie nie chcieli dzielić się ziemią z tymi, którzy jej potrzebowali". Wayne nazwał również kultowy dziś film Johna Schlesingera „Nocny kowboj" z wielkimi rolami Johna Voighta i Dustina Hoffmana „wulgarnym", a dwóch głównych bohaterów – „pedziami".

Słowa te nie wzbudziły wówczas wielkich emocji. Dziś szokują. Czy jednak na tyle, by zmienić głowę pomnikowi? Jeżeli tak, to przygotujmy się na zburzenie posągów Ojców Założycieli USA, którzy mieli niewolników i nie walczyli o przywileje dla środowisk LGBT.

Łukasz Adamski

Tadżykistan

Wejście smoka

Zaostrzająca się w ostatnim czasie rywalizacja chińsko-amerykańska odsunęła w cień coraz większą aktywność Pekinu w Azji Środkowej. Według doniesień amerykańskich i indyjskich mediów Chińczycy założyli niedawno bazę wojskową w należącym do Tadżykistanu Górnym Badachszanie. Baza znajduje się w strategicznym miejscu, na wąskim skrawku tadżyckiego terytorium, wciśniętym pomiędzy Chiny a Afganistan. Placówka ma być wyposażona w lądowiska dla helikopterów, a jej rozmiary wskazują, że może w niej przebywać niewielki oddział – najwyżej w sile batalionu – uzbrojony w pojazdy opancerzone. Prawdopodobnie głównym powodem założenia bazy jest zatrzymanie nielegalnego przepływu ludzi pomiędzy Afganistanem a Sinkiangiem – autonomicznym regionem Chin zamieszkanym głównie przez muzułmanów. Tadżykistan zaprzecza informacjom o obecności chińskich żołnierzy na jego terytorium, a Pekin milczy w tej sprawie, jednak ujawnione przez media zdjęcia satelitarne potwierdzają istnienie bazy.

Założenie chińskiej bazy wojskowej w Tadżykistanie jest szczególnym wydarzeniem, po raz pierwszy bowiem Pekin zdecydował się na stałą obecność militarną na obszarze uznawanym przez Rosję za swoją strefę wpływów. Tadżykistan do 1991 r. wchodził w skład ZSRR, a Rosja kontroluje ten kraj od drugiej połowy XIX stulecia. Również dziś stacjonują tam oddziały rosyjskiej 201. dywizji zmechanizowanej, a republika pozostaje w sojuszu wojskowym z Moskwą. Jednocześnie jednak w 2016 r. Tadżykistan zawarł porozumienie dotyczące współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa i zwalczania terroryzmu z Chinami, Pakistanem i Afganistanem.

Rosja nie reaguje oficjalnie na informacje o chińskiej aktywności w Tadżykistanie, powstrzymuje się też od odpowiedzi na jakiekolwiek inne przejawy rosnącej ekspansji politycznej Chin. Pekin odbiera to jako oznakę słabości Moskwy i pozwala sobie na coraz większe afronty. Ostatnio „Niezawisimaja Gazieta" opublikowała artykuł o słabnącej kondycji chińskiej gospodarki. Artykuł wzbudził gniew attaché prasowego ambasady chińskiej w Moskwie, który w liście do autorki – zwracając się do niej lekceważąco per ty – zażądał kategorycznie, aby wycofała swój tekst, bo w przeciwnym razie „znajdzie się na czarnej liście i nie zostanie wpuszczona do Chin".

Redaktor naczelny gazety, komentując zachowanie chińskiej ambasady, zapytał, czy Pekin nie zgłosi pewnego dnia pretensji do Syberii i rosyjskiej Arktyki. W świetle informacji napływających z Tadżykistanu to pytanie nie wydaje się retoryczne.

Konrad Kołodziejski



Fot. Meeh/Shutterstock.com

eprasa.pl 2c3010439d

Francja

Kapiszon Macrona?



Prezydent Francji Emmanuel Macron znów snuje wielkie plany reformy Unii Europejskiej. Po słynnym przemówieniu na Sorbonie w 2017 r., które odbiło się wprawdzie szerokim echem w mediach, ale nie pociągnęło za sobą żadnych konkretnych działań, francuski prezydent po raz kolejny usiłuje się ustawić w roli obrońcy liberalnego porządku w Europie. Jak złośliwie zauważa publicysta „Bloomberga" Leonid Bershidsky, Macronowi słabo wychodzi przemeblowywanie Francji, więc przekierował swoje „napoleońskie ambicje" na plan europejski. A są one zdaniem Bershidsky'ego „znacznie przerośnięte".

Chodzi oczywiście o apel Macrona, który jest jednocześnie programem jego partii La Republique en Marche na wybory europejskie. Został on opublikowany w miniony wtorek w gazetach wszystkich 28 państw członkowskich. Prezydent Francji pisze w nim o ratowaniu Europy przed nacjonalizmem i oskarża zwolenników brexitu o kłamstwo oraz brak odpowiedzialności. W skrócie: Europa stoi nad przepaścią i zwolennicy pogłębienia integracji mają już niewiele czasu, by ją uratować.

Rozwiązania, które Macron proponuje, są typowo francuskie. Masz problem? To stwórz agencję rządową (Francja ma ich ponad tysiąc). Prezydent Francji proponuje stworzenie na poziomie unijnym m.in. Agencji Ochrony Demokracji, agencji azylowej, agencji ds. bezpieczeństwa, kontroli jakości żywności itd. Niektórzy, szczególnie liberalne media, są zachwyceni. Inni mniej. Reakcja Berlina wypadła chłodno. Niemcy cenią pomysły Macrona, ale tylko te niewiążące.

Część tytułów prasowych za Odrą przejechała się walcem po francuskim prezydencie. Dziennik „Die Welt", w którym Macron opublikował swój apel, zarzucił mu próbę forsowania własnych, egoistycznych interesów pod płaszczykiem haseł o europejskich wartościach. „Bez względu na to, jak bardzo Macron chciałby uchodzić za liberała, to i tak zawsze okaże się, że najbardziej liczy się dla niego państwo oraz pełnia władzy" – twierdzi niemiecka gazeta. I wzywa Berlin do tego, by przejął rolę liberalnej przeciwwagi do etatystycznej i protekcjonistycznej Francji. „Macron potrzebuje jednego, być może nawet wielu rywali" – pisze „Die Welt". Bershidsky zaś zarzuca prezydentowi Francji, że zgłaszając takie postulaty, pomaga przeciwnikom dalszej integracji UE. „Europa potrzebuje więcej demokracji i przejrzystości, a nie więcej biurokracji. Jeśli tak ma wyglądać więcej Europy, to rzeczywiście może byłoby lepiej, gdyby tej Europy było mniej" – czytamy w jego komentarzu.

Aleksandra Rybińska

Węgry

Fidesz na rozdrożu

Waży się przyszłość Fideszu w Europejskiej Partii Ludowej. Węgierskie ugrupowanie do międzynarodówki chadeckiej należy od 2000 r., a Viktor Orbán był nawet jego przewodniczącym. Jednak od tamtego czasu EPL przesunęła się mocno na lewo, a Fidesz – przeciwnie – na prawo. Obu formacjom zaczęło więc być nie po drodze – np. w sprawie kryzysu imigracyjnego wywołanego przez niemiecką CDU – ale jakoś dotąd znosiły się nawzajem. Eurochadekom zależało na węgierskich mandatach w europarlamencie, Orbán zaś korzystał z ich parasola ochronnego w trakcie swych licznych konfliktów z Brukselą. W zeszłym roku na Kongresie EPL w Helsinkach pojawiły się wprawdzie pojedyncze głosy, by wyrzucić Fidesz, ale wtedy sprawa rozeszła się po kościach.

Teraz żądania tego typu zaczynają się nasilać. Usunięcia Madziarów lub zawieszenia ich członkostwa domaga się 12 partii z dziewięciu krajów skupionych w EPL. Głównym powodem jest prowadzona na Węgrzech kampania społeczna protestująca przeciw polityce imigracyjnej Brukseli. Jednym z jej elementów jest akcja billboardowa z podobiznami dwóch „czarnych charakterów": George'a Sorosa i Jeana-Claude'a Junckera, przewodniczącego Komisji Europejskiej, a zarazem członka EPL. Akcja stanowiąca część kampanii przed wyborami do europarlamentu została odebrana przez niektórych chadeków jako tworzenie rozłamu we własnych szeregach. Zdaniem przewodniczącego EPL Josepha Daula premier Węgier przekroczył cienką czerwoną linię. Decyzja o losie Fideszu ma zostać podjęta 20 marca.

Działacze tej partii zapowiadają, że billboardy z Junckerem znikną zgodnie z planem 15 marca, ale zastąpią je billboardy z Timmermansem. Orbán nie spuszcza z tonu, ponieważ ma duże pole manewru. Wszystko wskazuje na to, że po majowych wyborach, które przyniosą spore przemeblowanie w europarlamencie, to pole stanie się jeszcze większe. Ze swoim programem i pozycją w Europie ma on szansę skupić wokół siebie nową konstelację polityczną. Groźby wyrzucenia za bardzo go więc nie przerażają.

Grzegorz Górny

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

eprasa.pl 2c3010439d

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nowa edycja „nocnej zmiany”



Jan Pietrzak

Jakiś czas temu w rozmowie z panem Rachoniem (TVP Info) zwróciłem uwagę na daleko idącą zbieżność kręgu politycznego znanego pod nazwą „nocnej zmiany” (rok 1992) z personalnym składem montowanej właśnie Koalicji Europejskiej. Warto nad tym zjawiskiem głębiej się pochylić.

I cóż my widzimy, proszę wycieczki? Że uczestnicy tamtej zmowy: Tusk, Pawlak, Wałęsa, Niesiołowski, reprezentowani są obecnie przez młodszych mutantów, bo jednak trochę lat przeleciało, ale problem mają ten sam – za wszelką cenę odebrać władzę ludziom związanym z odsuniętym wtedy śp. premierem Olszewskim, z jego wizją niepodległej Polski. Podobnie też ustawione są dramatis personae. Z jednej strony ideowi twórcy uczciwej, przyzwoitej Rzeczypospolitej, o jaką walczyły pokolenia bohaterów, z drugiej zbieranina hałaśliwych partyjek, mających mnóstwo pomysłów, jak Polsce szkodzić, jak okradać, jak zdradzać, jak kompromitować... Z jednej strony program wytężonej pracy nad Polską naszych marzeń, z drugiej plan destrukcji narodowej świadomości, a w ślad za nią finansów, armii, gospodarki... itd.

I znowu przychodzi mi zacytować Adama Czartoryskiego sprzed dwóch stuleci: „W ciągu całego mego życia widziałem w naszym kraju tylko dwie partie, partię polską i antypolską, ludzi godnych i ludzi bez sumienia, tych, którzy pragną ojczyzny wolnej i niepodległej, i tych, którzy woleli upadlające, obce panowanie”. Taki klarowny obraz mamy właśnie na tapecie bieżącego roku. Partia ludzi godnych, pragnących ojczyzny niepodległej, nazywa się Prawo i Sprawiedliwość. Partia ludzi, którzy wolą obce panowanie: PO, SLD, Wałęsa, PSL, LGBT, kasta, Zieloni, KOD, Ubywatele, Nowoczesna, Teraz, „Newsweek”, „Fakt”, Tusk...

Obce panowanie przejawia się na różne sposoby. Jak np. ostatnio narzucony warszawskiej oświacie projekt wychowania seksualnego od najmłodszych lat. Ta obłędna rewolucja nie wynika z przemian kulturowych naszego społeczeństwa, z naturalnej ewolucji obyczajów. Jest akcją wrogów. Jeszcze nie pozamiataliśmy Polski do końca po idiotyzmach komuny, już nam ktoś wpycha kolejne szaleństwa mające niszczyć nasze obyczaje, tożsamość, wiarę, wrażliwość, aspiracje... To partia antypolska, „nocna zmiana”.

Z pasji i miłości

Z aktorką Anną Karczmarczyk rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Od premiery głośnych „Galerianek” minęło...

Anna Karczmarczyk: ...dziesięć lat.

Tamta nastolatka, nagrodzona m.in. za debiut na festiwalu w Koszalinie, wiedziała, że chce być aktorką?

Miałam 16 lat, kiedy realizowane były zdjęcia, ale przed kamerą stanęłam pierwszy raz jako siedmiolatka. Statystowałam, grałam mniejsze role. W sumie dla zabawy, chociaż to, że chcę być aktorką, wiedziałam od zawsze. Po „Galeriankach” postanowiłam, że pasja stanie się zawodem, i złożyłam papiery do Akademii Teatralnej.

Można powiedzieć, że poszła pani „za marzeniami”?

Nie wyobrażam sobie siebie w żadnym innym miejscu. Zawód powinno się uprawiać z pasji i miłości.

Nie żal pani lekarskiego stażu w Leśnej Górze?

To były fantastyczne lata ze wspaniałą ekipą „Na dobre i na złe”. Moja bohaterka Ola przeżyła wiele, zarówno tragicznych, jak i cudownych chwil, ale trzy lata to dużo. Trzeba było pójść dalej.

Do serialu „Za marzenia” i nowej bohaterki? Co u niej słychać?

Ania szuka swojej drogi. W drugim sezonie okazuje się, że studiowała prawo i sprawiało jej to frajdę, tylko przez relacje z ojcem nie potrafiła się odnaleźć w tej sytuacji. Została charakteryzatorką i spełniała się w tym, jednak teraz pojawia się dylemat: kim chcę być za pięć lat, gdzie chcę siebie widzieć?

A pani gdzie chce być za pięć–dziesięć lat?

W marzeniach? Będę grała we włoskim kinie, będę robiła film za filmem i będę miała cudowną, szczęśliwą rodzinę.

Fot. TRICOLORS/EAST NEWS

Co wolno cytować



Bronisław Wildstein

Sprawa nie jest najświeższa ani specjalnie ważna, a jednak ciekawa jako obraz zbiorowych mechanizmów i świadomości elit III RP. To list do Jarosława Kaczyńskiego skierowany przez gildię reżyserów polskich, którego sygnatariusze domagają się od adresata przeproszenia Agnieszki Holland za... zacytowanie jej słów. Chodzi o sławne już wiecowe sformułowanie: „aby było, jak było".

Na początku dowiadujemy się, że Kaczyński użył wypowiedzi w niewłaściwym kontekście, co stanowi „kłamliwy obraz rzeczywistości". Dowodem na to ma być fakt, że jej autorka siedziała w więzieniu, a on – nie. Od początku mamy więc do czynienia z klasyczną figurą erystyczną, która zrobiła wielką karierę w III RP, czyli argumentem ad personam. Zamiast analizować racje, dyskredytujemy ich autora. W omawianym liście wzmocnione jest to zestawieniem „małości" osoby, którą chce się unicestwić, z „autorytetem" tego, komu się ona sprzeciwia, co również jest typowe dla postkomunistycznej strategii. Czasami autorytet bywał autentyczny, co w niczym nie usprawiedliwiało owego chwytu, najczęściej kreowany był ad hoc. W liście reżyserów Holland urasta do rangi męczennicy „polskiej wolności i równości", a represje, które ją spotkały, „jak doskonale wiadomo [...], nigdy nie stały się Pańskim [Kaczyńskiego] osobistym doświadczeniem". Z jednej strony mamy więc heroinę, z drugiej – dekownika.

W rzeczywistości Kaczyński uczestniczył w antykomunistycznej opozycji od momentu jej narodzin w połowie lat 70. do upadku tego systemu i był dla niej bez porównania bardziej znaczący niż Holland – w niczym nie ujmując jej, wówczas wzorowej postawie. Grzmiący o prawdzie i odwołujący się do najwyższych wartości reżyserzy angażują się więc w kampanię, której celem jest zakłamanie biografii lidera PiS i zdezawuowanie go.

Inna sprawa, że gdyby nawet przeciwstawienie obu postaci było adekwatne, w niczym nie usprawiedliwiałoby erystycznego chwytu, który sygnatariusze stosują. Argumenty ad personam niszczą, uniemożliwiają debatę.

Autorzy listu wywodzą, wbrew wielkiej liczbie dowodów, że Holland nigdy nie opowiadała się po jakiejkolwiek stronie politycznego sporu. Przeczą sobie zaraz, pisząc, że „Agnieszka Holland ośmiela się głośno krytykować politykę Pańskiej partii tam, gdzie Prawo i Sprawiedliwość łamie Konstytucję Rzeczpospolitej Polskiej, niszczy będący fundamentem demokracji trójpodział władzy". Opozycyjną propagandę przedstawiają więc jako fakty, tak jak domorosłą psychoanalizę Kaczyńskiego: „Być może nie umie Pan już [...] dostrzec naszego »narodowego domu« w optyce szerszej i niepartykularnej, wolnej od doraźnego liczenia partyjnych zysków i strat".

„My, polscy artyści, owego spojrzenia na ojczyste problemy, zawężającego wszystko do politycznych gierek, nie podzielamy" – czytamy dalej. Wiemy więc już, że prezentuje je Kaczyński, czego w ogóle nie trzeba dowodzić. „Staramy się – stawiając sobie postawę Agnieszki Holland za wzór – budować Polskę [...] sprzyjającą tworzeniu polskiej wspólnoty, a nie z niej wykluczającą". Przykład walki z wykluczeniem demonstrują w przytaczanym liście. Deklaracje na temat budowy Polski brzmią jak program partii, a nie gildii reżyserów. Taki jest zresztą, pełen patetycznego pustosłowia, ciąg dalszy listu, który pomylić można z deklaracją programową PO. Autorzy „pragną [...] zgodnej z polską racją stanu polityki zagranicznej [...] oraz wzmacniania, a nie osłabiania pozycji naszej ojczyzny w świecie". Wynika z tego, że władza obecna, a zwłaszcza Kaczyński działają dokładnie odwrotnie. Oto przykład otwartego i wolnego od stronniczości spojrzenia „polskich artystów", dla których „niepojęta jest potrzeba dzielenia Polaków". Nie ma sensu przytaczać dalej tej pełnej potępień i gróźb retoryki, w której naturalnie pojawia się także zabity Paweł Adamowicz.

Ten kompromitujący dokument podpisało 71 reżyserów. Wśród nich tacy, którzy mają za sobą dobre filmy. Oczywiście nie ma związku między umiejętnością robienia filmów a polityczną wiedzą, rozumem ani jakością charakteru. Niemniej zastanawia ten stadny akt. Czy to tylko środowiskowy oportunizm, któremu najtrudniej się oprzeć, bo najtrudniej przeciwstawić się własnemu otoczeniu?

Opowieści o nonkonformizmie artystów są mitem. Współcześnie żyjemy w dobie szczególnego zakłamania, które wiąże się z zanikiem pluralizmu i narastającą dominacją jednolitych, ideologicznie zorientowanych środowisk. Pozwala konformizm sprzedawać jako cnotę i z podniesionym czołem podpisywać deklaracje, które powinny napawać wstydem. List gildii stanowi tego dobitny przykład.

Wildstein odpowiada Kulczykom

Drodzy Czytelnicy, okazało się, że w felietonie „Oszuści czy biedacy, czyli o dziedzicach Kulczyka" nieświadomie wprowadziłem Was w błąd, za co przepraszam. Kulczykowie przelali na konto mojego adwokata koszty przegranego procesu w momencie, kiedy oddałem do druku tekst informujący, że nie chcą tego zrobić. Adwokat, który był za granicą, nie zdążył poinformować mnie o tym na czas.

Kulczykowie zapłacili, kiedy zaangażowany przez nas komornik zaczął rozważać zajęcie udziałów w ich przedsiębiorstwach. Poza tym wszystko było, jak opisałem. Kulczykowie nie płacili, musieliśmy się zwrócić do komornika, który również miał kłopoty ze ściągnięciem zasądzonych należności.

Czytelnikom pozostawiam ocenę całości sprawy.

Bronisław Wildstein

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c3010439d

OGNIEM NA WPROST

Zabawy w doktora



Trzy organizacje – Warszawski Strajk Kobiet, Forum Przyszłości Kultury, Fundacja na rzecz Równości i Emancypacji „Ster" – biegają po mieście i zbierają podpisy. Feminolewaczki chcą ronda Praw Kobiet. Miejsce? Oczywiście w samym centrum stolicy. W petycji do Komisji ds. Nazewnictwa Miejskiego Rady m.st. Warszawy postulują, by zrobić je w miejscu dzisiejszego ronda Romana Dmowskiego. Wszystko w ramach oporu przeciwko – jak to ujmują – „faszyzacji kraju". Pomysł ten uzasadniają charakterystyczną dla tych środowisk nowomową w formie zwykłego bełkotu. Oto próbka z uzasadnienia: „Wierzymy, że tylko łącząc różne środowiska, możemy myśleć o całościowej, otwartej i społecznie podzielanej wizji obejmującej wielość i różnorodność doświadczeń, praktyk, gustów; opartej na humanistycznych wartościach, ufundowanych na poszanowaniu godności osoby, praw człowieka i szacunku dla środowiska. Wizji, która byłaby zdecydowaną odpowiedzią na zagrażającą nam radykalizację i faszyzację". Normalnie puknąłbym się w głowę i poszedł dalej, ale po tym, co wyprawia prezydent miasta Rafał Trzaskowski ze swoim zastępcą, zaczynam się poważnie obawiać, że ten chory sen może się stać jawą.

Trwa nagonka, innymi słowy: medialna kampania nienawiści wymierzona przeciwko Barbarze Nowak, małopolskiej kurator oświaty, która publicznie ostrzegła rodziców przed tzw. edukatorami seksualnymi i poinformowała o powiązaniach lobby LGBT z pedofilią. Co takiego jeszcze zrobiła pani Nowak, że propagatorzy dewiacji i zboczeń seksualnych chętnie by ją ukamienowali? Otóż odważyła się w krótkich słowach przedstawić prawdę o treści standardów Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) w kwestii wychowania seksualnego przedszkolaków. A więc warszawskie dzieci mają się uczyć: czterolatki – o masturbacji, sześciolatki – o wyrażaniu zgody na seks, dziewięciolatki – o pierwszych doświadczeniach seksualnych i orgazmie. Kuratorka podaje do publicznej wiadomości wydaną przez władze Niemiec broszurę dla wychowawców przedszkolnych, „Miłość, ciało i zabawy w doktora". Czytamy w niej m.in.: „Dziecko potrzebuje początkowo pomocy dorosłych, aby na przykład zrozumieć, że niektórym ludziom może być nieprzyjemnie, kiedy przy wspólnym posiłku się masturbuje. Byłoby dobrze, gdyby wraz z prośbą rodziców, aby takie dotykanie w konkretnych sytuacjach przerywać, szła w parze propozycja, że dziecko może się dalej pieścić w swoim pokoju, gdzie nikt mu nie będzie przeszkadzał". Pomijam inne, jeszcze bardziej pikantne fragmenty tego pedofilskiego instruktażu. Proponuję natomiast, by duet Trzaskowski–Rabiej w ramach promocji ideologii LGBT na terenie m.st. Warszawy zrobili tournée po przedszkolach i zorganizowali zbiorowe czytanie tej lektury; by po prelekcji rozdawać dzieciom opisane w niej gadżety.

Szwedzka dziennikarka Cecilia Uddén spotkała się z kobietami, które opuściły kontrolowany przez ISIS obszar. Twierdzi, że nie spotkała choćby jednej, która żałowałaby uczestnictwa w Państwie Islamskim. Kurdyjscy wojskowi ostrzegali ją, żeby nie zbliżać się do tych, które nie przeszły jeszcze kontroli osobistej. Mogły mieć przy sobie broń, a nawet pas szahida. Do wyjazdu z tego „raju na ziemi", jakim był dla nich kalifat, zmusił je po prostu głód. Natomiast znana badaczka problemów imigracji z krajów muzułmańskich Norweżka Hege Storhaug zauważyła, że politycy z jej kraju nadal zupełnie na poważnie twierdzą, iż „my" potrafimy takie osoby „zrehabilitować", a potem „zintegrować". To się nazywa „święta naiwność", która jest konsekwencją prania mózgu trwającego zarówno w Szwecji, jak i w Norwegii przez pokolenia.

Padło kolejne ostrzeżenie. Tym razem głos zabrał nie byle kto, bo sam naczelny dowódca Połączonych Sił Zbrojnych NATO w Europie gen. Curtis Scaparrotti. Podczas przesłuchań Komisji Sił Zbrojnych Senatu Stanów Zjednoczonych wojskowy stwierdził: „Biorąc pod uwagę demonstrowaną przez Moskwę gotowość do łamania prawa międzynarodowego i prawnie wiążących traktatów oraz do wywierania szkodliwego wpływu, Rosja zagraża żywotnemu interesowi Stanów Zjednoczonych, jakim jest utrzymanie Europy w całości, wolnej i w pokoju. [...] Potrzebujemy większego potencjału, zwłaszcza biorąc pod uwagę modernizację i rozbudowę rosyjskiej floty" – dodał gen. Scaparrotti. W związku z rosnącym zagrożeniem ze strony Moskwy wezwał także do zwiększenia liczby amerykańskich wojsk na naszym kontynencie. Słowa te są wodą na młyn władz RP, które lobbują w Kongresie za zwiększeniem kontyngentu US Army na terenie naszego kraju. I sprawy, jak słychać w wypowiedzi szefa Sojuszu Atlantyckiego w Europie, raczej przybierają korzystny obrót.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c3010439d

To nie było oczywiste



Marta Kaczyńska-Zielińska

12 marca 1999 r. Polska wstąpiła do NATO. W 2019 r. Sojusz obchodzi 70. rocznicę powołania, a Polska świętuje 20-lecie swojej obecności w jego strukturach. Art. 5 traktatu północnoatlantyckiego zakłada, że każdy atak zbrojny z zewnątrz zwrócony przeciwko jednemu lub kilku państwom członkowskim traktowany będzie jako atak przeciwko całej organizacji. Sojusz jest dziś najpotężniejszym gwarantem światowego pokoju, a my jesteśmy jednym z jego liderów. W lipcu 2016 r. w Warszawie odbył się największy w historii szczyt NATO. Podjęto wtedy decyzję o powołaniu do życia czterech batalionowych grup bojowych rotacyjnie stacjonujących w Polsce i w krajach bałtyckich, a także o rozmieszczeniu brygady pancernej US Army, której dowództwo i większość jednostki zostały rozlokowane w Żaganiu. Sojusz wyraził poparcie dla aspiracji Gruzji do członkostwa w Pakcie. Ministrowie państw NATO potwierdzili deklaracje dotyczące perspektywy członkostwa Gruzji w Sojuszu, złożone na szczycie w Bukareszcie w 2008 r. W ramach postanowień szczytu Polska skierowała w 2017 r. dwa kontyngenty do Rumunii i Łotwy w ramach wzmocnionej wysuniętej obecności oraz dopasowanej wysuniętej obecności na wschodniej flance Sojuszu.

Przeznaczamy na siły zbrojne co najmniej 2 proc. PKB oraz ponad 20 proc. budżetu obronnego na modernizację armii. Przepisy znowelizowanej w 2017 r. ustawy o modernizacji i finansowaniu Sił Zbrojnych RP stanowią, że nasze wydatki na obronność wzrosną do 2,5 proc. PKB w roku 2030. Polskie myśliwce chronią przestrzeń powietrzną Litwy, Łotwy i Estonii, a Marynarka Wojenna działała aktywnie na rzecz bezpieczeństwa szlaków morskich na Morzu Śródziemnym. W ramach NATO Polska udzieliła inżynieryjnego wsparcia po trzęsieniu ziemi w Pakistanie. Nasi żołnierze brali udział w misjach w Albanii, w Kosowie, Bośni i Hercegowinie, Afganistanie oraz w Iraku. W ciągu 20 lat członkostwa w NATO na terenie naszego kraju powstało siedem struktur sojuszniczych. Stacjonuje u nas kilka tysięcy żołnierzy ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Rumunii i Chorwacji.

Nasza obecność w NATO wydaje się dziś oczywista. Z pewnością mało kto pamięta, że na początku lat 90. idea przystąpienia przez Polskę do Sojuszu była krytykowana i odrzucana przez wielu czołowych polityków oraz wojskowych. Po 1989 r. zdecydowanymi zwolennikami członkostwa naszego kraju w Sojuszu byli Lech i Jarosław Kaczyńscy. Można nawet stwierdzić, że w tamtym okresie byli pionierami mentalnej zmiany ukierunkowania spraw związanych z obronnością.

W swoich wspomnieniach z czasu, gdy pełnił funkcję ministra stanu ds. bezpieczeństwa narodowego, Lech Kaczyński opisywał, z jak silnym oporem wśród dowódców armii miał do czynienia, kiedy odwiedzał poszczególne okręgi i starał się je przekonać do słuszności przystąpienia do NATO. Nie mógł przy tym liczyć na wsparcie ówczesnego ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego. Ten ostatni w 1990 r. wyraził pogląd, że „żadne członkostwo Polski w NATO nie wchodzi w rachubę", a w międzynarodowym gronie w Londynie oświadczył że „nie należy czynić niczego, co mogłoby wywołać poczucie zagrożenia lub podejrzenia ze strony Związku Radzieckiego [...]". Głoszona przez Lecha Kaczyńskiego idea wzmocnienia bezpieczeństwa Polski poprzez przystąpienie do Sojuszu Północnoatlantyckiego wedle jego relacji była wręcz wyśmiewana przez ówczesnego członka Komisji Spraw Zagranicznych i Obrony Narodowej oraz podkomisji do spraw doktryny obronnej. Swój sceptycyzm wyrażał podobno także Bronisław Geremek. Pierwszym polskim rządem, który za jeden ze strategicznych celów uznał przystąpienie naszego państwa do NATO, był rząd Jana Olszewskiego. Warto przypomnieć, że w tym samym czasie prezydent Lech Wałęsa występował z koncepcją NATO-bis, tj. sojuszu państw Europy Środkowej i Wschodniej, która w latach 90. z góry skazywała nas na podporządkowanie Rosji.



Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 27 lutego 2019 roku zmarł w Sacramento

GEN. BRYG.
EMIL STEFAN MENTEL

urodzony 26 października 1916 roku w Czańcu.
Absolwent Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu,
ostatni oficer kawalerii służby czynnej z okresu II Rzeczypospolitej.
Podczas inwazji niemiecko-sowieckiej we wrześniu 1939 roku podporucznik
w 1. Pułku Szwoleżerów w składzie Mazowieckiej Brygady Kawalerii.
W maju 1940 roku przedostał się do Syrii, gdzie wstąpił do Brygady
Strzelców Karpackich. Od sierpnia do grudnia 1941 roku walczył w obronie
Tobruku. Od marca 1944 roku uczestniczył w randze porucznika,
a następnie rotmistrza, w kampanii włoskiej, walcząc w składzie Pułku
Ułanów Karpackich nad Sangro, pod Monte Cassino oraz w bitwach
o Ankonę, Pesaro i Bolonię. Po wojnie pozostał na emigracji.

Uhonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari,
Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Walecznych dwukrotnie,
Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino
oraz wieloma innymi odznaczeniami polskimi i brytyjskimi.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

5/0319/F

eprasa.pl 2c3010439d

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Edukację LGBT wyprowadzić

Szkoła podstawowa w Birmingham, w której programie znalazły się lekcje dotyczące m.in. tolerancji wobec osób LGBT, została zmuszona do przerwania prowadzenia zajęć po tym, jak rodzice zaczęli zabierać z niej swoje dzieci. O sprawie informuje m.in. portal tvp.info. „Nie mamy problemu z ustawą o równości, nie mamy problemu z uczeniem dzieci brytyjskich wartości, ale to nie jest uczenie ich brytyjskich wartości, to jest promowanie homoseksualizmu" – powiedziała BBC jedna z protestujących. I to jest całkiem nieodległa przyszłość Warszawy. Niestety.



42,3 mld zł

– tyle ma kosztować ogłoszona na konwencji PiS piątka Kaczyńskiego.

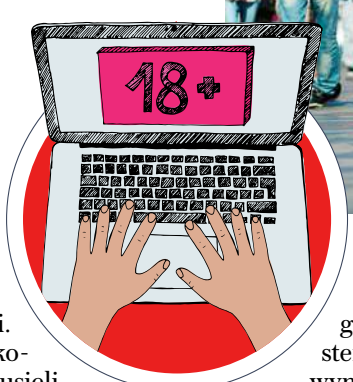
17,3 tys.

– tyle wniosków o świadczenie w ramach programu Mama 4+ zarejestrowano do 6 marca.

30 osób

– tyle z tych, które złożyły wnioski w ramach programu Mama 4+, ukończyło 90 lat!

Dobry kierunek



Od 1 kwietnia 2019 r. Wielka Brytania zablokuje osobom nieletnim możliwość korzystania z darmowej pornografii w sieci. Użytkownicy chcący skorzystać z usługi będą musieli potwierdzić swój wiek za pomocą odpowiedniego dokumentu. To efekt wejścia w życie ustawy Digital Economy Act przegłosowanej w brytyjskim parlamencie w 2017 r. O sprawie informuje pch24.pl. Wreszcie jakiś dobry przykład z „nowoczesnego" Zachodu.



Równość po duńsku

Choć Dania uważana jest za kraj o największej równości płci, nie jest to cała prawda. Dania ma jednocześnie najwyższy wskaźnik gwałtów w Europie, a złe ustawodawstwo i szerzące się szkodliwe stereotypy doprowadziły do niemal całkowitej bezkarności gwałcicieli – wynika z opublikowanego raportu Amnesty International. O sprawie informuje rp.pl. „Mimo że Dania ma opinię kraju, w którym obowiązuje równość płci, rzeczywistość tamtejszych kobiet jest rażąco inna: szokująca bezkarność gwałcicieli, przestarzałe przepisy, które nie spełniają międzynarodowych standardów – powiedział szef Amnesty International południowoafrykański prawnik Kumi Naidoo, komentując raport" – czytamy na portalu. Czyli jest jak u Orwella: są równi i równiejsi. I jakoś tak wychodzi, że w Danii równiejsi są gwałciciele. A i tak polskie feministki będą nam wskazywać kraje skandynawskie jako niedościgniony wzór równości płci.

eprasa.pl 2c3010439d



Małżeństwo po francusku

Według badań Francuskiego Państwowego Instytutu Statystyki i Analiz Ekonomicznych (INSEE) od wejścia w życie w maju 2013 r. ustawy legalizującej homozwiązki, do końca 2017 r. sformalizowano ich ok. 40 tys. „W ciągu czterech i pół roku 21 tys. takich związków zawarli z sobą mężczyźni i 19 tys. kobiety" – informuje pch24.pl. I w ten sposób ludzkość sama się wykończy.

Dla mnie małżeństwo to jest związek kobiety i mężczyzny. Jeżeli mówimy o adopcji, to tylko dla małżeństw – powiedział Jarosław Kalinowski, europoseł PSL. I to by było na tyle w kontekście wspólnego startu PSL z Koalicją Europejską. Wyborcy tego nie wybaczą.

Postęp po chińsku

Pewna mieszkanka Chin doszła do wniosku, że jej kot jest zbyt brzydki. W związku z tym zafundowała zwierzakowi operację plastyczną, która kosztowała ponad 5,5 tys. zł. „Kobiecie nie podobały się oczy jej pupila. Postanowiła opłacić mu operację plastyczną powiek. Zapłaciła lekarzowi, który podjął się przeprowadzenia zabiegu, 1 100 funtów" – czytamy na wprost.pl. Brawo dla postępowej właścicielki za torturowanie biednego zwierzaka. Przynajmniej dobrze, że nie zafundowała zwierzęciu przymusowej zmiany płci. Dziś już nic nie wiadomo.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x5)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Niebezpieczny skręt



Dominik Zdort

Ta książka może być ciekawa. Autor dotarł do pamiętników aktorki – nie bójmy się tego słowa – kultowej. Choć nie była pięknością, chyba nigdy nie zagrała w żadnym filmie głównej roli, to była przez telewidzów kochana, wręcz uwielbiana.

Nigdy nie miałem przyjemności z nią porozmawiać, choć były okazje. Miała drewniany domek nad Zalewem Zegrzyńskim, nieopodal działki moich rodziców, czasem widywałem energiczną panią krążącą po okolicznych dróżkach. Gdybym był bardziej śmiały, mógłbym do niej może podejść, zagadać. Może poznałbym Irenę Kwiatkowską.

Nie było chyba w moim pokoleniu osoby, która jej nie kojarzyła. „Wojnę domową" oglądałem w powtórkach, których w czasach PRL telewizja widzom nie żałowała. Kwiatkowskiej w roli rezolutnej matki Pawła Jankowskiego nie dawało się zapomnieć. Tym bardziej jako „kobiety pracującej" w „Czterdziestolatku", serialu epoki gierkowskiej.

Muszę wspomnieć o roli w jeszcze jednym filmie, bardzo mi bliskim. Irena Kwiatkowska użyczyła swojego głosu matce Pinia, bohatera kreskówki „Proszę słonia", chłopca, który opiekował się porcelanową figurką tytułowego zwierzaka o imieniu – podówczas niezbyt częstym – Dominik.

Wywiad z autorem książki o Kwiatkowskiej na jednym z portali internetowych czytałem z zainteresowaniem i przyjemnością. Aż do momentu, kiedy dziennikarz wspomniał o „niebezpiecznym skręcie", którego doświadczyła aktorka u schyłku życia.

Skąd się wziął ów „skręt"? Autor książki tylko sugeruje: „Nie wiem, jak to jest mieć 80 lat. Mogę sobie tylko wyobrażać, że wtedy inaczej myśli się o życiu, śmierci, zmienia się hierarchia wartości". A więc ów „niebezpieczny skręt" to efekt starości, może sklerozy?

Co się zmieniło w życiu Kwiatkowskiej na starość? Na czym polegało „niebezpieczeństwo"? Została komunistką? Antysemitką i rasistką? Zaangażowała się w Kampanię przeciw Homofobii? Wstąpiła do ONR?

Nie, ona po prostu się nawróciła, głęboko zawierzyła Bogu. Gorzej – zaczęła słuchać Radia Maryja. Dziennikarz komentuje: „Dla mnie racjonalne jest, że jak się nauczysz na klasówkę, to dostaniesz piątkę. Tymczasem ona uważała, że jak się dobrze pomodli, to piątka przychodzi od Boga".

Przez litość nie wymieniam tu nazwiska autora tych niemądrych zdań. Na poziomie intelektualnym to tylko brak wiedzy, czym jest wiara, czym modlitwa. Na poziomie kultury osobistej to już pogarda dla drugiego człowieka.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 2c3010439d

RZECZY POSPOLITE

Dzielny chłopiec



Tomasz Łysiak

Obchodziliśmy niedawno setną rocznicę śmierci Leopolda Lisa-Kuli (11 XI 1896–7 III 1919), ukochanego, „dzielnego chłopca" Piłsudskiego. Lis-Kula uosabiał to wszystko, co piękne, młode, zapalczywe, pełne poświęcenia dla ojczyzny. Stał się w wolnej już Polsce postacią, na której wzorowały się następne pokolenia. Skąd pseudonim Lis? Jeszcze z czasów gimnazjalnych, gdy Leopold stworzył zastęp skautowy Lisów. W regulaminie można było przeczytać: „Charakter skauta to fundament, lecz o niepodległość walczy się z bronią. Wojna musi zastać przygotowanym każdego z »Lisów«, skaut to zagończyk na przedpolu bitewnym!". Otóż to! Wartości moralne na pierwszym miejscu! Wiedzieli jego dawni antenaci – którzy pod sztandarami Napoleona, Legionów i Księstwa Warszawskiego walczyli o wolną Polskę – że dwa są czynniki potrzebne do zwycięstwa, a mianowicie siła moralna i karabin, czyli to, co jest z ducha i to, co niezbędne materialnie do osiągnięcia sukcesu.

Taki też był program Piłsudskiego, Związku Strzeleckiego i Legionów – tworzenie żołnierza polskiego, który nosiłby w sobie wszystkie piękne pierwiastki duchowe niegdysiejszych szwoleżerów, lansjerów, powstańców listopadowych i styczniowych. I który na skutek sprzyjających okoliczności mógłby zbrojnie wybić się na niepodległość. Lis-Kula się bił. Najpierw wstąpił do Związku Strzeleckiego, a potem do Legionów. Walczył pod Kielcami, gdzie – taki młodziak! – dowodził kompanią! W październiku 1914 r. został podporucznikiem, a na akcie jego nominacji widnieją dwa wielkie polskie nazwiska: Piłsudski i Sosnkowski. Leopold służył Bogu i ojczyźnie, mając te wartości, wraz z honorem, na swym młodzieńczym sztandarze. Szedł szlakiem I Brygady. Na stos! Jeden cel się liczył – by ona była wolna...

Gdy nadszedł czas kryzysu przysięgowego, nie wahał się, po której stanąć stronie. Albo, albo. Nie ma symetryzmu postaw, gdy chodzi o polską drogę: jesteś z nią, lub przeciw niej. Młody Leopold Lis-Kula zginął na froncie walk z Ukraińcami. Już w stopniu majora brał udział w odsieczy Lwowa, a potem poprowadził swój ostatni atak... Na miasteczko Torczyn. Tam został śmiertelnie raniony... Na wieńcu żałobnym Komendant napisał: „Memu dzielnemu chłopcu"...

Łan kłeszczyn



Piotr Cywiński

Pomyślały, przyczaiły się i poszły konie, i miały swoją krotochwilę. I polskojęzyczny „Fakt" o nich napisał w internecie, i link podał, coby wszyscy zobaczyli na własne oczy i na własne uszy posłyszeli: „Dziennikarka zadała Brudzińskiemu pytanie po angielsku. Tego się nie spodziewała!" – huknął w tytule zachęcająco do lektury tenże portal. Ale wtopa, ale plama, ale wiocha, i taki niemota się do Brukseli wybiera...

Nazwiska pytającej, która miała „łan kłeszczyn" i się nie spodziewała, „Fakt" nie podał – w sumie po co miałby, jej nazwisko nikomu nic nie powie. Co ważne, „rzeczniczka wojewody szybko uniemożliwiła jednak tę próbę, odrzuciła zadane przez dziennikarkę pytanie" – zrelacjonował „Fakt" – „podając kuriozalny powód. Zwróciła uwagę, że konferencja odbywa się... w języku polskim", koniec cytatu.

Był jeszcze drugi lokalny, który zahaczył ministra o władanie angielszczyzną już przy wyjściu. A że – jak mawiają Rosjanie – „torpieda przeszła mimo", pochwalił się dumny do kamery: „Minister uciekł...!". A on, lokalny, miał mały słowniczek, który chciał temu ministru wręczyć. Była moc, była siła i był „Fakt", taka kompromitacja... To ja tak od siebie, temu „Faktu" przybliżu co niecu, o kanclerzu Kohlu, dla którego języki obce były rzeczywiście obce, albo o konclerzu Schröderu, który też po angielsku – jak pointował nasz były prezydent poliglota – „ani be, ani me, ani kukuryku" i przed objęciem urzędu w Berlinie cichcem odbył kurs w Zjednoczonym Królestwie, czego jednak ukryć się nie udało. Albo np. szef dyplomacji Joschka Fischer bez matury, który język Szekspira poznał za młodu, tłumacząc pornograficzne komiksy, ale gdy na konferencji prasowej w Berlinie pewien obcojęzyczny korespondent zadał mu pytanie po angielsku, minister odparł krótko: „Jesteśmy w Niemczech, tu się mówi po niemiecku". Albo prezydent Francji Jacques Chirac, który wyszedł z obrad w Brukseli i tak wściekle rąbnął drzwiami, że omal wypadły z futryny. Na korytarzu zbeształ swego ministra, że ten zaczął wystąpienie po angielsku, i gdy obaj wrócili na salę, kontynuował swoją przemowę już po francusku...

Ale „Fakt" nie musi o tym wszystkim wiedzieć, nie takie ma zadania, a już tym bardziej lokalsi. Myślałem, że to jakaś żakinada, ale po chwili zastanowienia da się to uzasadnić: trudno, żeby lokalna i lokalny popisywali się znajomością języka polskiego, skoro w Zachodniopomorskiem wszyscy po takiemu gadają. Wiadomo, bastion i ostoja, nie będzie jakiś byle Brudziński pluł lokalnym w twarz...

eprasa.pl 2c3010439d

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: EAST NEWS/JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2c3010439d

Naukowa mistyfikacja

Akta powojennej sprawy karnej żydowskiego policjanta Samuela Frisha to kopalnia wiedzy o losach getta w Bochni. Ich analiza daje ciekawą lekcję metod „pracy naukowej” Centrum Badań nad Zagładą Żydów afiliowanego pod szyldem Polskiej Akademii Nauk. Efekty tych dokonań możemy znaleźć w książce „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski” pod redakcją Jana Grabowskiego i Barbary Engelking. Szkoda tylko, że to, co można tam przeczytać, nie ma nic wspólnego z prawdą





U góry: OD-mann na ul. Solna Góra w Bochni
Po lewej: Odprawa patroli policji żydowskiej pod bocheńskim Judenratem



PIOTR GONTARCZYK

Opowiedzmy tę historię po kolei i w szczegółach. 2 czerwca 1945 r. na posterunek Milicji Obywatelskiej w Krakowie zgłosił się Ari Schanzer i złożył doniesienie na Samuela Frisha. Zeznał, że Frish był żydowskim policjantem (z niemieckiego: Ordnungsdienst, w skrócie policjantów nazywano OD-mannami) w getcie w Bochni i we wrześniu 1943 r. zadenuncjował bunkier jego rodziny. Na skutek tego rodzina Schanzera została wymordowana.

3 czerwca 1945 r. w tej samej sprawie złożył zeznanie Uszer Weinfeld. Opisał Frisha jako „zbrodniarza najgorszego gatunku”, mającego na sumieniu „setki starców, kobiet i dzieci, których osobiście lub na samowolny rozkaz oddał gestapo. Przez cały okres (istnienia getta) bił i maltretował (Żydów), a podczas

eprasa.pl 2c3010439d

akcji wysiedleńczej w 1943 r. przeprowadzał samorzutnie badania ginekologiczne przy świetle lampki elektrycznej na kobietach czekających na transport [do obozu, żeby znaleźć ukryte przez nie kosztowności – przyp. P.G.]". Zarzucano mu, że „idąc na rękę władzy okupacyjnej niemieckiej podczas pełnienia funkcji policjanta porządkowego w getcie żydowskim w Bochni, działał na szkodę ludności żydowskiej tam znajdującej się, przez wskazanie ich miejsca ukrycia, ujmowanie i znęcanie się nad nimi, na skutek czego szereg Żydów zostało rozstrzelanych, inni wywiezieni do obozów koncentracyjnych".



tów było więcej: rabunki, kradzieże, katowanie Żydów pałką i śmierć choćby niejakiej Lustiger, która schwytana przez Frisha popełniła samobójstwo, połykając cyjanek.

8 czerwca 1945 r. Frish został przesłuchany przez MO. Potwierdził, że jako OD-mann w Bochni był przy odkrywaniu bunkrów Schanzerów i Weinfeldów. Zaprzeczył jednak, by je zadenuncjował. Wskazał na wyspecjalizowanych w takich działaniach OD-mannów lub niemieckich konfidentów Kalfusa i Cukra. Utrzymywał, że w takich akcjach uczestniczył pod okiem Niemców, a jakikolwiek sprzeciw groził mu śmiercią.

Frish został aresztowany, a 20 grudnia 1945 r. prokurator Sądu Specjalnego w Krakowie sporządził akt oskarżenia oparty na dekrecie PKWN z 31 sierpnia.

WYZNANIA OD-MANNA

Proces żydowskiego policjanta rozpoczął się 24 sierpnia 1946 r. Po odczytaniu aktu oskarżenia oddano głos Frishowi. Ten zaprzeczył, by wydał bunkry Schanzerów i Weinfeldów, choć przyznał, że był obecny przy ich otwieraniu. Twierdził, że to niejaki Zuker został zadenuncjowany przez granatowego policjanta za to, że chciał go przekupić, i Niemcy oświadczyli Zukerowi, że czeka go śmierć. Zuker zaproponował więc Niemcom transakcję: za swoje życie wyda bunkry z ukrywającymi się Żydami. Propozycja miała zostać przyjęta, gdyż Niemcy przy pomocy OD-mannów zlikwidowali dwa–trzy bunkry.

Jednak późniejsze wyjaśnienia świadków, a nawet samego oskarżonego wykazały, że poszukiwanie bunkrów było zjawiskiem dużo bardziej skomplikowanym i wielowątkowym: więcej było denuncjujących Żydów (delatorów i OD-mannów), polowanie trwało przez wiele dni, a w sumie zlikwidowano dziesiątki bunkrów, w tym właśnie Schanzerów i Weinfeldów.

Frish opowiedział, że ten ostatni bunkier został otwarty po przełamaniu oporu jego lokatorów, ale nie on go otwierał: „[OD-mann] Grünberg chciał podnieść pokrywę, ale ukrywający się Żydzi mocno ją trzymali". W dalszych wyjaśnieniach przyznał, że wyciąganym z bunkrów odbierano pieniądze i kosztowności. Mówił, że były one potrzebne do próby przekupienia Niemców, by nie rozstrzelali złapanych. Zaprzeczył, by bił kogoś pałką, poza jednokrotną karą za kradzież. Potwierdził popełnienie samobójstwa przez Lustiger, ale inaczej opisał okoliczności sprawy i nie czuł się za tę śmierć odpowiedzialny.

W sprawie rewizji miejsc intymnych kobiet w poszukiwaniu pieniędzy i kosztowności Frish potwierdził istnienie w getcie takiej procedury. Nie czuł się za nią odpowiedzialny, bo wedle jego wyjaśnień ze śledztwa przeszukiwań oficjalnie dokonywała

Pomnik ofiar Holokaustu w Bochni



Fot. zb. Yad Vashem x2, Stanisław Mróz

eprasa.pl 2c3010439



Fot. Stanisław Mroz

Budynek Judenratu w Bochni, stan obecny

pielęgniarka nazwiskiem Frenkel pod nadzorem lekarza dr. Lammensdorfa. Na sali sądowej dodał, że robiono to na wcześniejszą prośbę rewidowanych: „Wiedzieli bowiem Żydzi, jak barbarzyńsko w takich wypadkach zachowywali się Niemcy”.

Frish miał cały czas działać pod groźbą śmierci, a mimo to starał się ratować ludzi: „Pomagałem Żydom i to bogatym. Od nich mogłem uzyskać wiele pieniędzy za ułatwienie przedostania się na Węgry. Cóż, kiedy [...] [już w 1943 r.] pieniądze nie odgrywały żadnej roli”. Prawie na koniec wyjaśnień, jako okoliczność łagodzącą, podał fakt, że uratował siebie, żonę i dziecko, ale stracił w obozie zagłady w Bełżcu resztę rodziny, łącznie 11 osób. Zeznania kończył akcentem, że nie uratował dalszej rodziny kosztem rodaków: „Mogłem dać za nich 100 ukrywających się Żydów, ale [...] tego nie zrobiłem”.

PROCES

W czasie rozprawy sąd wysłuchał wielu, głównie żydowskich, świadków. Ci mówili, że Frish okradał innych Żydów i bił ich gumową pałką, szczególnie ludzi starych i bezbronnych. Ari Schanzer opisał odkrycie jego rodzinnego bunkra: „O godz. 4.30 po południu zobaczyłem idących w naszym kierunku osk. [arżonego] z [innym żydowskim policjantem] Ringiem, i kilkoma OD-mannami, nie było między nimi ani jednego Niemca ani Ukraińca. [...] Oskarżony, Gibel i jeszcze jeden [OD-mann] siekierami oderwali wejście do bunkru”. Schanzer wyszedł na zewnątrz, ale zanim uciekł, ujrzał, jak jego ojciec klęczy przed Frishem, dając mu tysiąc dolarów za swoje życie. Frish pieniądze zabrał, ale starego Schanzera nie puścił. Ten wkrótce zginął.

Ważne zeznania złożyła Sabina Holländer, która ukrywała się w bunkrze Weinfeldów. Na sali sądowej stwierdziła, że kiedy żydowska policja odkryła wejście do kryjówki, było w niej 45 osób: „Otworzyłam bunkier. Zobaczyłam oskarżonego i jeszcze kilku z Ordnungsdienstu, byli to sami Żydzi. [...] Musieliśmy wszyscy opuścić bunkier, jak szłam na samym końcu, osk. [arżony] widząc, że się ociągam i pozostaję w tyle, kopał mnie i popychał, zaś krzyk mój uciszał słowami, że Niemcy mogą usłyszeć”.

Szybko się wyjaśniło, dlaczego OD-mannom zależało, żeby o schwytaniu dużej grupy Żydów na razie nie dowiedzieli się Niemcy. Ofiary zaprowadzono do siedziby Ordnungsdienstu przy ulicy Niecałej 13. Holländer zeznała: „Polecono nam oddać wszystkie rzeczy, oddałam więc, co posiadałam, to jest złotą papierośnicę i tysiąc złotych. [...] Widziałam przez uchylone drzwi, jak w sąsiednim pokoju osk. [arżony] przyświecał między nogami mojej bratowej latarką elektryczną, a ona strasznie krzyczała, gdyż w ten sposób wyciągał jej z pochwy ukryte złote przedmioty”. Po kilku dniach, kiedy zebrano większą grupę Żydów, wszyscy zostali rozstrzelani. Holländer była tylko lekko ranna w głowę. Wygrzebała się ze stosu trupów i uciekła naga, bo wcześniej OD-manni odarli trupy z ubrań.

Na sali sądowej padały nazwiska żydowskich konfidentów wydających Niemcom bunkry lub likwidowanych przez OD-mannów oraz nazwiska ich lokatorów. Wykorzystywany w tych działaniach ślusarz Karol Gross (jego rodzinę wcześniej wymordowano) zeznał, że otworzył 30–40 bunkrów. Ich lokatorów obrabowywano, a Niemcy ich rozstrzeliwali.

WYROK

27 lutego 1947 r. Sąd Okręgowy w Krakowie wydał wyrok w sprawie Samuela Frisha. Został on uznany winnym większości zarzucanych mu czynów. Opisując okoliczności jego przestępstw, sąd wspomniał, że jesienią 1943 r. w getcie zostało 250 Żydów, z czego 46 członków OD. Oprócz nich wielu Żydów ukryło się w bunkrach i skrytkach. Dowiedzieli się o tym Niemcy i nakazali żydowskiej policji odszukanie schowków oraz przyprowadzenie im ich lokatorów. Sąd napisał: „W związku z tymi poleceniami udał się oskarżony Samuel Frish wraz z innymi pięcioma członkami policji porządkowej do domu, w którym mieścił się bunkier Schanzerów. Po dłuższych poszukiwaniach polegających nawet na odrywaniu podłogi znaleziono wreszcie wspomniany wyżej bunkier. Z bunkra tego zabrano ojca i braci świadka Ari Schanzera”. Oskarżony pojawił się też w innej „akcji”: „O ile chodzi o bunkier w domu Weinfeldów, to przy wykryciu tego bunkra, jak również ujęciu znajdujących się w nim żydów był obecny oskarżony Samuel Frish wraz z innymi członkami policji porządkowej żydowskiej. W bunkrze tym było ukrytych około 45 żydów. Oskarżony Samuel Frish brał w tej akcji czynny udział i posunął się nawet do tego, że idącą na końcu Sabinę Holländer popychał i kopał”.

Za udowodnione uznano dalsze działania Frisha polegające na rabunku ofiar wyciągniętych z bunkra, zanim wydano ich Niemcom: „Na strażnicy [oskarżony] przeprowadzał szczegółową rewizję, przy czym rewizję tę przeprowadzał tak dokładnie, że o ile chodzi o bratową Sabiny Holländer, to nawet wyciągnął jej z pochwy ukryte tam złoto”. Z ujętych wówczas Żydów prawie że wszyscy zostali rozstrzelani. W obu

eprasa.pl 2c3010439d

wyżej opisanych akcjach [na bunkry] brali udział wyłącznie sami członkowie żydowskiej policji porządkowej".

Winę oskarżonego w tej kwestii sąd uznał za bezsporną; zeznania świadków były tu wiarygodne, a ponadto sam oskarżony potwierdził swój udział w tych „akcjach". Sąd wyraźnie podkreślił też, że w czasie wspomnianych „akcji" na miejscu nie było nikogo oprócz żydowskich policjantów, a szczególnie Niemców. Inne zarzuty (czyli denuncjowanie bunkrów – tym mieli się zajmować inni Żydzi) uznał za nieudowodnione.

Nie wiemy, ilu Żydów w 1943 r. OD-manni wyciągnęli z kilkudziesięciu bunkrów, choć można szacować, że było to kilkaset osób. Chyba najbardziej znaczącą postacią był wśród nich 79-letni Icchak Jeszaja Halbersztam, rabin Czchowa, syn cadyka Chaima Halbersztama (zwanego „Diwrej Chaim"), założyciela znanej dynastii chasydzkiej z Nowego Sącza.

ZBRODNIARZ CZY OFIARA?

Choć sąd uznał Frisha winnym „współdziałania z okupantem w jego programie wyniszczenia ludności żydowskiej", to jednak przy wymierzaniu kary wskazał okoliczności łagodzące. Jedną z nich



Fot. Wikipedia

Icchak Jeszaja Halbersztam, rabin Czchowa, syn cadyka Chaima Halbersztama



Fot. zb. Yad Vashem

Czlonkowie Ordnungsdienst i Judenratu w Bochni

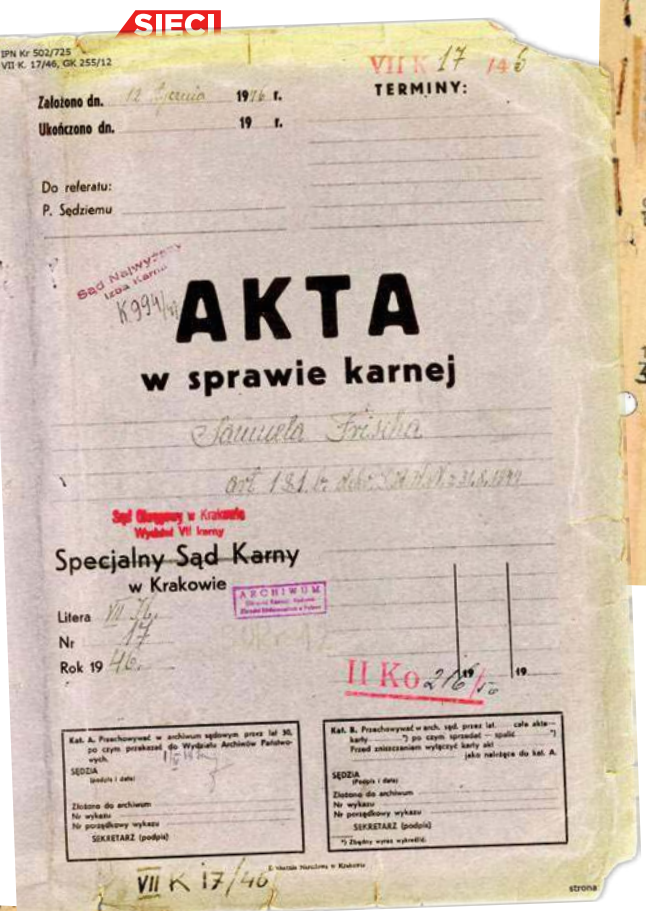
miało być rozpowszechnienie kolaboracji wobec dramatycznego nacisku wywieranego przez niemiecki system okupacyjny, szczególnie ludobójstwa Żydów: „Tego rodzaju osobnik jak oskarżony znany jest i spotykany często wśród okoliczności, które zaistniały w czasie okupacji, a zwłaszcza w gettach żydowskich". Sąd przyjął za wiarygodne zeznania świadków opisujących go pozytywnie: „Samuel Frish dawał u siebie schronienie obcym Żydom, przybywającym do getta, z których niektórzy w getcie pozostawali. Inni uciekali na Węgry po wyrobieniu fałszywych dokumentów, przy czym oskarżony miał ułatwiać im wyjście z getta". Jednak nie przyjął jego tłumaczeń, że w czasie akcji na bunkry działał pod bezpośrednim nadzorem Niemców, gdyż w obu opisanych akcjach mieli brać udział „wyłącznie członkowie żydowskiej policji porządkowej". Ale za jasny uznał fakt niedysponowania przez oskarżonego wolną wolą. Uznał bowiem, że w czasie niemieckiej okupacji – warunków stworzonych w czasie wojny zarówno dla Polaków, jak i szczególnie dla Żydów – działał w sytuacjach ekstremalnych. W związku z czym sąd nadzwyczajnie złagodził wyrok. Dysponując możliwością wymierzenia kary od 5,5 lat więzienia do kary śmierci, skazał Samuela Frisha na 8 lat. Kasacja złożona przez oskarżonego do Sądu Najwyższego była nieskuteczna. SN podtrzymał wyrok, zgadzając się z oceną sytuacji dokonaną przez sąd pierwszej instancji. Samuel Frish opuścił więzienie 6 sierpnia 1951 r. Przez chwilę był inwigilowany przez UB, potem zniknął z kart historii.

Sprawa działalności żydowskiej policji z Bochni nie powinna szokować. Ciśnienie wywierane na Żydach w czasie Zagłady jest dziś dla nas niewyobrażalne. Są liczne wskazówki, że skala kolaboracji w innych gettach wyglądała podobnie. Niemiecki raport Friedricha Katzmanna, kierującego eksterminacją ok. 500 tys. Żydów w Galicji, wspomina, jak tam rozwiązano problem wielu Żydów kryjących się w bunkrach lokalnych miasteczek: „Wejścia do bunkrów były tak ukryte, że nie można ich było odszukać bez dokładnej znajomości terenu. Jedynym rozwiązaniem było najczęściej skorzystanie z pomocy Żyda, któremu wiele za tę pomoc obiecywano". To „wiele" oznaczało tylko fałszywą obietnicę przeżycia.

WSZYSTKO MOŻNA POD SZYLDEM PAN

Historia Żydów w Bochni to jedna z części książki „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski" pod redakcją Jana Grabowskiego i Barbary Engelking przedstawianej jako sztandarowe dzieło nowej „polskiej szkoły badań Holokaustu". Sięgnięto w niej po akta sprawy karnej OD-manna Samuela Frisha, ich sygnaturę przywołując w przypisie (IPN Kr 502/725), choć ani sam Frish, ani to, kim był, ani żadna informacja dotycząca działalności OD w Bochni nie znalazły się w książce. Powołując się

eprasa.pl 2c3010439d


IPN Kr 502/725
VII K. 17/46, GK 255/12

VII K 17 146

TERMINY:

Założono dn. 12 czerwca 1946 r.

Ukończono dn. 19 r.

Do referatu:

P. Sędziemu

Sąd Najwyższy Izba Karna

K994/46

AKTA
w sprawie karnej

Samuela Frisha

Sąd Okręgowy w Krakowie Wydział VII karny

Specjalny Sąd Karny
w Krakowie

ARCHIWUM

Litera VII K

Nr 17

Rok 1946

II Ko 216/46

Kat. A. Przechowywać w archiwum sądowym przez lat 30, po czym przekazać do Wydziału Archiwów Państwowych.

SĘDZIA

Złożono do archiwum

Nr wykazu

Nr porządkowy wykazu

SEKRETARZ (podpis)

Kat. B. Przechowywać w arch. sąd. przez lat ... cała akta—karty ... po czym sprzedać — spalić *)

Przed zniszczeniem wyłączyć karty akt ... jako należące do kat. A.

SĘDZIA

Złożono do archiwum

Nr wykazu

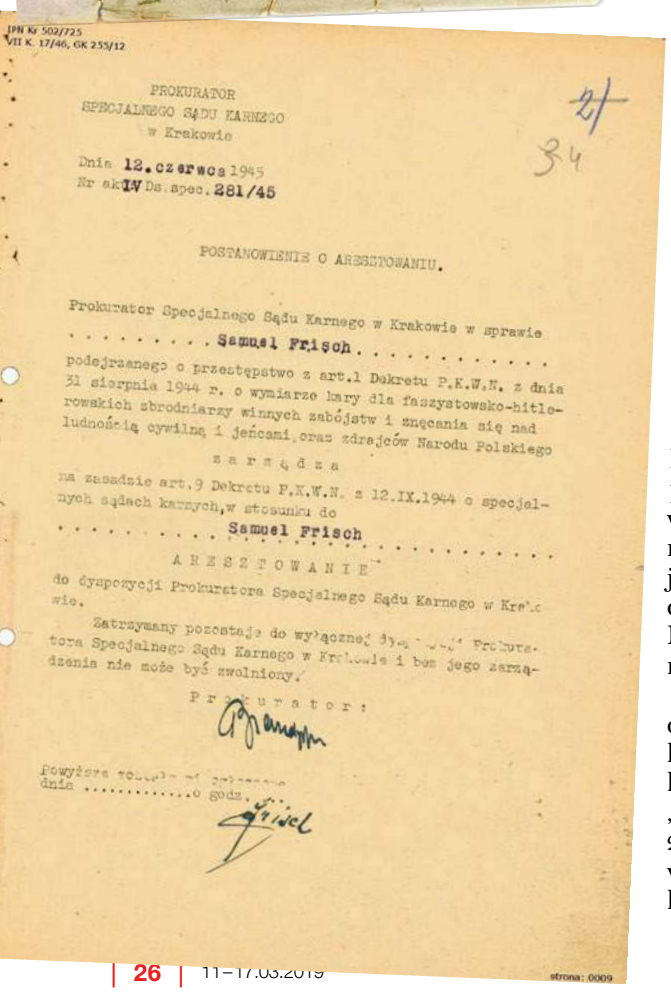
Nr porządkowy wykazu

SEKRETARZ (podpis)

*) Zbędne wyraz wykreślić.

VII K 17/46

strona


IPN Kr 502/725
VII K. 17/46, GK 255/12

PROKURATOR
SPECJALNEGO SĄDU KARNEGO
w Krakowie

Dnia 12. czerwca 1945
Nr akt IV Ds. spec. 281/45

POSTANOWIENIE O ARESZTOWANIU.

Prokurator Specjalnego Sądu Karnego w Krakowie w sprawie
. . . . . Samuel Frisch . . . . . .
podejrzanego o przestępstwo z art.1 Dekretu P.K.W.N. z dnia 31 sierpnia 1944 r. o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami, oraz zdrajców Narodu Polskiego

z a r z ą d z a

na zasadzie art.9 Dekretu P.K.W.N. z 12.IX.1944 o specjalnych sądach karnych, w stosunku do
. . . . . Samuel Frisch . . . . . .

A R E S Z T O W A N I E

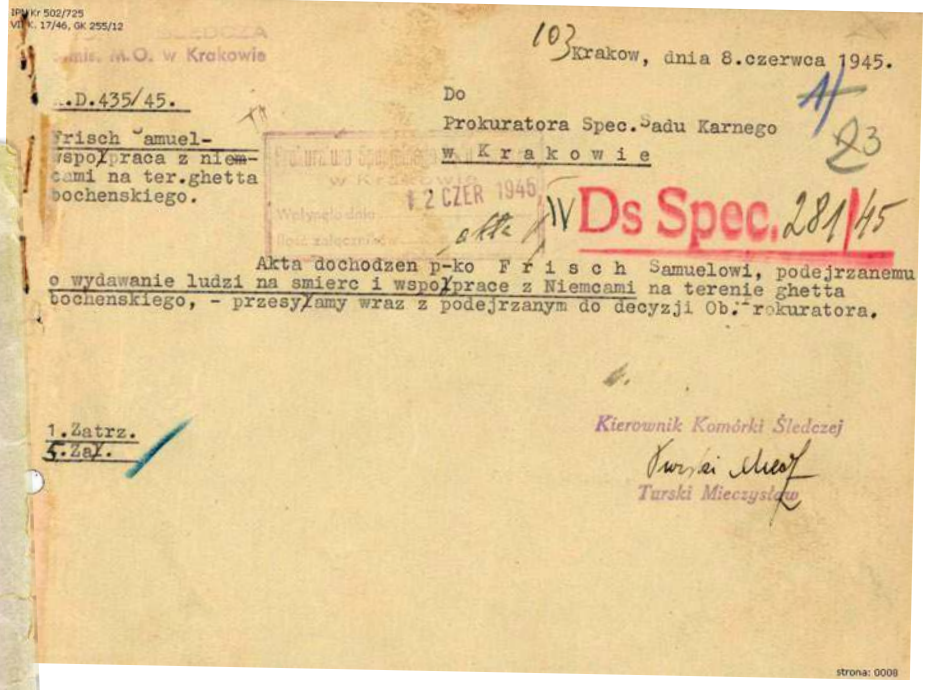
do dyspozycji Prokuratora Specjalnego Sądu Karnego w Krakowie.

Zatrzymany pozostaje do wyłącznej dyspozycji Prokuratora Specjalnego Sądu Karnego w Krakowie i bez jego zarządzenia nie może być zwolniony.

Prokurator:

Powyższe ... dnia ... o godz. ...

strona: 0009


IPN Kr 502/725
VII K. 17/46, GK 255/12

Kraków, dnia 8.czerwca 1945.

...D.435/45.

Frisch Samuel-współpraca z niemcami na ter.ghetta ochenskiego.

Do
Prokuratora Spec. Sądu Karnego
w K r a k o w i e

12 CZER 1945

IV Ds Spec. 281/45

Akta dochodzen p-ko F r i s c h Samuelowi, podejrzanemu o wydawanie ludzi na smierc i współprace z Niemcami na terenie ghetta tochenskiego, - przesyłamy wraz z podejrzanym do decyzji Ob. Prokuratora.

1. Zatrz.
5. Zał.

Kierownik Komórki Śledczej
Turski Mieczysław

strona: 0008

na te akta, doktorantka Instytutu Filozofii i Socjologii PAN Dagmara Swałtek-Niewińska napisała tylko: „Grupy poszukujące [w Bochni] ukrytych Żydów składały się z kilku osób, zwykle policjanta niemieckiego, kilku policjantów polskich oraz często osoby zatrudnionej do wyważania drzwi. Tę ostatnią funkcję pełnił Karol Gross. [...] w trakcie ostatniej akcji otworzył na rozkaz Niemców 30–40 bunkrów (tom II, s. 563–564).

Gross nie powiedział, że otwierał bunkry „na rozkaz Niemców". A w świetle przywołanych akt jest jasne, że polska policja była wykorzystywana przez Niemców do pilnowania getta z zewnątrz, a nie do wyszukiwania i otwierania bunkrów w jego wnętrzu. Tym zajmowała się zwykle żydowska, nie polska policja. Przeczytałem tę książkę, znalazłem w niej dziesiątki podobnych „interpretacji", więc wykluczam pomyłkę. Mamy do czynienia z bezpodstawnym przyklejeniem opisanych w tym artykule działań żydowskich OD-mannów Polakom. Jeżeli to nie jest grube naukowe oszustwo, to co nim jest?

Kiedy ostatnio publicznie padły ciężkie zarzuty pod adresem „pracy historycznej" autorów książki „Dalej jest noc...", którą wprost nazwano „naukową mistyfikacją", 27 lutego 2019 r. Rada Naukowa IFS PAN wydała oświadczenie o „skandalicznych komentarzach przedstawicieli IPN": „Nasze Centrum realizuje pionierskie badania i zawsze będziemy wspierać debatę na ten temat w oparciu o kryteria naukowe, a nie inwektywy i insynuacje". Dlatego napisałem ten artykuł, a redakcja tygodnika „Sieci" udostępnia w internecie akta sprawy Salomona Frisha. Niech każdy sam wyrobi sobie zdanie, z jaką „nauką" mamy tu do czynienia.

Opis sprawy Frisha to jedno z dziesiątków podobnych osiągnięć „polskiej szkoły badań Holokaustu", w której Swałtek-Niewińskiej do „naukowości" badań Engelking czy Grabowskiego jeszcze sporo brakuje. Powtarzam: ta książka to naukowa mistyfikacja.

O innych manipulacjach opowiedziałem w niedawnym wywiadzie dla „Sieci", kolejne wskażę w przygotowywanej książce. W efekcie tych zabiegów co najmniej setki żydowskich ofiar Holokaustu zamordowanych przy pomocy żydowskiej policji i żydowskich konfidentów przypisuje się dziś Polakom.

Co będzie dalej? Prof. Grabowski znów wezwie do likwidacji IPN? Może Rada Naukowa IFS PAN wyda nowe oświadczenie w obronie „badań" swojej placówki? A może ktoś tam najpierw przeczyta akta?

Artykuł odzwierciedla wyłącznie poglądy autora i powstał bez wiedzy przełożonych z IPN

5/0219/F

eprasa.pl 2c3010439d



eprasa.pl 2c3010439d



Fot. Andrzej Wiktor

Koalicja

Uczestnicy Koalicji Europejskiej zostali przez Schetynę wciągnięci w pułapkę i nawet jeśli się zbuntują, będą przegrani



STANISŁAW JANECKI

Koalicja Europejska dobrze się prezentowała przez dwa–trzy dni po jej ogłoszeniu. Ale gdy tylko zaczęto robić przymiarki do jej listy na wybory europejskie, sielanka się skończyła. Zaczęła się coraz gorętsza wojna o miejsca w okręgach i parytety dla poszczególnych ugrupowań, wzmacniana wojenkami wewnątrz ugrupowań zapisanych do koalicji. I wtedy sobie przypomniano, że przewodniczący Platformy Obywatelskiej Grzegorz Schetyna nie podpisał żadnego cyrografu twardo zobowiązującego go do oddania konkretnej liczby teoretycznie „biorących" miejsc w okręgach. I nie było to żadne przeoczenie, gdyż lider PO i całej koalicji nie chciał mieć związanych rąk. Po zawiązaniu Koalicji Europejskiej mieliśmy w jej funkcjonowaniu etap pobożnych życzeń, potem karnawał zbudowany na tych pobożnych życzeniach, następnie okres zażaleń, później czas chaosu i dezinformacji, a obecnie coś w rodzaju wojny hybrydowej z udziałem „zielonych ludzików", o których wszyscy wiedzą, że dyryguje nimi Schetyna, choć się od tego odżegnuje. „Zielone ludziki" to ci, którzy podważają jakiekolwiek wcześniejsze ustalenia, co powoduje wrażenie wojny

eprasa.pl 2c3010439d

wyrolowanych

wszystkich ze wszystkimi, i to zanim zaczęła się kampania wyborcza.

KARNAWAŁ I WOJNA HYBRYDOWA

Na etapie pobożnych życzeń obwieszczono, że w 13 okręgach wyborczych PO otrzyma siedem „jedynek", PSL – trzy i SLD – trzy. Powołano się przy tym na ustne zobowiązania. Z puli PO „jedynki" mieli otrzymać Jerzy Buzek na Górnym Śląsku, Janusz Lewandowski na Pomorzu, Ewa Kopacz w Wielkopolsce (lub „jedynkę" w Małopolsce, bądź „dwójkę" w Warszawie), Róża Thun w Małopolsce, Radosław Sikorski w Kujawsko-Pomorskiem, a ponadto „spadochroniarze" – Janina Ochojska na Dolnym Śląsku oraz Henryka Bochniarz w Warmińsko-Mazurskiem. „Jedynkami" dla PSL obdzielono Jarosława Kalinowskiego (Mazowsze), Czesława Siekierskiego (Podkarpacie) i Krzysztofa Hetmana (Lubelszczyzna). Z kolei „jedynkami" SLD mieli być Włodzimierz Cimoszewicz w Warszawie (rozważany także jako „spadochroniarz" w stolicy wskazany przez PO), Bogusław Liberadzki (Zachodniopomorskie) i Marek Belka (Łódzkie). „Dwójkami" mieli być m.in. Andrzej Halicki (PO – Mazowsze), Bartosz Arłukowicz (PO – Zachodniopomorskie), Janusz Zemke (SLD – Kujawsko-Pomorskie), Marek Balt (SLD – Górny Śląsk), Leszek Miller (SLD – Wielkopolska) lub Andrzej Grzyb (PSL – Wielkopolska), Magdalena Adamowicz (PO – Pomorze), Adam Jarubas (PSL – Małopolska), Bogdan Zdrojewski (PO – Dolny Śląsk). Na miejsca od trzeciego do piątego typowano m.in. Kamilę Gasiuk-Pihowicz (Nowoczesna – Warszawa), Barbarę Dolniak (Nowoczesna – Górny Śląsk), Adama Szejnfelda (PO – Wielkopolska), Małgorzatę Sekułę-Szmajdzińską (SLD – Dolny Śląsk), Jarosława Wałęsę (PO – Pomorze), Małgorzatę Tracz (Zieloni – Wielkopolska). Do nieokreślonych miejsc na liście aspirowali ponadto m.in. obecni europosłowie PO – Michał Boni, Jan Olbrycht i Tadeusz Zwiefka, a ponadto poseł Waldy Dzikowski, z SLD – Andrzej Szejna i Riad Haidar, z Nowoczesnej – Ewa Lieder, Krzysztof Mieszkowski, Paweł Pudłowski i Adam Szłapka, z Zielonych – Ewa Sufin-Jacquemart, Mirosława Stępień, Julia Rokicka i Urszula Zielińska, z PSL – Władysław Teofil Bartoszewski, z Teraz – Joanna Scheuring-Wielgus i Joanna Schmidt.

Po kontrolowanych przeciekach z nazwiskami nastąpił krótki okres karnawału, który szybko przeszedł w etap zażaleń. Najbardziej pokrzywdzeni czuli się Ewa Kopacz z PO, domagająca się „jedynki" w Warszawie, oraz Andrzej Grzyb z PSL, który nie dostał „jedynki" w Wielkopolsce. Była premier mogła się poczuć obrażona pomysłem ankiety wymyślonej w Wielkopolsce. Ankietowani mieli odpowiedzieć na pytanie „Czy hipotetycznie był(a)by pan/i skłonny/a zagłosować na Platformę Obywatelską i Koalicję Europejską, w której ona startuje?". Gdy potwierdzali, że są skłonni, otrzymywali kolejne pytanie: czy głosowaliby na Ewę Kopacz, Leszka Millera, Andrzeja Grzyba, Małgorzatę Tracz, Adama Szejnfelda, Waldy'ego Dzikowskiego. Jeśli ankietowany nie wymieniał nazwiska byłej premier, był dopytywany: „Czy pomimo swojej odpowiedzi rozważyłby(a) by pan/i jednak oddanie głosu na Ewę Kopacz, czy nie ma takiej możliwości?". Ta kuriozalna ankieta może potwierdzić zarówno to, że Ewa Kopacz nie ma w Wielkopolsce politycznego „wzięcia", jak i coś wręcz przeciwnego. Ale przede wszystkim poniża samą byłą premier, skoro trzeba sprawdzać, czy wyborcy jej w ogóle chcą i potrzebują. W PO można usłyszeć, że Schetyna celowo „przeczołguje" Ewę Kopacz, żeby pokazać jej miejsce w szeregu.

Bardziej pokrzywdzony niż Ewa Kopacz poczuł się niesolidny „alimenciarz" Kazimierz Marcinkiewicz, który został wykorzystany do podpisania deklaracji dotyczącej Koalicji Europejskiej, a potem całkowicie zignorowany. Marcinkiewicz się jednak publicznie nie oburzał, tylko zastosował strategię „na litość": trzeba wspomóc biednego Kazimierza, któremu się nie wiedzie, a w dodatku gnębi go była żona. W księdze zażaleń znaleźli się także obecni europosłowie PO, o których kandydowaniu nie mówi nikt – Danuta Hübner, Dariusz Rosati, Barbara Kudrycka, Agnieszka Kozłowska-Rajewicz, Danuta Jazłowiecka, Elżbieta Łukacijewska.

„DZIEL I RZĄDŹ" SCHETYNY

Nie podpisując twardych i konkretnych umów koalicyjnych, Schetyna ma partnerów w garści. Zostawił sobie decydujący głos, a ponieważ sprytnie manipuluje emocjami „pokrzywdzonych", w końcu wszyscy mogą mieć dość chaosu, kłótni i zamieszania, prosząc przewodniczącego PO, by sam podjął wiążące decyzje i zapobiegł rozpadowi Koalicji Europejskiej, zanim na serio zaczęła ona działać.

Temu służy swego rodzaju wojna hybrydowa wewnątrz i wokół Koalicji Europejskiej, która ma stworzyć wrażenie zagrożenia dla bytu opozycyjnej inicjatywy. Na obecnym etapie ta wojna służy wyłącznie Grzegorzowi Schetynie. Walczą z sobą partie wchodzące w skład koalicji oraz kandydaci wewnątrz poszczególnych ugrupowań, a Schetyna się temu spokojnie przygląda. Mamy do czynienia ze strategią rozchwiania, która ma doprowadzić do zmęczenia i oczekiwania na przecięcie tego węzła gordyjskiego przez Schetynę. To ma nie tylko ułatwić mu przeforsowanie kandydatur niekoniecznie najlepszych dla poszczególnych partii, choć wygodnych dla niego, lecz także wyeliminowanie osób wizerunkowo dla PO niezręcznych.

Najpierw kontrolując, a potem przerywając wojnę hybrydową w Koalicji Europejskiej, Schetyna będzie mógł tłumaczyć, że lepiej z kogoś zrezygnować, mimo początkowych wielkich chęci i nadziei, niż pozostawić tlące się ogniska konfliktów wokół niektórych kandydatur. Tak może się stać np. z Cimoszewiczem, który miał być pewną „jedynką" w Warszawie, a obecnie jest

eprasa.pl 2c3010439d

jedną z najbardziej wątpliwych i ryzykownych kandydatur. Podobnie jak w wypadku ankiety w Wielkopolsce mającej dowieść, czy Kopacz jest tam w ogóle pożądana i wybieralna, Schetyna może znaleźć sposób na udowodnienie, iż „jedynka" dla Cimoszewicza to błąd. A gdyby były premier „jedynki" nie dostał, może zareagować godnościowo i z wyborów samemu się wycofać. Schetynie byłoby to na rękę, zaś przewodniczący SLD Włodzimierz Czarzasty nie będzie umierał za Cimoszewicza. Taką strategię przewodniczący PO może zastosować także wobec innych niewygodnych kandydatur, np. Millera. Wbrew pozorom Schetyna wcale nie jest wielkim zwolennikiem „jedynki" dla Sikorskiego, któremu pamięta „lwowską żulię" oraz traktowanie jako polityka drugorzędnego, w dodatku kulturowo obcego i dalekiego od salonu. Jeśli lider PO dojdzie do wniosku, że opłaca mu się Sikorskiego „przeczołgać", zrobi to i były szef MSZ „jedynki" nie dostanie. Podobnie może być z Thun w Małopolsce. Schetyna zawsze postępował wedle zasady „dziel i rządź", więc dotyczy to także układania listy Koalicji Europejskiej. Koalicja koalicją, ale ostatnie słowo musi należeć do niego, co ma być też demonstracją siły w kontekście jesiennych wyborów do Sejmu i Senatu. Ma to być również demonstracja siły wobec Donalda Tuska. Były premier z PO widziałby kilku obecnych europosłów PO na liście Koalicji Europejskiej, ale żaden z jego protegowanych nie zyskał akceptacji Schetyny. Właśnie dlatego, że wspiera ich Tusk.

PUŁAPKA NA KOALICJANTÓW

Schetyna wie, że nawet nie dotrzymując słowa, czyli rolując partnerów, traci najmniej, gdyż to mniejszym w koalicji bardziej na niej zależy i dużo straciliby na jej zerwaniu, tym bardziej że nie mają twardych dowodów na to, co konkretnie im Schetyna obiecał. Przewodniczący PO najwyraźniej założył, że zrobi tak jak z Lubnauer w wypadku Koalicji Obywatelskiej, czyli postawi partnerów przed faktami dokonanymi. Lubnauer przez kilka tygodni chodziła nadąsana i obrażona, ale ostatecznie i tak zapukała do Schetyny, mimo że przypominało to dobijanie się Juranda ze Spychowa do bramy krzyżackiego zamku w Szczytnie. Schetyna wie, że bez Koalicji Europejskiej niebytem już jest Nowoczesna, a wkrótce będzie to dotyczyć także SLD. Przyjęcie Zielonych do koalicji jest wielkopańskim gestem, gdyż ta partia od dawna jest na marginesie. Jedynym twardym do zgryzienia orzechem dla Schetyny jest PSL, ale i w tym wypadku nie sposób spodziewać się zerwania koalicji, gdyby niektórzy kandydaci partii Władysława Kosiniaka-Kamysza zaczęli być „czołgani". Najwyżej PO będzie miała kłopoty z koalicją z PSL przed wyborami parlamentarnymi. Część polityków PSL już zauważa „uroki" współpracy ze Schetyną, np. europoseł Grzyb, któremu szef PO nie chce dać „jedynki" w Wielkopolsce. Grzyb powiedział na początku marca 2019 r.: „Samo stworzenie koalicji nie jest równoznaczne z uzyskaniem dobrego wyniku". Szczególnie nie jest to równoznaczne, gdy Schetyna będzie wedle własnej woli manipulował listą Koalicji Europejskiej. W PSL coraz więcej osób przyznaje, że rację mieli Waldemar Pawlak, Marek Sawicki czy Eugeniusz Kłopotek, którzy nie chcieli przystąpienia do Koalicji Europejskiej. Nie tylko dlatego, że obawiali się marginalizacji własnej partii, lecz także z powodu znajomości osoby i metod stosowanych przez Schetynę, czyli rolowania, kogo się da. W PSL narasta świadomość, że Schetynie nie chodzi o koalicję, tylko o jego niekwestionowaną i nieograniczoną władzę. A z tym wiąże się również zdolność „konsumowania" przez PO mniejszych partnerów w koalicji. Schetyna chce mieć maksymalnie silną pozycję, żeby Tusk nie mógł mu nic zrobić, niezależnie od tego, czy wróci do polskiej polityki, czy nie.

> Celem Schetyny jest wykorzystanie punktów za koalicję bez respektowania równych praw koalicjantów

Stan na dziś jest taki, że nic z tego, co obiecano partiom koalicyjnym i poszczególnym kandydatom, nie zostało zatwierdzone, więc nic nie jest pewne, a przedłużanie ogłoszenia listy Koalicji Europejskiej pracuje na rzecz Schetyny. Wszystko wskazuje na to, że lider PO i koalicji nie zamierza dotrzymać pierwotnych parytetów – 7–3–3 (PO-PSL-SLD) – ani oddać trzech miejsc przynależnych PO kandydatom spoza tej partii. Schetyna szybko doprowadził do przecieków co do kształtu listy, żeby całą brudną robotę w kwestii weryfikacji siły tych kandydatów zrobiły inne partie oraz sami zainteresowani. Gdy ta wojna hybrydowa się ustabilizuje, lider PO przyjdzie na gotowe i niczym Salomon wyda ostateczny werdykt. A w razie potrzeby podeprze się ankietami takimi jak ta przeprowadzona w Poznaniu.

Celem Schetyny jest wykorzystanie punktów za koalicję bez respektowania równych praw koalicjantów, w tym finansowego respektowania, co oznacza, że PO nie zapłaci za kampanię kandydatów spoza tej partii. Lider PO nie zamierza też równo wspierać wszystkich kandydatów PO, przede wszystkim finansowo, więc nawet umieszczenie ich wysoko na liście nie oznacza równych szans. Schetyna najwyraźniej zamierza powtórzyć strategię Jarosława Kaczyńskiego z wyborów do PE w 2014 r. oraz tych najbliższych. Ta strategia polega na tym, że nie oddaje się miejsc osobom niebudzącym pełnego zaufania ani takim, które nie są zasobem samego szefa partii. Dlatego mimo istnienia wieloczłonowej i multiideologicznej koalicji ci, którzy zdobędą mandat, najprawdopodobniej pozostaną we frakcji Europejskiej Partii Ludowej. Taki ma być plan Schetyny. Początkowo niby czasowo i dla dobra układanek personalnych dotyczących obsady stanowisk szefa Komisji Europejskiej, Rady Europejskiej i Parlamentu Europejskiego, a potem ten stan tymczasowy ma się zamienić w ostateczny. I okaże się, jak bardzo i koncertowo koalicjanci zostali przez Schetynę wyrolowani. Zostali wciągnięci w pułapkę i nawet jeśli się zbuntują, będą przegrani.

34/0119/F

eprasa.pl 2c3010439d



KGHM
POLSKA MIEDŹ

Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, umożliwiając rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M. Skłodowskiej - Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com

eprasa.pl 2c3010439d

Jesteśmy kilka kroków przed opozycją

Jeśli wygramy w maju, będzie nam dużo łatwiej zwyciężyć jesienią, choćby dlatego, że będziemy czuli wiatr w żaglach. Będą lepsze emocje, będzie więcej optymizmu, wiary we własne siły

Jacek Karnowski rozmawia z Tomaszem Porębą, europosłem, szefem kampanii wyborczej PiS w zbliżających się wyborach do Parlamentu Europejskiego

Podczas ostatniej konwencji PiS Jarosław Kaczyński mówił o „dwóch turach" wyborów, które rozstrzygną o losie Polski. Wicepremier Beata Szydło dodała: „Musimy wygrać wybory majowe, by jesienią potwierdzić mandat do rządzenia". Skąd w PiS tak twarde założenie, że wynik jesienny jest wprost zależny od wyniku majowego?

Tomasz Poręba: W mojej ocenie nie da się tych dwóch kampanii rozdzielić. Można odnieść sukces tylko wówczas, gdy uda się połączyć w sposób przemyślany i umiejętny przekaz obu tych kampanii. To musi być tak naprawdę jeden projekt. Jeśli wygramy w maju, będzie nam dużo łatwiej zwyciężyć jesienią, choćby dlatego, że będziemy czuli wiatr w żaglach. Będą lepsze emocje, będzie więcej optymizmu, wiary we własne siły.

Jeżeli w maju wygra zaś opozycja, to ona złapie ów wiatr w żagle i doprowadzi do przełamania?

Na pewno na to liczy, ale będę konsekwentnie powtarzał, że nie oglądamy się na to, co robi i myśli konkurencja, skupiamy się na naszych działaniach. Chcemy – i myślę, że nam się to udaje – wejść w ten rok wyborczy możliwie mocno, chcemy uzyskać dobrą dynamikę. Pamiętajmy, że wybory do PE są dla PiS zawsze bardzo trudne i jeśli one przyniosą nam zwycięstwo, to będzie to dobry prognostyk przed wyborami do Sejmu i Senatu. Ale by to osiągnąć, musimy zmobilizować swoich wyborców.

A jest z tym problem?

Wielu naszych wyborców traktuje wybory europejskie mniej poważnie niż wybory krajowe, ponieważ dotyczą one spraw dalekich i niektórym wyborcom trudno jest dostrzec związek między ich życiem a tym, co dzieje się w Brukseli. Przekonanie tych osób, że jednak warto i trzeba pójść do lokalu wyborczego, jest dla nas kluczowe. Tym bardziej że w skali ogólnopolskiej możemy się spodziewać frekwencji wyższej niż pięć lat temu. Będziemy naszym wyborcom pokazywali znaczenie Parlamentu Europejskiego, ale także będziemy mówili, że maj to pierwszy krok do zwycięstwa jesienią.

To dlatego PiS ogłosiło tzw. piątkę Kaczyńskiego już w teraz, choć odnosi się ona do spraw krajowych?

Piątka Kaczyńskiego to logiczny ciąg dalszy wcześniejszych propozycji programowych. Co ważne, propozycji zrealizowanych. Mówimy Polakom, że potrafimy pchać polskie sprawy do przodu, że mamy coś, co ja uważam za rzecz w polityce bezcenną, a więc sprawczość. Jeśli coś obiecamy, to na pewno nie zawiedziemy. Wreszcie wysyłamy mocny sygnał do naszych rodaków, że szliśmy po władzę po to, by to im żyło się lepiej, by to oni korzystali z owoców rozwoju. By nie było tak jak za Platformy, gdy zadłużenie państwa wzrosło dwukrotnie, zabrano ludziom OFE, podwyższano podatki, a pieniędzy dla zwykłych ludzi nie było. Na tamtych rządach korzystały mafie VAT-owskie, różni kolesie, wąska elita medialno-biznesowa.

PiS ma swój program europejski, ale zamiast się nim chwalić, woli eksponować wątki socjalne. Czy to wynika z obawy, że stanowisko PiS w sprawie Unii Europejskiej – jednoznacznie popierające członkostwo, ale postulujące reformy – jest trudne do atrakcyjnego przedstawienia, a łatwe do zaatakowania?

Jesteśmy dopiero na progu kampanii wyborczej i mogę pana redaktora zapewnić, że będziemy o Europie dużo mówić. Nie robimy żadnego uniku. Mamy jasny przekaz: Unia Europejska jest dla nas bardzo ważna, ale nie godzimy się na budowę jakiegoś europejskiego superpaństwa, w którym o losie i polityce suwerennych krajów będą decydowali przez nikogo niewybrani urzędnicy i komisarze, a nie obywatele w demokratycznych wyborach. To właśnie proponuje np. prezydent Francji Emmanuel Macron wspierany przez kanclerz Niemiec.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c3010439d



eprasa.pl 2c3010439d

Myślę, że tego typu propozycje mogą Unii po prostu mocno zaszkodzić.

Czy nie obawia się pan, że proponując w tej kampanii szeroki program socjalny, PiS tak naprawdę toczy poprzednią bitwę? Czy jesteście pewni, że coś, co zadziałało w 2015 r. i później, zadziała także teraz?

Dla nas to nie są tylko programy socjalne czy społeczne, to są także impulsy rozwojowe, które mają pomóc naszej gospodarce i naszym rodzinom. Bo to przecież nie tylko trzynasta emerytura czy 500+ na pierwsze dziecko, lecz również mocne propozycje obniżające koszty pracy, ciekawe rozwiązania dla przedsiębiorców zmniejszające podatki czy zwolnienie młodych ludzi do 26. roku życia z PIT. To jest kompozycja dobrze zrównoważonych i przemyślanych propozycji, które będą sprzyjać szybkiemu rozwojowi państwa.

Jak? Bo np. w przypadku rozszerzenia programu 500+ można powiedzieć, że „ten film już widzieliśmy". Tę historię Polacy już sobie opowiedzieli.

Nasze propozycje będą promowane zarówno na poziomie rządowym, jak i w terenie. Pomysłów, zapewniam, nam nie zabraknie. Już kilka dni temu premier Morawiecki w bardzo atrakcyjnej formule pokazał jasną mapę drogową dochodzenia do poszczególnych ustaw. Będziemy też mówili dużo o tym, skąd weźmiemy pieniądze, by rozwiać zarzuty, że wydajemy za dużo. To wszystko zostało starannie policzone, wiemy, na co nas stać.

Dlaczego PiS zdecydowało się wypłacić zaproponowane świadczenia jeszcze przed jesiennymi wyborami, a w przypadku dodatkowej emerytury nawet przed wyborami majowymi? Możliwy był przecież scenariusz odwrotny: najpierw wybory, później realizacja.

Proszę zwrócić uwagę, że wszystkie nasze propozycje są bardzo szybko realizowane. Tak było choćby z ostatnią piątką Morawieckiego, którą zapowiedziano w kwietniu zeszłego roku, a już została w całości wdrożona. Obecna piątka ma więc nie tylko kontekst wyborczy, to przede wszystkim zadania, które PiS postawiło przed sobą w ostatniej części obecnej kadencji. My po prostu mamy taki sposób rządzenia, tak widzimy swoje zadania. To jest pewna czytelna klamra, kropka nad i, mocno skorelowana z naszymi wcześniejszymi propozycjami.



Premier Mateusz Morawiecki podczas wizyt w Węgrowie oraz w Łukowie

Fot. Piotr Trasc/KPRM

> Powołanie Koalicji Europejskiej oznacza, że nie mamy konkurenta na poziomie programowym, bo tam żadnego spójnego programu być po prostu nie może

Zdaniem opozycji wy po prostu przekupujecie wyborców.

To jest prawo opozycji, by krytykować, ale chciałbym też, by dostrzegła, że poprawiamy życie Polaków, jednocześnie dbając o dyscyplinę budżetową, skutecznie ściągając podatki, rozwijając się chwilami najszybciej w Europie czy awansując do grupy krajów rozwiniętych. To są fakty. Tak dobrych lat dla Polski jak czas naszych rządów jeszcze nie było.

Czy nie lepiej byłoby przeznaczyć te pieniądze – a chodzi o co najmniej ponad 30 mld zł – na zaspokojenie roszczeń precyzyjniej dobranych grup społecznych? Teraz strajk, niewykluczone, że politycznie dotkliwy, zapowiadają nauczyciele.

Jeśli ktoś spojrzy obiektywnie na zapowiedzi strajku nauczycieli, to musi dostrzec, że szef ZNP pan Sławomir Broniarz faktycznie jest już politykiem opozycji. Niemal każde jego działanie jest tak pomyślane, by dokuczyć rządowi PiS. To po pierwsze. Po drugie, nawet „Gazeta Wyborcza" na swojej słynnej okładce, potępiającej „rozdawnictwo" naszego rządu, przyznała, że nauczyciele za rządów PiS dostali realną podwyżkę w wysokości 16 proc. Dodam, że w czasach rządów PO-PSL pensje nauczycielskie były zamrożone. Po trzecie, z naszych nowych propozycji skorzystają zarówno nauczyciele, jak i np. osoby niepełnosprawne. To są programy powszechne.

Minister Szczerski zażartował, odnosząc się do programu 500+, że „nauczyciele nie mają obowiązku życia w celibacie". Rozpętała się burza, przeprosił, ale to zdanie będzie się za kampanią pewnie wlokło.

Wszystkich szanujemy, w każdy postulat uważnie się wsłuchujemy, ale politycy muszą dokonywać niełatwych wyborów. Mimo że protest ZNP ma charakter polityczny, premier jasno zadeklarował: w kolejnych latach zarobki nauczycieli będą coraz lepsze; by do tego doprowadzić, potrzeba jednak trochę czasu. Warto też apelować, by grupy społeczne, które mają często słuszne finansowe ocze-

eprasa.pl 2c3010439d

kiwania, nie atakowały rządu, dzięki któremu wrażliwość społeczna przestała być pustym hasłem.

Czy piątka Kaczyńskiego będzie także głównym przekazem kampanii jesiennej, czy po wyborach europejskich pojawią się jakieś kolejne propozycje?

Myślę, że będą kolejne ciekawe propozycje uzupełniające, ale za wcześnie, by o nich mówić. Piątka Kaczyńskiego jest jednak programem o takiej skali i takim rozmachu, że z pewnością będziemy o niej mówili i przed wyborami, i po wyborach.

Dlaczego PiS zdecydowało się przedstawić swoją hojną propozycję już w lutym? Niektórzy komentatorzy twierdzą, że to objaw paniki po sprawie taśm Birgfellnera, po awanturze wokół zarobków w NBP.

Bzdura. Wiele komentarzy, które można spotkać w polskich mediach, zasługuje jedynie na uśmiech, tak bardzo są oderwane od realnych wydarzeń. Potrafimy wychodzić z kłopotów, np. na kwestię zarobków w NBP zareagowaliśmy szybko i uczciwie, przyjmując ustawę o jawności pensji. A sprawa taśm to po prostu brutalna próba zaatakowania naszego lidera, która szybko okazała się jednak zwykłym, na siłę ciągniętym niewypałem. Podstawy poparcia dla PiS są bardzo solidne i jeśli nadal będziemy konsekwentnie zmieniać na lepsze życie polskich rodzin, dbać o szybki rozwój gospodarczy, jeśli będziemy z ludźmi, pokornie wsłuchując się w ich głosy, i nie wpadniemy w pychę, nasze rządy potrwają bardzo długo.

Czy to, że propozycje PiS ogłosił osobiście prezes Jarosław Kaczyński, oznacza, że będzie on grał główną rolę w toczącej się już kampanii wyborczej? W czasie kampanii samorządowej na pierwszym planie był jednak premier Morawiecki.

Prezes Kaczyński jest nie tylko naszym liderem, lecz także naszą marką, więc i w tej kampanii będzie bardzo aktywny. Aktywny będzie – także na poziomie międzynarodowym – premier Morawiecki oraz sami nasi kandydaci. Zwłaszcza Beata Szydło, polityk, która była premierem w czasach wdrażania 500+ i ten program do dziś jest z nią mocno kojarzony. To jest drużyna, której praca ma się złożyć zarówno na dobrą kampanię, jak i na dobry wynik.

Jaki jest klucz do listy PiS? Czy jest ona jakimś konkretnym przesłaniem, czy też – jak to często bywa – wypadkową różnych zmiennych, które musi uwzględnić lider partii?

Priorytet był jeden: by były to bardzo mocne listy. Takie, które dadzą zwycięstwo, które będą jasnym sygnałem dla naszych wyborców, że warto wyjść z domu i zagłosować, choćby dlatego, by w Brukseli o nasze sprawy bili się politycy mocni, doświadczeni, twardzi. W Parlamencie Europejskim nie ma bowiem żadnych sentymentów. Pracuję tam od wielu lat i wiem, że w każdej sprawie toczy się bój o interes poszczególnych krajów, regionów.

Czy te listy nie będą sprzyjały bratobójczym walkom w ramach jednej listy? W każdym regionie są co najmniej dwa, trzy, cztery bardzo mocne nazwiska. To może sprawić, że będzie krwawo.

Jako były sportowiec wiem, że rywalizacja zawsze mobilizuje, zawsze podnosi poziom i daje dobre wyniki. Wystawiamy doświadczonych polityków, którzy doskonale wiedzą, że kolega na liście nie będzie ich raczej wspierał, ale też nie może być wrogiem, bo cel mamy wspólny: wygrać wybory.

Jaki jest cel tych wyborów liczony w mandatach?

Na pewno powinniśmy zdobyć więcej mandatów, niż mamy dziś, a więc powyżej 18. To już będzie sukces, ale oczywiście bardzo chciałbym, by te moje oczekiwania okazały się po czasie znacznie niedoszacowane.

Czy to, że PiS będzie walczyło z Koalicją Europejską, nie jest jednak dla was dużym zaskoczeniem? Analitycy PiS, z tego, co wiem, zakładali jednak, że PSL na pewno pójdzie osobno.

Osobiście jestem zaskoczony wejściem PSL do tej koalicji. To jest ruch nielogiczny, sprzeczności programowe są nie do zasypania. Jak ugrupowanie odwołujące się do tradycji i religii może wspierać bardzo od niego odległe formacje antychrześcijańskie? Ta koalicja nie będzie więc miała żadnego spójnego programu.

> Z naszych nowych propozycji skorzystają zarówno nauczyciele, jak i np. osoby niepełnosprawne. To są programy powszechne

Do tego dochodzi pytanie, jak w takim gronie ułożyć akceptowalne listy. Jest tam naprawdę bardzo wielu niezadowolonych, a będzie ich jeszcze więcej, w końcu liczba miejsc potencjalnie biorących jest ograniczona.

Rozpadną się?

Nie wiem, jak PSL wyjdzie z tej pułapki, w którą samo weszło. Ale podkreślam: koncentrujemy się na swoich działaniach, one są najważniejsze.

Lepiej walczyć z opozycją zjednoczoną w jednym bloku czy też podzieloną?

Powołanie Koalicji Europejskiej oznacza, że nie mamy konkurenta na poziomie programowym, bo tam żadnego spójnego programu być po prostu nie może. Oznacza także, że gdy my jesteśmy po pierwszej konwencji i szykujemy kolejne wydarzenia, oni wciąż się kłócą o listy. Znów jesteśmy kilka kroków do przodu. I zrobimy wszystko, by już nas nie dogonili.

eprasa.pl 2c3010439d

Czy Polacy chcą więcej LGBT?



Fot. Jan Bielecki/East News

Badania wskazują na stały wzrost akceptacji dla związków partnerskich. Jednak gdy się dokładniej przyjrzeć sondażom, widać, że owa akceptacja Polaków nie jest bezwarunkowa. Zaczyna znikać, gdy tylko ideologia LGBT wkracza do naszego prywatnego życia



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Rośnie poparcie Polaków dla związków partnerskich. Tak przynajmniej wynika z opublikowanego pod koniec lutego sondażu IPSOS zrealizowanego na zamówienie portalu OKO.Press. Z badań wynika, że aż 56 proc. ankietowanych nie ma nic przeciwko związkom partnerskim, co stanowi powolny, ale stały wzrost w stosunku do czerwca 2017 r., gdy akceptacja dla takich związków po raz pierwszy przekroczyła w badaniach IPSOS granicę 50 proc. (osiągając 52 proc.).

Polacy są już jednak – wedle tych samych sondaży – nieco mniej liberalni w kwestii małżeństw jednopłciowych (41 proc. w tym roku wobec 38 proc. w 2017 r.) i zdecydowanie nielibe-

eprasa.pl 2c3010439d

ralni, jeśli chodzi o prawo do adopcji dzieci przez pary homoseksualne (18 proc. dziś w stosunku do 16 proc. poprzednio).

Z badań wynika też, że najbardziej przychylni wobec postulatów LGBT są w Polsce ludzie najmłodsi oraz kobiety. Rzecz jasna stosunek do tych postulatów ma też ścisły związek z poglądami respondentów, na jednym – życzliwym skrzydle – znajdują się głównie wyborcy Wiosny Biedronia oraz PO, na drugim – niechętnym – przede wszystkim elektorat PiS.

TĘCZOWA OPOZYCJA

Publikacja badań zbiegła się w czasie z gwałtowną kampanią na rzecz LGBT. Tęczowa fala ruszyła – co akurat nie powinno zaskakiwać – od Wiosny Roberta Biedronia i z łoskotem przetoczyła się przez pozostałe ugrupowania opozycyjne. Niemal każdy w szeregach rywalizującej z Biedroniem „europejskiej opozycji" poczuł się zobowiązany do wyrażenia swojego żarliwego poparcia dla postulatów środowisk LGBT oraz zapewnienia, że będzie o nie walczył aż do ostatniego tchu.

Mieliśmy więc już „Deklarację styczniową" podpisaną przez Grzegorza Schetynę i Barbarę Nowacką, w której PO zobowiązała się m.in. do promowania praw osób LGBT w szkołach. Był też zgłoszony przez Nowoczesną projekt ustawy zakazującej terapii osób homoseksualnych chcących stać się heteroseksualistami oraz deklarację programową Nowoczesnej, która – przystępując do Koalicji Europejskiej – zobowiązała się do „promowania równości i ochrony mniejszości, w tym społeczności LGBT+".

Najwięcej kontrowersji wywołało jednak uroczyste podpisanie Karty LGBT+ przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, a zwłaszcza zawarte w niej pomysły zmierzające do faktycznej promocji zachowań homoseksualnych wśród młodzieży szkolnej oraz narzucania tzw. klauzul antydyskryminacyjnych przedsiębiorcom jako warunku zawarcia przez nich umowy biznesowej z miastem. Sprzeciwy wzbudziła nie tylko niespotykana dotąd od czasów Peerelu skala ideologicznej ingerencji w codzienne życie wielu warszawiaków, lecz również bardzo realna perspektywa indoktrynacji – decyzje urzędującego prezydenta Warszawy nie są przecież wyborczymi obietnicami, z którymi różnie może jeszcze być, lecz są po prostu wprowadzane w życie.

Obserwując tę erupcję tęczowych pomysłów, trudno było uciec od wrażenia, że „europejska opozycja" licytująca się z Robertem Biedroniem na „nowoczesność" nie ma już nic innego do zaoferowania wyborcom. Że – jej zdaniem – jedyne, czego dziś Polacy oczekują od polityków, to edukacja ich dzieci w duchu LGBT, tęczowy biznes i coroczne (na razie jeszcze nieobowiązkowe) pochody pierwszomajowe pod tęczowymi flagami.

Trudno powiedzieć, co jest źródłem tego przekonania. Czy napędzają je



Pawłowi Chojeckiemu

Wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach po stracie

ŻONY OLI

składają

Zarząd i Pracownicy Kasy Stefczyka

6/0319/F



Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
oraz szczere słowa otuchy z powodu śmierci

ŻONY

Pawłowi Chojeckiemu

składają

Koleżanki i koledzy z Apelli

7/0319/F

eprasa.pl 2c3010439d

sondaże, takie jak ten opublikowany przez OKO.Press, czy może przeciwnie – sondaże są reakcją na coraz silniejszą obecność tęczowej ideologii w życiu publicznym? Tak czy inaczej sondaż IPSOS wywołał entuzjazm wśród naszych liberałów. Dla nich to koronny dowód na to, że w społeczeństwie polskim nastąpiły już na tyle głębokie i trwałe przewartościowania, że powinny one znaleźć swoje odzwierciedlenie w prawie. Portal OKO.Press wprost wzywa Platformę do podjęcia kampanii na rzecz legalizacji związków partnerskich (a w dalszej przyszłości i małżeństw), tłumacząc, że „uwzględnienie postulatów równościowych może się opłacić. Nie tylko trafiają one bowiem do wyborców liberalnych i lewicowych, ale także do ludzi młodych, którzy do tej pory głosowali na prawicowych skandalistów".

To wyraźny głos w kierunku Grzegorza Schetyny, który w sprawach światopoglądowych zwykle się waha i kalkuluje. Jeśli przekonać go, że postulaty LGBT pomogą mu zebrać parę procent więcej poparcia, to nie będzie miał oporów, aby złapać za tęczowy sztandar i z hollywoodzkim uśmiechem wymachiwać nim na kolejnej Paradzie Równości.

GRANICE LETNIOŚCI

Problem w tym, że to wszystko mogą być jedynie pobożne życzenia. I nie chodzi o to, czy sondaż IPSOS był – jak twierdzą niektórzy na prawicy – zmanipulowany czy też nie. Badania (i to nie tylko przeprowadzone przez IPSOS) rzeczywiście wskazują na stały wzrost akceptacji dla związków partnerskich i znacznie mniejszy, ale również rosnący, dla małżeństw homoseksualnych – choć różnią się one wynikami. Jednak gdy się dokładniej przyjrzeć badaniom, widać, że owa akceptacja Polaków nie jest bezwarunkowa.

Polacy wbrew temu, co próbuje się nam ciągle przypisywać, są generalnie narodem tolerancyjnym. Nie wynika to bynajmniej z jakichś egalitarnych pierwiastków naszej duszy, lecz ze zjawiska, które Piotr Skwieciński nazwał kiedyś trafnie „letniością". Rzeczywiście, Polacy są letni. Nie angażują się głęboko ani masowo w ideologiczne spory. Związki partnerskie nie wydają się więc z tego punktu widzenia jakimś szczególnym zagrożeniem dla ich codziennego życia. Ot, komu przeszkadza, jak dwóch panów lub dwie panie układają sobie prywatne sprawy? Kto normalny mógłby odmawiać innym prawa do dziedziczenia albo prawa do informacji o stanie zdrowia partnera? Z badań – choćby przeprowadzanych kilka lat temu przez PBS i CBOS – wynika, że zdecydowana większość Polaków nie ma nic przeciwko temu. Tak samo większość (ponad 70 proc. według CBOS w 2013 r.) jest skłonna zaakceptować osoby homoseksualne jako sąsiadów czy też kolegów lub koleżanki z pracy. Krótko mówiąc, dopóki pytania dotyczą cudzych prywatnych spraw, pozostajemy letni, a nawet empatyczni. Wszystko się zmienia, gdy LGBT zaczyna wkraczać do naszego własnego życia. Wtedy owa letniość natychmiast znika.

Pokazują to badania. Zaledwie 29 proc. Polaków (według badań PBS z 2015 r.) byłoby skłonna przyjąć do swojej rodziny osoby homoseksualne, choć jedynie 35 proc. (CBOS z 2013 r.) uważa takie osoby za zagrożenie dla polskiej rodziny (czyli jakiejś cudzej, nie naszej własnej). 48 proc. – według badań CBOS z 2013 r. – twierdzi, że osobom homoseksualnym nie powinno się pozwalać na pracę z dziećmi (przeciwnego zdania jest 31 proc.). I nie dotyczy to, jak przekonują nas liberalne media, wyłącznie nieoświeconych mieszkańców zapadłych wsi. Bo – jak wynika z sondażu – jedynie 34 proc. liberalnych mieszkańców Warszawy zgodziłoby się oddać swoje dziecko pod opiekę osoby LGBT.

Dobrze to koresponduje z badaniami dotyczącymi prawa do adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Nawet z tegorocznego sondażu IPSOS wynika, że dla przytłaczającej większości Polaków (77 proc.) nie wchodzi to w rachubę.

Zatem przekonanie, że Polacy są już gotowi na życie pod tęczowymi sztandarami jest dziś przedwczesne. Owszem, gdyby obecna opozycja przejęła władzę w Polsce, to nie da się wykluczyć, że w ciągu kilku najbliższych lat progresywne tendencje w społeczeństwie mogłyby się utrwalić lub wręcz przyspieszyć. Jak bowiem wskazują doświadczenia liberalnych państw zachodnich, legalizacja związków partnerskich nie jest celem, lecz środkiem do celu. Związki mają jedynie oswoić społeczeństwo z nadejściem nieuchronnego – małżeństw LGBT i adopcji dzieci przez pary homoseksualne. To zresztą powód, dla którego również mniej ortodoksyjna część prawicy odrzuca związki partnerskie.

PRZECIĄGANIE STRUNY

Możliwy jest jednak inny scenariusz. Taki, w którym coraz bardziej natarczywe promowanie LGBT połączone z nachalną ideologizacją kolejnych aspektów życia zacznie wzbudzać opór. Gdy za kilka lat się okaże, że dzieci w całej Polsce obowiązkowo muszą wysłuchiwać lekcji o gejach, że przedsiębiorcy, którzy nie podpiszą klauzuli antydyskryminacyjnej, będą dyskryminowani w biznesie, a urzędnik, który odmówi udziału w Paradzie Równości, będzie miał nieprzyjemności w pracy, to wówczas pojawi się dystans, który z czasem zamieni się w narastające odrzucenie.

Nasi postępowcy tak bardzo uwierzyli już w swój historyczny triumf, że nie dostrzegają możliwości przyszłej porażki. Nic nie jest bowiem ostatecznie przesądzone ani historycznie zdeterminowane. Przeciągają strunę coraz mocniej, co w pewnym momencie zaniepokoi nawet zdystansowanych letnich Polaków. A ideologiczną histerię – bez względu na jej barwy – w Polsce się odrzuca. Przekonała się o tym wiele lat temu prawica, a nie tak dawno temu jej dzisiejsi przeciwnicy, którzy nie mogli pojąć, dlaczego ich krzykliwe protesty są dość powszechnie przyjmowane z obojętnością lub wręcz ze stukaniem się w czoło.

Dlatego prawica przez cały czas powinna przedstawiać Polakom spokojną odpowiedź na kampanię LGBT. Zamiast indoktrynacji i sprowokowanych awantur – rozsądek i umiarkowanie. Czy to wystarczy? Nie wiem, ale na pewno pomoże nam w nieco lepszej kondycji niż innym doczekać chwili, gdy szalejący nad Europą tęczowy ogień w końcu sam się wypali.

42/0219/F

eprasa.pl 2c3010439d

Pracownicze Plany Kapitałowe

Oszczędzaj na bezpieczną przyszłość ze swoim Pracodawcą i Państwem

Pracownik

Ty **2%** + dobrowolna składka do **2%**

Pracodawca

Składka **1,5%** + dobrowolnie dodatkowo do **2,5%**

Państwo

250 zł na dobry początek
+ **240 zł** rocznie

Pracownicze Plany Kapitałowe



- Proste i wygodne oszczędzanie na przyszłość
- Środki w pełni prywatne i dziedziczone
- Do każdej wpłaconej złotówki dokładają się Pracodawca i Państwo

W sumie się opłaca

www.mojePPK.pl

PFR Polski Fundusz Rozwoju
Ministerstwo Finansów
KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW

eprasa.pl 2c3010439d

Imigrancka ciuciubabka

W połowie ubiegłego roku ujawniliśmy w tygodniku „Sieci" dziurę w systemie, przez którą mafia nielegalnie ściąga do Polski tysiące imigrantów. Opisaliśmy skomplikowaną pajęczynę pośredników i firm słupów skupionych wokół agencji fałszujących dokumentację konieczną do uzyskania kart pobytu. To informacje niewygodne także dla rządu, który dba o przedsiębiorców, próbując liberalizować przepisy w tym obszarze, ale tym samym umożliwia rozwijanie przestępczych biznesów. Ostatnie zatrzymania Straży Granicznej i CBŚP potwierdzają ustalenia naszego śledztwa



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Akcja była starannie przygotowana i skoordynowana, nie da się inaczej działać, gdy naprzeciwko mamy regularną mafię. Ponad stu funkcjonariuszy Straży Granicznej i CBŚP weszło jednocześnie do kilku mieszkań i biur w całym kraju. Zatrzymano 16 osób, 13 Polaków i troje obywateli Ukrainy. Grupa miała zarobić ok. 920 tys. euro na przemycaniu do Polski cudzoziemców – obywateli Pakistanu, Syrii, Algierii, Iraku, Egiptu, Libii, Iranu i Indii. Zabezpieczono mnóstwo dokumentów wytworzonych przy procederze legalizacji i blisko ćwierć miliona złotych w różnej walucie. Pięciu podejrzanych trafiło już na trzy miesiące do aresztu.

– Byli bardzo zdziwieni, ale grzeczni, bo to nie są klasyczni bandyci – porywacze ludzi czy przemytnicy narkotyków. To cwani ludzie – prawnicy, księgowi, byli pracownicy urzędów mający doświadczenie w kwestiach obcokrajowców. Pokończyli studia, są dość zamożni. Ale tę walkę przegrali. Wiedzą, co ich czeka – mówi nam oficer operacyjny policji o zatrzymaniach członków jednego z gangów, których działalność opisaliśmy w maju ub.r. w tygodniku „Sieci".

Insp. Mariusz Ciarka, rzecznik Komendy Głównej Policji: – Ta sprawa pokazuje, że można połączyć dziennikarstwo śledcze z dobrą robotą policyjną. Wasza praca i kontakt z policjantami z Centralnego Biura Śledczego znacznie przyczyniły się do pogłębienia naszej wiedzy. Bardzo ważne było dla nas

eprasa.pl 2c3010439d



Fot. Shutterstock



potwierdzenie wcześniejszych hipotez, ale też pozyskanie nowych faktów.

Gdy ujawniliśmy, jakimi mechanizmami posługują się przestępcy legalizujący w Polsce (a więc w całej strefie Schengen) pobyt tysięcy przybyszów ze Wschodu (także z krajów podwyższonego ryzyka), słyszeliśmy z ust wielu urzędników (również w randze ministrów), że to przesada. Alarmowaliśmy, że nielegalną imigrację nakręca obowiązujący w Polsce przepis pozwalający przyznać na obietnicę pracy prawo do trzyletniego tymczasowego pobytu – żaden kraj w Unii nie ma aż tak liberalnego prawa. Nasza publikacja zbiegła się z rządowymi planami wydłużenia tego okresu aż do pięciu lat. Miały na to naciskać resorty inwestycji i rozwoju oraz przedsiębiorczości i technologii. Po drugiej stronie sporu było Ministerstwo Pracy. Wysoki urzędnik tego resortu mówił nam: – Staramy się opierać przed otwarciem na cudzoziemców, jak chcieliby tego koledzy z resortów gospodarczych. To prawda, jest między nami konflikt. Tam myślą tak: „Ściągajmy, ilu się da, na hura! – pracodawca jest najważniejszy". A przecież napływ taniej siły roboczej psuje rynek, obniża wartość stawek, powoduje spadek płac.

Lobbować w tej sprawie miały organizacje zrzeszające pracodawców, co widać było nie tylko w prasie branżowej, lecz i ogólnej. Artykuły usprawiedliwiające ściąganie imigrantów pełne były nie tylko argumentów o „coraz większej luce na rynku pracy", lecz też... konieczności „łatania dziury demograficznej".

Od policjantów słyszymy, że dopiero od połowy zeszłego roku politycy przestali bagatelizować tę sprawę. Wiemy, że publikacją „Sieci" przejęto się w MSWiA i zarządzono wnikliwsze kontrole cudzoziemców przyjeżdżających do pracy w Polsce. Rząd wycofał się też z wydłużenia okresu tymczasowego pobytu. Swoje zrobiły organy ścigania. Tyle dobrego.

ZMOWA MILCZENIA

Przepis pozwalający uzyskać prawo pobytu nawet na trzy lata to podstawa przekrętu, który opisaliśmy. To w nim przestępcy dostrzegli szansę na niebotyczny zarobek. Początek łańcuszka ma miejsce jeszcze w kraju, z którego ściągani są nielegalni imigranci. To tam bardzo aktywnie działają agenci naganiacze, to też pierwszy moment, w którym zainteresowany musi zapłacić (5–10 tys. euro). Mamy informacje, że niektóre polskie „agencje" już tak rozwinęły działalność, że wysyłają do tych krajów własnych przedstawicieli, by nawet na tym szczeblu nie dzielić się zarobkiem.

Być może trudno nam to zrozumieć, ale dla mieszkańców niektórych krajów Dalekiego Wschodu wystarczającym

eprasa.pl 2c3010439d

wabikiem, by przystać na propozycje agenta, jest obietnica, że w przyszłości będzie można się nazywać Europejczykiem. To oznaka wyimaginowanego statusu społecznego, symbol lepszego świata, ale w sumie znanego tylko przez wypaczony medialny obraz. Płacą więc i jadą do swojej ziemi obiecanej – w tym przypadku do Polski. Albo są nielegalnie przerzucani, albo dostają się na podstawie wizy turystycznej i uruchamiają „procedurę".

Wystarczającą podstawą do uzyskania prawa pobytu w Polsce jest sama obietnica pracy. Do tego potrzebna jest firma, która takie zapotrzebowanie przedstawi i udowodni, że nie da się znaleźć bezrobotnego Polaka, który mógłby te obowiązki wykonywać. Najpierw – przypomnijmy – skąd biorą się „pracodawcy". Szefowie „agencji" zakładają firmy, których właścicielami są klasyczne słupy: najczęściej alkoholicy, hazardziści lub taksówkarze z długami. Ich rola kończy się na złożeniu podpisów przy założeniu firmy i na pełnomocnictwie dla pracownika „agencji".

Kolejny etap polega na złożeniu przez „pracodawcę" wniosku do starostwa z zapotrzebowaniem na pracownika o konkretnych umiejętnościach. Dokument trzeba tak sformułować, by urząd wydał opinię („informację starosty") potwierdzającą, że nie ma na to miejsce bezrobotnych Polaków i stąd konieczność zatrudnienia cudzoziemca. – Mieliśmy w „agencji" specjalne osoby od wymyślania, czym niby mają się zajmować te fejkowe firmy i jakie kompetencje mają mieć poszukiwani przez nas pracownicy. Przy użyciu pewnego szablonu to prosta robota. Piszemy np., że chcemy sprowadzać dywany z Indii, więc potrzebujemy pracownika na posadę pośrednika sprzedaży ze znajomością języków angielskiego oraz pendżabskiego i jesteśmy w stanie zapłacić mu 2,1 tys. zł brutto. Jak myślicie, ilu Polaków mieści się w tych kryteriach? – opowiadali nam byli pracownicy takich „agencji". – A tak się akurat składa, że mamy w Indiach człowieka, który chętnie by do takiej „pracy" przyjechał. W takim układzie starosta nie ma wyjścia, podpisuje nam informację, a my ściągamy gościa z Indii.

> Każdemu cudzoziemcowi trzeba by założyć teczkę. Sprawdzić, jaka jest podstawa, by jakaś mała firma zatrudniła 30 osób z Bagdadu, które nie mają żadnych dokumentów, a trafiają tu np. jako informatycy

Środowisko, o którym piszemy, jest bardzo hermetyczne, bo naprawdę wiele osób na tym procederze zarabia. Takich „pracowników" trzeba przecież gdzieś zakwaterować, wyżywić, ubezpieczyć i załatwić im dokumenty, np. przerobić prawo jazdy na europejskie. Każda taka czynność to dobry zarobek dla współpracujących z mafią skorumpowanych urzędników i przedsiębiorców. Zmowa milczenia nie dziwi.

Najważniejsze wydaje się podkreślenie, że w całym układzie nie chodzi o żadną pracę. Branże, zapotrzebowania, kwalifikacje, umiejętności, firmy i ich siedziby – wszystko to jest fikcją. Straż Graniczna wyrywkowo sprawdza takie siedziby, okazuje się często, że pod tymi adresami są mieszkania prywatne albo nie ma nic, nawet tabliczki. Wtedy składane jest doniesienie o popełnieniu przestępstwa, ale i na to „agencje" są przygotowane, właściwie takie przypadki są wkalkulowane w koszty. Tego samego dnia „pracownicy" odkrytej firmy znajdują „zatrudnienie" gdzie indziej. Nie przerywa to procedury oczekiwania na wydanie karty pobytu, a Straż Graniczna zostaje ze stosem papierów. Niestety, przestępcy są wciąż kilka kroków przed nimi.

DZIURAWY SYSTEM

Dzisiaj wiemy o tej sprawie jeszcze więcej, ale – mimo ogłoszonego sukcesu – trudno być optymistą. Biznes bowiem wciąż się kręci...

Z naszych informacji wynika, że po artykule w „Sieci" „agencje" wcale nie zaprzestały swojej działalności. – Werbowanie klientów trwało w najlepsze. Wydaje mi się, że akurat tę rozbitą grupę zgubiła zbytnia pewność siebie. Niczego się nie bali. Uważali, że skoro ten przekręt tak długo doskonale funkcjonował, to nic im się nie stanie. Część tych biznesów wciąż zresztą ma się nieźle. W „procedurach" jest wielu obcokrajowców, wciąż są zakładane kolejne firmy krzaki. Tyle że teraz urzędowe młyny mielą nieco wolniej, wszystko trwa dłużej, jest więcej odrzuconych wniosków. Automat trochę się zaciął – mówi nasz informator. Jak ocenia, urzędy liczą, że niektórych obcokrajowców poprzez zwłokę po prostu zniechęcą: – Nic dziwnego, że Arab był w stanie zapłacić 7 tys. euro za to, że po trzech miesiącach niemal na pewno dostanie kartę pobytu. Przyjeżdżał raz na złożenie odcisków palców i drugi – by odebrać dokument potwierdzający prawo pobytu w strefie Schengen. Jednak teraz po 11 miesiącach czekania wciąż nie ma pewności...

Takie metody walki z nielegalną imigracją można nazwać partyzanckimi. A potrzebne są rozwiązania kompleksowe. Wskazują na nie ci, którzy na pierwszej linii frontu walczą z mafiami: – Decydenci powinni wziąć przykład z tej sprawy i wreszcie uszczelnić system – mówi funkcjonariusz od lat ścigający sprowadzanych do Polski na czarno cudzoziemców. I wskazuje, że przede wszystkim potrzebne są liczniejsze kontrole: – Nie może być tak, że przyjeżdża sobie człowiek, składa przez pełnomocnika dokumenty, idzie z nim do urzędu wojewódzkiego, by zostawić odciski palców, wraca do siebie za granicę, a dalej wszystko załatwia przez nikogo nie niepokojony pełnomocnik. Przecież trzeba ustalić, czy firma, w której ten obcokrajowiec ma pracować, istnieje naprawdę, czy tylko na papierze, zrobić wywiad w miejscu zamieszkania, gdzie cudzoziemiec ma być zameldowany, bo często są to fikcyjne adresy – np. w 48-metrowym mieszkaniu zameldowanych jest 100 Irakijczyków. Przecież od razu widać, że to lipa.

52/0219/F

eprasa.pl 2c3010439d

Dodaje, że to zadanie dla służb granicznych. A te od lat cierpią na chroniczne choroby – niedofinansowanie i brak odpowiedniej liczby ludzi. – Tych wniosków jest ogrom, liczy się je w tysiącach, dlatego Straż Graniczna nie jest w stanie wszystkich skontrolować. Każdemu cudzoziemcowi trzeba by założyć odrębną teczkę i go drobiazgowo prześwietlić – sprawdzić, jaka jest podstawa, by jakaś mała firma zatrudniła 30 osób z Bagdadu czy Islamabadu, które nie mają żadnych dokumentów potwierdzających specjalizację w danej dziedzinie, a trafiają tu np. jako informatycy. Dotychczas było to traktowane w Polsce po macoszemu. Składano wnioski np. w Słupsku, później trafiały one do urzędu wojewódzkiego na Mazowszu czy w Małopolsce, i tam była już „mielonka" – spraw tak dużo, że wysypywały się z szafy, więc nikt ich nie weryfikował – słyszymy od policjantów.

Trudno w to uwierzyć, ale w urzędach wojewódzkich nie ma nawet odpowiednich rejestrów prowadzonych spraw. Nie wyszczególnia się np. wspomnianych pełnomocników. Tacy opiekunowie imigrantów, choć występują w dziesiątkach czy setkach spraw, skrzętnie ukrywają się w zalegających w urzędach teczkach. Przy odpowiednio prowadzonej bazie danych wystarczyłoby wpisać nazwisko pełnomocnika i szybko okazywałoby się, że reprezentuje on np. 500 podejrzanych obcokrajowców. To by zapaliło służbom lampkę.

Nasi rozmówcy są zdumieni, że zwłaszcza w dobie zagrożenia terrorystycznego tak bagatelizowani są przybysze z krajów podwyższonego ryzyka: – Te osoby od nas jadą na zachód Europy szczęśliwe, że Polska dała im dane personalne. A my nawet nie wiemy, kim są – jak bowiem możemy zrobić weryfikację w jakiejś wiosce w Pakistanie i sprawdzić, czy Abdul faktycznie jest Abdulem [w tego typu krajach już za 50 dolarów można kupić dowolny dokument, którego w Polsce nikt nie sprawdzi – przyp. red.].

Najbardziej przeraża skala tego procederu. Tylko jedna szajka rozbita na początku marca zalegalizowała pobyt ok. 500 imigrantów. Nikt nie przyzna tego głośno, ale co do wielu z nich służby nie mają zielonego pojęcia, jaki był ich dalszy los. Rozpłynęli się. Nie wiemy, co robią, co planują. Dosłownie kilka dni po naszej publikacji z czerwca zeszłego roku media obiegła informacja, że w Niemczech zatrzymano młodego człowieka ze Sri Lanki z nożem w ręku. Jak się okazało, prawo pobytu w Europie uzyskał w... Polsce. W takich momentach dociera do nas, że to naprawdę nie są żarty.

Przypomnijmy – takich jak rozbita ostatnio organizacji przestępczych wciąż działa w Polsce co najmniej kilkanaście. Mówimy więc o wciąż płynących do Polski tysiącach ludzi mogących stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa.

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Na szczęście jest ubezpieczenie!

NOWOŚĆ

Ubezpieczenia mieszkaniowe

W ofercie dostępne również ubezpieczenia: podróżne, NNW, na życie oraz komunikacyjne.

Ubezpieczenia komunikacyjne z oferty innego ubezpieczyciela niż SALTUS TUW i SALTUS TU ŻYCIE SA

saltus.pl



eprasa.pl 2c3010439d



Ci, którzy mnie nie znają, nie znają moich korzeni, biorą mnie za imigrantkę. Dlatego mówię o sobie, żeby wszyscy poznali moją historię, żeby zrozumieli, kim jestem

Jestem twardzielką

*Z **Sofią Ennaoui**, halową wicemistrzynią Europy w biegu na 1500 m, rozmawia Dorota Łosiewicz*

Jest pani zadowolona z występu w Glasgow? Jak smakuje srebrny medal? Finisz był elektryzujący.

Sofia Ennaoui: Bardzo. Czułam się dobrze mentalnie, do startu podchodziłam spokojnie, byłam przygotowana.

Widać było, że plan był taki, by nie dać uciec Laurze Muir. Każdy bieg ma swoją strategię?

Tak. Każdy bieg to odrębny występ. Każdy bieg to święto. Dlatego staram się ładnie wyglądać. Jestem uczesana, umalowana. To moment, do którego się przygotowuję i na który czekam. Dlatego lubię, gdy wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Sama strategia biegu zależy od rodzaju zawodów, dystansu, przeciwniczek. Od tego, czy to finał, czy eliminacje. Zawsze jest inna taktyka. Proces przygotowania się do startu jest ciężki. Zanim dojdzie się na linię startu, zajmuje to dwie godziny. Jest rozgrzewka, są zajęcia z fizjoterapeutą. 30 minut przed startem zawodnicy spotykają się w call roomie, a to już jest szaleństwo, moment walki psychologicznej. Adrenalina sięga zenitu. Dlatego trzeba mieć silną psychikę.

Jak pani się przygotowuje do biegu?

Tydzień przed startem stawiam na trening mentalny. Ćwiczę z psychologiem. To pomaga znieść obciążenia psychiczne, pozwala zaplanować bieg, zwizualizować go, zobaczyć skutki taktyki, zrelaksować się na koniec dnia itd. Dobra kondycja psychiczna dobrze przekłada się w moim przypadku na bieżnię. To, co wyćwiczę wcześniej w myślach, znajduje odbicie w wynikach sportowych. Ważna jest oczywiście dieta. Lubię słodycze, ale na jakiś czas przed biegiem odstawiam je. Jestem czekoladożercą i podczas wolnego między startami podjadam. Przed startem nie wolno tego robić. Ciało powinno się składać z samych mięśni, nie ma miejsca na tłuszcz. Poza tym nawadniam organizm. Odinstalowałam też Twittera, żeby odciąć się od presji społecznej. Nie lubię żadnego nacisku. To mi nie służy. Ja po prostu staram się stanąć na starcie i pobiec jak najlepiej.

Trenera słucha pani bezwzględnie?

Nie bezwzględnie. Kiedyś tak było. Teraz współpraca opiera się na partnerstwie. Jestem bardziej dojrzała, mam większą wiedzę i więcej do powiedzenia. Lepiej znam się na treningu, znam też siebie. Lubię rozmawiać z trenerem, dyskutować, ustalać.

Kariera wymaga wyrzeczeń?

Bardzo wielu, a im dalej w las, tym więcej drzew. Musiałam zrezygnować z masy rzeczy, moje życie prywatne jest mocno okrojone, zawsze mam za mało czasu dla bliskich, dla znajomych. Przed startem koncentruję się wyłącznie na nim i nic więcej się nie liczy. Taka jest droga do sukcesów.

> Na szkoleniu wojskowym nie byłyśmy w żaden sposób ani dyskryminowane, ani faworyzowane. Nie było żadnego przepuszczania w drzwiach, bo wszyscy żołnierze są równi

A jak pani odpoczywa?

Tego nie umiem robić. Studia, wojsko, media. Po sezonie letnim miałam teoretycznie pięć tygodni wolnego, a w domu byłam może przez dwa weekendy.

Czuje się pani twardzielką?

Tak. Sport zawodowy nie jest dla mięczaków. To hardcore, ale ja lubię się męczyć.

I dlatego poszła pani „w kamasze"?

Wojsko i lekkoatletyka to jedność. To się świetnie łączy. Doszłam do wniosku, że wstąpienie do wojska nie będzie mi utrudniało rozwoju sportowego, będę mogła się przygotowywać do zawodów, a jednocześnie pozwoli mi to na godne życie w sensie finansowym. O tym też trzeba myśleć. W wojsku będę zatrudniona jako sportowiec i będę reprezentowała armię na arenie międzynarodowej. Połączę więc przyjemne z pożytecznym.

Mówi pani o motywacji finansowej, ale jest przecież wiele innych dziedzin, w których mogłaby pani zarobić, np. jako modna ostatnio trenerka Polaków.

Dla mnie bardzo ważny jest aspekt związany z patriotyzmem. I to jest właściwie moja pierwsza motywacja. Czuję się patriotką, jestem patriotką. Moment przysięgi żołnierskiej był dla mnie wzruszający i wyjątkowy. Na tę uroczystość przyjechała do Mrzeżyna cała moja rodzina. Niezapomniane chwile, zupełnie jak w sporcie. Dlaczego nie zostałam np. trenerką Polaków? Bo ja nic nie robię dla mody, robię to, w co wierzę, to, co jest zgodne z moją naturą. Wzięłam udział w kampanii MON „Zostań Żołnierzem Rzeczypospolitej", bo chcę do wojska zachęcić młodych Polaków. To, co mówię, jest szczere. Biorę udział tylko w tych kampaniach, do których jestem przekonana. Wojsko ma dla młodych ludzi bardzo dobrą ofertę, proponuje im dobry start, jest dobrym pracodawcą, pozwala realizować swoje pasje.

Jak pani czuje się w mundurze? Przecież to zupełnie inny strój niż ten na bieżni.

Czuję dumę. Taką głęboką dumę z noszenia munduru szeregowca Wojska Polskiego. Udało mi się mój mundur dopasować do sylwetki i z tego, co słyszę, nie wygląda źle.

A jak na kobiety w wojsku reagują koledzy żołnierze?

Zachowują się bardzo w porządku. Na szkoleniu wojskowym w Mrzeżynie byłyśmy bardzo dobrze traktowane, nie byłyśmy w żaden sposób ani dyskryminowane, ani faworyzowane. Byłyśmy traktowane po prostu jak żołnierze. Nie było żadnego przepuszczania w drzwiach, bo wszyscy żołnierze są równi. Nie spotkałyśmy się też z żadnym nieprzyzwoitym zachowaniem

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c3010439d



Fot. Łukasz Szeląg/REPORTER

typu gwizdy, cmokanie, niestosowne uwagi. Nic z tych rzeczy. Poza tym jestem sportsmenką, nie czuję się więc gorsza ani słabsza od moich kolegów. Pierwsze dni szkolenia były może ciężkie, bo trzeba było się przyzwyczaić do bardzo wczesnego wstawania, precyzyjnego ścielenia łóżka, dokładnego zapięcia munduru, gotowości co do minuty, natychmiastowej reakcji na komendy, ale to była fajna szkoła życia.

Przeszkolenie nie wpłynęło na obniżenie formy?

Dobrze trafiłam z terminem przeszkolenia, bo wypadło między dwoma sezonami. Udało mi się wszystko pogodzić. Na hali biję teraz życiowe rekordy, więc wygląda na to, że szkolenie wojskowe wpłynęło raczej na poprawę formy. Trzeba pamiętać, że chodziłam w mundurze, wojskowych butach po 12 godzin dziennie. Cały czas w ruchu. Samo to było wyczerpujące. Przez pierwszych kilka dni miałam odciski na piszczelach, stopach, ścięgnach Achillesa, wszędzie. Ale przeszkolenie bardzo mi się podobało. Sportowcy lubią być w ruchu, nie lubią nudy. W wojsku ruch był cały czas, więc o nudzie nie było mowy.

Nazwała pani siebie patriotką. Jednocześnie przy okazji kolejnych zwycięstw pojawiają się w sieci komentarze typu: „Co z niej za Polka?”.

Faktycznie moja polskość jest przy okazji sukcesów sportowych dyskutowana i podawana w wątpliwość. Ludzie się zastanawiają, skąd się wzięłam w Polsce, czasem w mediach społecznościowych padają pytania, dlaczego reprezentuję ten kraj. A prawda jest prozaiczna: jestem Polką, wychowałam się w Polsce. Choć urodziłam się w Maroku, Polska jest moją ojczyzną. Mój tata jest Marokańczykiem, mama Polką. Mama wróciła do Polski, gdy miałam dwa lata. Jestem chrześcijanką. W Polsce chodziłam do szkoły, mam polską rodzinę, na szkolnych akademiach śpiewałam polski hymn. O Maroku wiem niewiele. W domu świętowaliśmy wszystkie polskie święta narodowe. Cieszę się, że teraz Święto Wojska Polskiego będę celebrowała w wyjątkowy sposób, to będzie podwójna chluba. Liczę na to, że wezmę udział w jakiejś defiladzie.

> Mój tata jest Marokańczykiem, mama Polką. Mama wróciła do Polski, gdy miałam dwa lata. Jestem chrześcijanką. W Polsce chodziłam do szkoły, mam tu rodzinę. O Maroku wiem niewiele

Komentarze podające w wątpliwość pani polskość sprawiają przykrość?

Sprawiają. Nie czuję, żebym na ten hejt zasługiwała, a on często uderza w najwrażliwsze miejsca. Jednak tłumaczę to sobie ciekawością. Podchodzę do tego spokojnie. Wiem, kim jestem, wiem, kim się czuję. Chcę, żeby inni to zrozumieli. Wcześniej nie spotkałam się z dyskryminacją z powodu nazwiska czy śniadej skóry. Ciekawość przyszła wraz z sukcesami sportowymi. Staram się także tłumaczyć to zainteresowanie moim pochodzeniem kryzysem imigracyjnym w Europie. Ci, którzy mnie nie znają, nie znają moich korzeni, biorą mnie za imigrantkę. Dlatego o sobie mówię, żeby wszyscy poznali moją historię, żeby zrozumieli, kim jestem. Nie wyobrażam sobie życia w innym miejscu na ziemi niż Polska.

Męża też będzie pani szukała wśród Polaków?

[Śmiech] Na pewno. Mąż będzie Polakiem. Może gdy wyjdę za Polaka, będzie mi łatwiej. Zmienię nazwisko na polskie i zainteresowanie moim pochodzeniem wreszcie się skończy. Generalnie swoją przyszłość wiążę z Polską, mam nadzieję wychować dzieci w duchu polskiej tradycji. I oby było ich więcej niż jedno. Jedynakowi mogłoby być smutno. Ja miałam starszego o siedem lat brata, który zawsze się mną opiekował, a teraz jest moim największym kibicem, jeździ ze mną na wszystkie zawody. To plany, a co przyniesie życie – zobaczymy.

Jakie ma pani plany na przyszłość sportową?

Teraz, przed sezonem letnim, muszę pozdawać egzaminy na studiach i zacząć przygotowania do sezonu. Nie robię żadnych planów typu: tu zdobędę złoto, tam srebro. Po prostu dam z siebie wszystko. W sporcie niesamowite jest to, że on łączy ludzi. W obliczu sukcesów sportowych na margines schodzą poglądy. Wszyscy kibicują tak samo. Ludzie lubią bieganie, bo to łatwy sport. Każdy może biegać. To też sport spektakularny, emocjonujący. Dlatego gromadzi przed telewizorami miliony odbiorców.

Czuje pani, że ma swoje pięć minut?

Mam nadzieję, że moja kariera sportowa potrwa dłużej niż pięć minut. Startuję w biegach średnich oraz długich i mam nadzieję, że kariera będzie długa. Na sukcesy zapracowałam ciężką pracą i chcę więcej.

eprasa.pl 2c3010439d



Stawić czoła zagrożeniom

Fot. Shutterstock

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego nieustannie identyfikuje zagrożenia dla bezpieczeństwa oraz interesów RP i podejmuje odpowiednie działania w celu ich neutralizacji. Część aktywności agencji wynika z uwarunkowań globalnych – Polska jest częścią świata zagrożonego islamskim terroryzmem, jest też najważniejszym krajem wschodniej flanki NATO



STANISŁAW ŻARYN

Oba te czynniki odciskają się na mapie polskich zagrożeń. Działania ABW z ubiegłego roku ukazują szeroki wachlarz zadań tej służby, a także wyzwania, przed jakimi stoi w 2019 r.

W 2018 r. na celowniku ABW znalazły się m.in. osoby powiązane z islamskim terroryzmem, a podjęcie szybkich i sprawnych kroków wobec nich umożliwiła przyjęta w 2016 r. ustawa o działaniach antyterrorystycznych. W sierpniu na wniosek szefa ABW został wydalony z Polski Czeczen Azamat B., który walczył w szeregach Państwa Islamskiego na Bliskim Wschodzie. Po powrocie do Europy utrzymywał kontakty ze środowiskiem radykałów, a także osobami trudniącymi się m.in. przemytem broni. Mężczyzna był traktowany przez służby niemieckie jako członek organizacji terrorystycznej, a także jako osoba zamieszana w przemyt ludzi oraz pranie brudnych pieniędzy. W 2017 r. Europol umieścił go na liście osób wspierających organizacje terrorystyczne i zakwalifikował jako bojownika islamskiego. W 2017 r. B. został wydalony z Belgii oraz otrzymał dziesięcioletni zakaz wjazdu. Trafił do Polski, gdzie w przeszłości uzyskał legalizację pobytu. Informacje zdobyte przez ABW na temat Azamata B., a także dane przekazane stronie polskiej przez służby partnerskie sprawiły, że musiał zostać poddany procedurze deportacyjnej. Trafił do Rosji, do której podróżował kilkakrotnie w czasie pobytu na zachodzie Europy.

eprasa.pl 2c3010439d

Deportowany został również Alvi A., obywatel Federacji Rosyjskiej narodowości czeczeńskiej, podejrzany o popełnienie przestępstwa o charakterze terrorystycznym. Zatrzymany w listopadzie ub.r. cudzoziemiec był członkiem organizacji terrorystycznych działających na terenie Turcji i Syrii. Alvi A. czynnie uczestniczył w działaniach militarnych Państwa Islamskiego na Bliskim Wschodzie. W czasie pobytu w Polsce utrzymywał kontakty z osobami o radykalnych poglądach, z których część została uznana za zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i deportowana. Mężczyzna należał do grupy zajmującej się wsparciem logistycznym organizacji terrorystycznych. Prowadzono również wobec niego postępowania przygotowawcze, w których miał status podejrzanego w związku z zarzutem o organizowanie nielegalnej imigracji.

OCHRONA IMPREZ, ZWALCZANIE SZPIEGÓW

Agencja do kwestii bezpieczeństwa podchodzi z dużą odpowiedzialnością również przy okazji odbywających się w Polsce imprez o międzynarodowej skali. Swoisty parasol ochronny roztoczyła nad trwającym kilkanaście dni (3–15 grudnia 2018 r.) szczytem klimatycznym COP24 w Katowicach, m.in. prowadziła bieżącą współpracę z uczestnikami systemu antyterrorystycznego RP oraz partnerskimi służbami zagranicznymi, systematycznie weryfikowała wszelkie sygnały na temat możliwych zagrożeń, a także dokonała sprawdzeń osób współdziałających przy organizacji wydarzenia. ABW wydała również rekomendacje dla podmiotów uczestniczących w zabezpieczeniu COP24, w tym dotyczące systemów teleinformatycznych. Dzięki działaniom ABW oraz innych służb konferencja COP24 przebiegła bez zakłóceń, a jej uczestnicy mogli się czuć bezpiecznie.

Innym z zadań ABW jest zwalczanie funkcjonariuszy obcych służb i identyfikowanie ich współpracowników. Aktywność takich osób, polegająca na szpiegostwie lub wywieraniu wpływu na konkretne środowiska, jest realnym zagrożeniem dla państwa. W ostatnich latach ABW udało się ustalić osoby, których aktywność była elementem działań hybrydowych, za pomocą których Rosja próbuje wpływać na rzeczywistość polityczną, społeczną i gospodarczą kraju, w którym działają. W maju 2018 r. na wniosek szefa ABW została zatrzymana w celu wydalenia z Polski Jekaterina C., obywatelka Federacji Rosyjskiej. Dodatkowo cztery inne osoby objęto pięcioletnim zakazem wjazdu na terytorium RP. Jedną z nich, Annę Z., wydalono po przybyciu do Polski. Z materiałów zgromadzonych przez ABW wynikało, że cała grupa usiłowała skonsolidować środowiska prorosyjskie w RP wokół dwóch priorytetowych dla strony rosyjskiej celów działań hybrydowych realizowanych przeciwko Polsce, czyli podsycania animozji polsko-ukraińskich w sferze społecznej i politycznej oraz kwestionowania i podważania polskiej polityki historycznej i zastępowania jej narracją rosyjską.

W czerwcu 2018 r. doszło także do zatrzymania Marka W., urzędnika zatrudnionego w jednym z resortów gospodarczych, któremu prokuratura postawiła zarzut szpiegostwa na rzecz Rosji. Mężczyzna utrzymywał kontakty z oficerami służb specjalnych Federacji Rosyjskiej i przekazywał im informacje na temat inwestycji istotnych z punktu widzenia interesów Rzeczypospolitej Polskiej, a także na temat planowanych działań polskiego rządu w związku z budową gazociągu Nord Stream 2. Marek W. odpowie przed sądem za swoje czyny.

PILNOWANIE CYBERPRZESTRZENI I ZWALCZANIE PRZESTĘPCZOŚCI GOSPODARCZEJ

ABW czuwa nad bezpieczeństwem Polski również w cyberprzestrzeni. W 2018 r. działający w ABW Zespół Reagowania na Incydenty Bezpieczeństwa Komputerowego CSIRT GOV odnotował 31 865 zgłoszeń. W toku przeprowadzonych analiz 6 212 przypadków zostało sklasyfikowanych jako faktyczne incydenty dotyczące bezpieczeństwa teleinformatycznego. Zespół CSIRT GOV ocenia, że kolejne lata cechuje stały wzrost zagrożeń związanych z atakami na osoby prywatne i na pracowników polskiej administracji publicznej. Wśród rozpoznanych zagrożeń często pojawiają się ataki elektroniczne tzw. grup APT – Advanced Persistent Threat (ang. Zaawansowane Trwałe Zagrożenie), w tym często działających na rzecz lub z inspiracji rządów obcych państw.

Rolą ABW jest również zabezpieczenie gospodarczych interesów Polski. Skala działań przestępczych w tej dziedzinie wciąż jest duża, choć w ostatnich latach udało się znacząco zwiększyć dynamikę pracy służb, które walczą z przestępczością gospodarczą. Tylko w październiku ub.r. na terenie województw śląskiego i małopolskiego agencja zatrzymała pięć osób podejrzanych o udział w zorganizowanej grupie przestępczej zajmującej się wyłudzaniem podatku VAT, której działalność naraziła Skarb Państwa (SP) na straty rzędu 300 mln zł. Kilka miesięcy wcześniej, w maju 2018 r., w ręce funkcjonariuszy ABW w Krakowie wpadło sześć osób podejrzanych o oszustwa podatkowe w obrocie paliwami, co spowodowało straty SP sięgające 176 mln zł.

Lista działań ABW podjętych w 2018 r. przeciwko osobom żerującym na majątku narodowym jest oczywiście dużo dłuższa. W 2018 r. 189 osób zostało zatrzymanych przez funkcjonariuszy ABW, prokuratura postawiła zarzuty 418 osobom w śledztwach prowadzonych przez agencję. Szacunkowe straty poniesione przez SP w sprawach prowadzonych przez ABW oblicza się na ponad 8 mld zł oraz 49 mln euro. Tak gigantyczne kwoty strat pokazują, jak istotne dla Polski jest skuteczne działanie służb w tym zakresie.

WYZWANIA NA ROK 2019

Nie ma wątpliwości, że rok 2019 będzie także pełen wyzwań dla ABW. Większość jej zadań ma charakter stały, większość zagrożeń nie zniknie. Już początek roku pokazał, że wśród stałych zagrożeń, które ABW neutralizuje, pozostają zagrożenia szpiegowskie oraz te o charakterze terrorystycznym. 30 stycznia funkcjonariusze agencji i Straży Granicznej doprowadzili do zatrzymania Nurmagomeda M., który był powiązany z organizacjami terrorystycznymi i angażował się w udzielanie im wsparcia logistycznego. Cudzoziemiec należał do rozpracowanej przez ABW w 2018 r. zorganizo-

eprasa.pl 2c3010439d

wanej grupy przestępczej, składającej się z obywateli Rosji pochodzenia czeczeńskiego i wspierającej organizacje terrorystyczne. Śledztwo wykazało, że kooperował on m.in. ze wspomnianym powyżej Azamatem B. Nurmagomedowi M. odebrano ochronę uzupełniającą, którą posiadał w RP od 2009 r., oraz wpisano go do wykazu cudzoziemców, których pobyt na terytorium Polski jest niepożądany.

Z kolei 8 stycznia 2019 r. funkcjonariusze ABW zatrzymali dwie osoby – obywatela Polski oraz obywatela Chińskiej Republiki Ludowej – podejrzane o przestępstwo szpiegostwa. Z materiałów ABW wynika, że Piotr D. oraz Weijing W. współpracowali z chińskimi służbami specjalnymi przeciwko RP. Obecnie obaj czekają na proces.

> ABW będzie podejmować działania na rzecz zapewnienia prawidłowego przebiegu wyborów do Parlamentu Europejskiego, a potem krajowego. Doświadczenia państw zachodnich pokazują, że ryzyko manipulowania zachowaniami wyborców jest duże

W 2019 r. przed ABW jest wiele wyzwań związanych ze zwalczaniem obcych służb działających na terenie Polski. Wynika to z coraz agresywniejszej postawy m.in. Federacji Rosyjskiej, która w ocenie analityków pozostanie w najbliższych latach największym zagrożeniem dla RP. ABW jako służba kontrwywiadowcza jest odpowiednią instytucją do neutralizowania tego zagrożenia.

W kontekście terrorystycznych i ekstremistycznych niebezpieczeństw szczególnie istotne jest i będzie zwalczanie zagrożeń związanych z działalnością osób inspirowanych dżihadystyczną ideologią, w tym pochodzących z Polski foreign fighters, zaangażowanych w konflikt na Bliskim Wschodzie. W dalszym ciągu identyfikowana i neutralizowana będzie wymierzona w bezpieczeństwo Polski aktywność środowisk czy obywateli RP o poglądach skrajnych (prawicowych i lewicowych), a także zradykalizowanych cudzoziemców, m.in. pochodzących z rejonów podwyższonego ryzyka terrorystycznego, osób powiązanych z ekstremistycznymi środowiskami islamskimi oraz ugrupowaniami terrorystycznymi. Stałym priorytetem ABW pozostanie też rozpoznawanie przedsięwzięć o charakterze propagandowo-rekrutacyjnym lub mających wspierać logistycznie i finansowo terrorystów oraz ekstremistów.

Aktywność ABW obejmować będzie także rozpoznawanie i analizowanie zagadnień strategicznych dotyczących bezpieczeństwa i interesów ekonomicznych oraz energetycznych RP, jak również potencjalnie istotnych tendencji zachodzących w poszczególnych sektorach gospodarki. Służba na bieżąco monitoruje funkcjonowanie spółek o kluczowym znaczeniu dla stanu polskiej ekonomii, w tym prowadzone przez nie procesy inwestycyjne. Osłoną objęte są m.in. priorytetowe projekty infrastrukturalne, takie jak budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego czy gazociągu Baltic Pipe. Kontynuowane są również działania w ramach osłony antykorupcyjnej.

Ważnym elementem aktywności ABW pozostanie realizacja przedsięwzięć służących wykrywaniu i neutralizowaniu wrogich działań w sferze informacyjnej. Operacje takie, podejmowane przez obce służby specjalne i powiązane z nimi osoby, mogą przybierać formę pojedynczych ataków propagandowych i dezinformacyjnych, ale także stanowić zespół skoordynowanych działań służących manipulowaniu nastrojami społecznymi. Kluczowym narzędziem wykorzystywanym w tego rodzaju przedsięwzięciach pozostają środki komunikacji internetowej, w tym zwłaszcza media społecznościowe. Część opisanych działań należy identyfikować jako rozbudowane operacje wpływu. ABW stale monitoruje to zagrożenie i podejmuje działania mające na celu jego neutralizowanie. Głównym państwem sięgającym po tego typu działania jest w ostatnich latach Federacja Rosyjska. Moskwa, pozostając wrogo nastawionym do Polski i – szerzej – krajów NATO ośrodkiem, jest największym wyzwaniem dla służb dbających o bezpieczeństwo RP w sferze informacyjnej.

Z powyższym zagrożeniem związane są dwa tegoroczne wydarzenia, które będą skupiały uwagę ABW. Agencja będzie podejmować działania na rzecz zapewnienia prawidłowego przebiegu wyborów do Parlamentu Europejskiego, a potem krajowego. Doświadczenia państw zachodnich (np. wybory prezydenckie w USA w 2016 r. i we Francji w 2017 r., wybory parlamentarne w Niemczech w 2017 r.) pokazują, że ryzyko manipulowania zachowaniami wyborców jest duże. Próby wpływania na kampanie i wybory mogą mieć na celu podważenie transparentności procesów wyłaniania władz oraz obniżenie wiarygodności instytucji odpowiedzialnych za ich przeprowadzanie. ABW, by zapewnić bezpieczeństwo i niezakłócony przebieg wyborów, będzie identyfikować i zwalczać wszelkie próby działań wymierzonych w kampanię oraz przebieg elekcji, w tym ewentualne operacje w cyberprzestrzeni, podejmowane m.in. przez hakerów powiązanych z obcymi, wrogimi służbami specjalnymi. Dysponują oni bowiem – co potwierdzają doświadczenia partnerskich służb specjalnych – potencjałem umożliwiającym przeprowadzanie ataków komputerowych ukierunkowanych m.in. na przejmowanie zasobów poczty elektronicznej członków komitetów wyborczych poszczególnych kandydatów, a także osób zatrudnionych w instytucjach odpowiedzialnych za przeprowadzenie wyborów, aby móc je następnie wykorzystać np. jako element wrogich działań w sferze informacyjnej.

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego pozostaje najważniejszą polską służbą specjalną. W tym roku na funkcjonariuszy czeka sporo wyzwań. Większość z nich wynika wprost z uwarunkowań współczesnego świata. Od tych zagrożeń nie da się uciec. Trzeba im stawić czoła. I to skutecznie.

Autor jest rzecznikiem Ministra Koordynatora Służb Specjalnych

eprasa.pl 2c3010439d



To tutaj siane jest ziarno...

Bieg „Tropem Wilczym" to coś więcej niż tylko sportowe zawody. To manifestacja patriotyzmu i bardzo dosadne wskazanie, że żołnierze wyklęci są naszymi bohaterami



MARCIN WIKŁO

Zazwyczaj przy okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych przypominany jest taki cytat: „Chcieli nas zakopać, nie wiedzieli, że jesteśmy ziarnem...". Rzeczywiście komuna z naszymi bohaterami obeszła się wyjątkowo brutalnie. Po torturach i zwykle beznamiętnej egzekucji nie mogli liczyć na przyzwoity pochówek, który należy się każdemu. Zbiorowe mogiły, powykręcane, skrępowane drutem kolczastym ręce i nogi, czasem sypnięcie wapnem, żeby nie została nawet kosteczka. Ci, których dziś czcimy, mieli pozostać zapomniani. Nie udało się, z ich ofiary rośnie piękna,

eprasa.pl 2c3010439d



Fot. SZYMON STARNAWSKI/POLSKA PRESS

wolna Polska. Oni naprawdę jak ziarno kiełkują i wychodzą na wierzch.

Od kilku lat o Biegu „Tropem Wilczym" jest głośno nie tylko w Polsce. Tym razem na starcie stanęło ponad 70 tys. osób w ponad 370 miejscowościach. To było piękne święto, bo zgromadziło nie tylko biegaczy. Byli z nami ci, którzy czują się w obowiązku przypominać o zasadach, jakimi kierowali się żołnierze niezłomni. Jest jasne, że nie da się porównać czasów ani realiów, w jakich żyli oni, a w jakich żyjemy my. Między innymi dzięki nim znaczenie pewnych słów jest wolne od tragicznych skojarzeń. Poświęcenie nie musi oznaczać ofiary życia, jak to było w czasach wojennego i powojennego oporu antykomunistycznego.

Dlatego uczestnicy Biegu „Tropem Wilczym", pokonując kilometry, z pewną radością ofiarowują swój wysiłek w intencji przypomnienia o wyklętych. To sztafeta pokoleń, i to chyba najcenniejsze osiągnięcie imprezy, która kilka lat temu nie startowała przecież z nadzwyczajnym rozmachem czy nieograniczonym budżetem. Paliwem były idea, poczucie, że coś się tym naszym bohaterom należy, że nie możemy pozwolić o nich zapomnieć, że kolejne pokolenia, wbrew woli oprawców, mają o nich wiedzieć. Tym bardziej cieszy widok biegnących całych rodzin, ojców i matek z dziećmi, czasem tak małymi, że wręcz wiezionymi w sportowych wózkach. Urocze są dzieciaczki ubrane w zbyt duże koszulki z wizerunkami bohaterów. Ufam, że jest w nich tyle ciekawości, by dopytać rodziców o ich życiorysy, że po powrocie do domu starsi znaleźli czas, by im o nich opowiedzieć.

Organizatorzy, Fundacja „Wolność i Demokracja" nie ukrywają, że rola edukacyjna biegu w dużym stopniu się powiodła. Każdy z uczestników, od początku istnienia imprezy, miał obowiązek pokonania symbolicznego dystansu 1963 metrów. To dla upamiętnienia Józefa Franczaka „Lalusia", ostatniego żołnierza wyklętego, który zginął z bronią w ręku. Było to 21 października 1963 r. To niesamowita historia, trudna do zrozumienia dla kogoś spoza Polski. Jak to możliwe, że w świecie, który już dawno zapomniał o wojnie, który cieszył się właśnie wydaną pierwszą płytą The Beatles, był kraj, w którym organizowano obławy na ukrywającego się żołnierza? O tym trzeba mówić głośno.

Dzisiaj już nikomu nie musimy tłumaczyć, kim byli Danuta Siedzikówna „Inka", Witold Pilecki, Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" czy gen. August Emil Fieldorf „Nil". Ale nie można też ulec pewnemu złudzeniu, nauka musi trwać. Wciąż tak wiele nazwisk i postaci zasługuje na wyróżnienie. W tym roku na koszulkach biegliśmy z wizerunkami Stanisławy Rachwałowej, nazywanej „Pileckim w spódnicy", konspiratorki; Władysława Siły-Nowickiego, żołnierza AK i WiN, a po wojnie adwokata, obrońcy w procesach politycznych; Leona Lecha Beynara (Pawła Jasienicy), adiutanta „Łupaszki" w V Wileńskiej Brygadzie AK, a po wojnie historyka i eseisty; Barbary Otwinowskiej, sanitariuszki i łączniczki AK, później więźniarki Fordonu; Jerzego Stawskiego, kapitana Wojska Polskiego, artysty, malarza; Antoniego Hedy „Szarego", dowódcy oddziałów partyzanckich ZWZ i AK.

To ludzie z krwi i kości. Nie tylko żołnierze. Po wojnie, nie godząc się z komunistyczną rzeczywistością, starali się jednak normalnie żyć i rozwijać swoje pasje oraz umiejętności. Każdy z nich pracował dla przyszłych pokoleń tak, jak potrafił, co niejednokrotnie spotykało się z represjami. Jak można dzisiaj kontynuować ich dzieło? Czy to w ogóle możliwe? Zdecydowanie tak. Robiąc coś dla innych. To kolejna idea, która towarzyszy biegnącym „Tropem Wilczym". Wiele miasteczek biegowych miało punkty, w których można było oddać krew. Kolejna sprawa to zbiórki pieniężne na chore dzieci. W tym roku biegliśmy dla Bartka i Małgosi.

Bartek to młody kielczanin, ma siedem lat, urodził się bez stopy. Przyjaciele jego rodziców od lat organizują biegi charytatywne, podczas których zbierane są pieniądze na rehabilitację chłopca. Dziś ćwiczenia wciąż są potrzebne, dlatego nadal zbieramy fundusze dla niego, ale warto podkreślić, jak nasz mały bohater stara się odpłacać za dobro, które go spotyka. Teraz to on jest ambasadorem biegu i swój dystans pokonuje dla Małgosi, która cierpi na rzadką genetyczną, neurologiczną chorobę Canavan. To druga osoba, dla której zbierano pieniądze podczas tegorocznej edycji biegu.

Nie ma wątpliwości, że na naszych oczach buduje się lepsza Polska, świadoma swoje tradycji i dobrze dekodująca pojęcie solidarności. Bez tęsknoty za czasami słusznie minionymi, odważnie upominająca się o należną cześć żołnierzom wyklętym. To tutaj podczas biegów „Tropem Wilczym" siane jest to ziarno, które za chwilę wykiełkuje. Uporczywie będzie wychodziło z ziemi i nie pozwoli zapomnieć o tym, co ważne. To budujące.

Chwała bohaterom!

Autopromocja

eprasa.pl 2c3010439d

Prenumerata

SIECI + wSIECI HISTORII

z prezentem



koszulka z kultowym powiedzeniem

Koszulki damskie w rozmiarach: **S, M, L**

Koszulki męskie w rozmiarach: **M, L, XL, XXL**

Zamawiając prenumeratę, podaj rodzaj i rozmiar koszulki, np. męska L

40% TANIEJ

~~463,80 zł~~

280 zł

PRENUMERATA ROCZNA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**,
Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisz rodzaj oraz rozmiar koszulki (np. męska L) i pełne dane adresowe do wysyłki. Szczegóły w regulaminie promocji: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata i pod tel. 22 616 15 70



Kurier w akcji

Ojciec widział w nim piłkarza, on sam przez jakiś czas marzył o karierze pianisty. Został aktorem. Urodzony we Francji, wychowany w Szwajcarii, w filmie Władysława Pasikowskiego „Kurier” Philippe Tłokiński zagrał głównego bohatera – Jana Nowaka-Jeziorańskiego

Fot. Agnieszka Śnieżko/East News

eprasa.pl 2c3010439d

*Z aktorem **Philippe'em Tłokińskim** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Misja została wykonana?

Philippe Tłokiński: Moja misja jako aktora, który ma zagrać rolę w filmie Władysława Pasikowskiego, czy misja, z jaką Jan Nowak-Jeziorański wyruszył z Londynu do okupowanej Warszawy? Bo w obu przypadkach musieliśmy dotrzeć do celu. Bohater, którego gram, jest uparty, zdeterminowany, odważny i, cokolwiek by się po drodze zdarzyło i na jakiekolwiek przeszkody by natrafiał, powierzone zadanie wykona. Jego misja więc, z moim udziałem na ekranie, mam nadzieję udanym, została wykonana.

Bohater to postać znana, ale z czasów późniejszych, niż pokazuje to film „Kurier". Jak pan przygotowywał się do swojej roli?

Dostałem scenariusz o postaci ważnej, docenianej, ale kojarzonej raczej z wizerunkiem starszego pana, z czasów jego powojennej działalności. Musiałem sobie postawić pytanie, jak ten człowiek mógł wyglądać i jak działać w roku 1944, kiedy toczy się akcja filmu. A więc w czasie, gdy widzimy go najpierw w Londynie – szarmanckiego, obytego, spotykającego się z Churchillem – oraz później po przerzuceniu do okupowanej Polski, gdy spod Tarnowa, używając różnych sposobów, musi dotrzeć do Warszawy.

W filmie są podobno sceny, kiedy mówi pan słowami Nowaka-Jeziorańskiego zapisanymi w stenogramach lub zacytowanymi przez niego samego.

Przede wszystkim zależało nam na oddaniu sposobu myślenia bohatera. Kiedy z ekranu padają istotne kwestie, chciałem, żeby w interpretacji były one rozważne, ale nie jednoznaczne. Jan Nowak-Jeziorański często wspominał o „tętnie" historii. Zdawał sobie sprawę, że nic nie jest w niej czarne ani białe.

Film kończy się w chwili wybuchu powstania warszawskiego, „zawisa" w znaczącym kadrze.

Tak, podkreśla wciąż otwarte pytanie, czy to była dobra decyzja. Mam wrażenie, że ten film jest wyważony w tej kwestii. To, że nie dało się godziny „W" zatrzymać, zostało potwierdzone przez niejedną osobę w różnych historycznych dokumentach. Z tego, co rozumiem z tego fragmentu naszej historii, nie było wtedy dobrej decyzji. Po fakcie możemy się pogodzić z tym, co się wydarzyło, i budować na tym pewne wartości pod warunkiem jednak, że zadajemy pytania dotyczące tamtego czasu bez jednoznacznie oceniającej odpowiedzi.

Zagrać u Pasikowskiego, na dodatek w takim filmie i takiego bohatera. Jak to wyglądało z pana prywatnej perspektywy?

Nietrudno sobie wyobrazić, że dla młodego człowieka, który skończył szkołę aktorską za granicą, a teraz powraca do kraju rodziców i dostaje drugą rolę pierwszoplanową w kinie, i to na dodatek u mistrza takiego jak Władysław Pasikowski, to spełnienie aktorskich marzeń, ale też powód stresu. Na szczęście cała ekipa przyczyniła się do tego, żeby odjąć mi trochę tego ciężaru. Zaczęło się od intensywnych treningów i odpowiedniej diety, które przez dwa miesiące zaoferowała mi produkcja. Miało mnie to przygotować do wyczerpującego planu zdjęciowego.

Pana bohater m.in. skakał z samolotu.

Ja nie skakałem, ale lądowanie jest moje [śmiech]. Pan Władysław powiedział, że bardzo dobrze upadam. Było też m.in. turlanie się pod pociągiem, sceny walki, strzelaniny... Choreografia tych scen jest trudna, tym bardziej że uczestniczy w niej jeszcze jedna postać, o której widzowie zapominają – operator. I my „tańczymy" z trzymaną przez niego kamerą.

Poza przygotowaniem fizycznym otrzymał pan też spore wsparcie merytoryczne.

Muzeum Powstania Warszawskiego dostarczało mi wiedzy historycznej. Miałem też prywatne rozmowy z ambasadorem Jerzym Koźmińskim, współpracownikiem i przyjacielem Jana Nowaka-Jeziorańskiego. To największe źródło inspiracji i odpowiedzi na pytanie, jakim człowiekiem mógł być w młodości mój bohater.

Film zapowiadany jako sensacyjno-szpiegowskie kino akcji, bywa też czasem przedstawiany jako „bondowski". Co pan na to?

Ja bym z tym porównaniem do Bonda był ostrożny. Na pewno można potraktować wojenne losy bohatera jako niesamowitą przygodę, pełną niebezpieczeństw i dramatycznych zwrotów akcji. Nie kreujemy jednak nowej postaci, mamy w pamięci człowieka z konkretną przyszłością, szanowanego za to, co po wojnie zrobił dla kraju. Ten film to historia pierwszej jego misji przed zbudowaniem Radia Wolna Europa i wprowadzaniem Polski do NATO. To pretekst, żeby pokazać, jak mógł wyglądać młody Nowak-Jeziorański. Bohater, który potrafił osiągnąć sukces mimo zwyczajnych ludzkich ułomności i czasem nawet zabawnych słabości.

Skoro o tym mowa, umie pan jeździć na rowerze?

Najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobiłem w tym filmie, było udawanie, że nie umiem, ale scena wyszła zabawnie.

A jak pracował z panem na planie reżyser?

Władysław Pasikowski mówi niewiele, ale konkretnie. Czasami najcenniejszą uwagą mogło być: „szybciej", „wolniej", „wyżej oczy". Proszę mi uwierzyć, że w kinie często sens czy emocje wynikają właśnie z takich precyzyjnie wykonanych czynności.

W 2015 r. przedstawił się pan polskim kinomanom w „Nocy Walpurgi".

To był film debiutantów: reżysera Marcina Bortkiewicza, mój jako aktora kinowego i – choć to może dziwnie za-

eprasa.pl 2c3010439d



Kadr z filmu „Kurier”

Fot. Mat. prasowe/Bartosz Mrozowski

brzmieć w stosunku do aktorki z takim zawodowym doświadczeniem – Małgorzaty Zajączkowskiej, która w końcu dostała godną jej talentu, życiową – jak sama o niej mówiła – rolę. Spotkaliśmy się w kameralnym, artystycznym kinie. To było doświadczenie związane niejako z moją wcześniejszą pracą w teatrze, choć nie zgodziłbym się z określaniem tego filmu jako teatralny.

Minęły trzy lata i wszedł pan na zupełnie inny plan.

To niesamowita droga. Jestem szczęściarzem. Moją filmografię można teraz streścić w trzech tytułach, bo gdy kończyły się zdjęcia do „Kuriera”, przygotowywałem się już do następnej głównej roli w międzynarodowej produkcji – o Stanisławie Ulamie, znakomitym przedwojennym polskim matematyku. Każdy z tych filmów stawiał przede mną bardzo różne od siebie zadania. Swojego filmowego CV nie muszę się wstydzić. Lepiej mało, ale dobrze.

Dobrze się pan czuje w różnych wersjach językowych na planie?

W domu rozmawialiśmy po polsku, ale poza domem na porządku dziennym był francuski – szkoła, lektury, kontakty z ludźmi. Nie mam obsesji poprawności gramatycznej czy bogactwa słownictwa, chociaż staram się o nie dbać. Myślę, że łatwość porozumiewania się w różnych językach wynika u mnie z wyczucia melodyjności. I zamiłowania do muzyki.

...która przydała się też na planie „Nocy Walpurgi”?

Wszystkich proszę, by nie namawiali mnie do grania na pianinie, bo źle gram. Gdybym poszedł tą drogą, pewnie zostałbym przeciętnym pianistą.

Został pan więc aktorem, ale – jak czytałam – i muzyka, i aktorstwo było po trosze na przekór planom pańskiego ojca, piłkarza Mirosława Tłokińskiego. Za jego sprawą kilkanaście lat trenował pan tę dyscyplinę i...

Powiem tak, w historii z ojcem najważniejsze jest to, jak nasza relacja się zmieniała i jak doszliśmy do tego, aby się nawzajem zrozumieć, wybaczyć sobie czasami pewne rzeczy, zaakceptować własne wybory. Dziś mój ojciec jest, bez przesady, moim największym fanem. Czasami dzwoni do mnie co dwa dni. Tata jest teraz za mną na sto procent, bardzo mnie wspiera i kibicuje mi.

W którym momencie przekonał się do pana aktorskiej pasji?

Wydaje mi się, że jak zobaczył mnie w głównej roli w sztuce Moliera. Przygotowywałem się do niej przez rok. Premiera odbyła się w Comédie de Genève, głównym teatrze w Genewie, który otworzył się dla amatorskiej grupy. To była nobilitacja dla mnie i, myślę, powód do przemyśleń dla ojca. Może uznał wtedy scenę za rodzaj boiska, na którym się sprawdziłem. Teraz jest też dumny z moich filmowych dokonań.

Świetnie mówi pan po polsku, gra polskiego bohatera i występuje jako Philippe Tłokiński. Czy francuskie imię nikogo nie dziwi?

Czasem tych, którzy się do mnie zwracają. Francuskojęzyczna wersja imienia jest wynikiem wejścia Polski do Unii, gdzie dokumenty zostały rozpisane zgodnie z aktem urodzenia. Ponieważ urodziłem się we Francji, jest taka forma. Ale wymawia się tak, jak po polsku. Na pewno nie z „ph” na początku, jak czasem słyszę, i bez „e” na końcu, bo ono jest nieme.

Więc, panie Filipie, gdzie jest teraz pana dom?

Tak się złożyło, że tuż przed otrzymaniem propozycji zagrania w filmie pana Pasikowskiego, zameldowałem się w Warszawie. Wcześniej zakończyłem półtoraroczny kontrakt w teatrze w Szwajcarii, przyjechałem do Polski i... przyszły dwie filmowe propozycje. 2018 był dla mnie bardzo łaskawym rokiem. Teraz będę się cieszył premierami.

I czasami odwiedzał rodzinę w Gdyni?

Mam nadzieję, że zobaczymy się też przy okazji festiwalu filmowego. Cała rodzina jest z Trójmiasta. To zresztą cudowne miejsca. Chyba na emeryturę rodzice będą w tamtą okolicę wracali, więc wszystko wskazuje na to, że będę w Polsce. Proszę się przyzwyczajać do mojej obecności.

eprasa.pl 2c3010439d



„Kurier” w stylu retro

Nakręcony w trzech językach „Kurier” ma być promowany za granicą, upowszechniając wśród tamtejszych widzów nasze spojrzenie na II wojnę światową. To skrojone pod masową publiczność kino akcji, popularyzujące polskich bohaterów. Jeżeli znacie „Jacka Stronga”, to dokładnie wiecie, czego się spodziewać



ŁUKASZ ADAMSKI

Błędem jest reklamowanie „Kuriera” jako filmu „w stylu Jamesa Bonda”. Takie pompatyczne hasła zawsze działają na szkodę obrazu o budżecie równym małemu kawałkowi gaży Daniela Craiga. 17 mln zł – tyle kosztował film oparty na kawałku wojennej działalności legendarnego kuriera Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Budżetowe braki zbytnio się jednak nie rzucają w oczy. Wszystko dzięki temu, że na stołku reżyserskim zasiadł ojciec chrzestny polskiego kina sensacyjnego Władysław Pasikowski.

Polacy dobrze znają historię kuriera AK, który jako emisariusz krążył między Warszawą a Londynem tuż przed wybuchem powstania warszawskiego. W przededniu jego kapitulacji wywiózł do Wielkiej Brytanii setki dokumentów i zdjęć. Po wojnie pozostał na Zachodzie i kierował Radiem Wolna Europa. O tym akurat film zrodzony z pomysłu dyrektora Muzeum Powstania Warszawskiego Jana Ołdakowskiego nie mówi. Akcja skupia się na działalności Nowaka-Jeziorańskiego przed wybuchem powstania.

Jan Nowak (Philippe Tłokiński) zostaje wyznaczony przez polski rząd w Londynie do tajnej misji w Warszawie. Ma zostać przetransportowany alianckimi kanałami przerzutowymi z włoskiej bazy w Brindisi do Polski, aby przekazać tajne informacje do rąk gen. Tadeusza „Bora” Komorowskiego i dowództwa Armii Krajowej. Jan Nowak przemierza okupowaną przez Niemców Polskę pociągami, samochodami, furmankami, a nawet rowerem, na którym zresztą nie umie jeździć. Wszystko zgodnie z prawidłami przygodowego kina.

Finał „Kuriera” mógłby być otwarciem „Miasta 44” Jana Komasy. Mógłby, gdyby oba filmy nie były od siebie tak diametralnie różne. Komasa spojrzał na powstanie okiem pokolenia wychowanego na tarantinowskim postmodernizmie i grach RPG. Pasikowski z założenia miał ugryźć historię legendarnego polskiego kuriera również z myślą o młodym pokoleniu widzów. Zrobił jednak film dla pokolenia pamiętającego jeszcze „Tylko dla Orłów” i „Działa Navarony”.

KINO AKCJI LAT 80.

„Naszym celem jest opowiedzenie sensacyjnej, lecz opartej na życiu historii, której scenarzyści Jamesa Bonda pewnie by nie wymyślili. Opowiedzenie jej przy tym w maksymalnie nowoczesny sposób, korzystając z osiągnięć nowej stylistyki filmów przygodowo-sensacyjnych” – mówił twórca „Psów”. Taki sposób realizacji filmu wynika z misji samego Muzeum Powstania Warszawskiego, co podkreśla jego dyrektor i współproducent filmu Jan Ołdakowski.

Nowak-Jeziorański przed śmiercią w 2005 r. odwiedził muzeum i był zwolennikiem nowoczesnego opowiadania o historii. „Usłyszeliśmy od niego, że muzeum powinno być dla młodych i z myślą o nich. Po otwarciu odwiedził nas i ze wzruszeniem patrzył na młodzież, która w słuchawkach z przejęciem słuchała nie muzyki, ale nagranego z nim wywiadu. Jako zespół zarządzający muzeum postanowili-

Zdjęcia: Kino Świat

eprasa.pl 2c3010439d

śmy wyprodukować film, który pokaże bardzo ważny moment w jego życiu – okres przed wybuchem powstania" – mówi Ołdakowski. Jak dodaje, wybór Władysława Pasikowskiego na reżysera filmu wynikał z przyczyn warsztatowych. Pasikowski dobiega jednak sześćdziesiątki, więc ostrość jego kłów mocno się dziś stępiła. A może czasy się po prostu zmieniły? Jego „Pokłosie", „Jack Strong" i przejęty po Patryku Vedze „Pitbull" to kino gatunkowe, ale zrobione bez oglądania się na dzisiejsze mody i realia. Pasikowski nadal tkwi stylistycznie w późnych latach 90., gdy kręcił „Operację Samun" czy „Demony wojny według Goi". Jest mu z tym dobrze. A widzom? To się okaże przy ogólnopolskiej premierze „Kuriera". Jestem bardzo ciekaw, czy młodzi widzowie wychowani na kinie akcji spod znaku Marvela przychylnie spojrzą na utrzymaną w stylu retro stylistykę Pasikowskiego.



NIEZDARNY HEROS

Pasikowski, reżyser surowego i bezczelnego w swoim czasie „Krolla", jest konsekwentnie zapatrzony w kino sensacyjne ery Jeana-Pierre'a Melville'a. Dlatego „Kurier" to film akcji wyjęty z lat 70. lub 80. Statyczny, romantyczny, staromodnie męski i pozbawiony szaleństwa. Nie jest to zarzut wobec Pasikowskiego. On przecież nie ukrywa, jaki rodzaj kina jest mu najbliższy. Pasikowski jest też konsekwentny w budowaniu postaci. Na pierwszym planie jest zawsze męska przyjaźń, natomiast kobiety są równie złe oraz zdradliwe i u boku Franza Maurera z „Psów", i Jana Nowaka-Jeziorańskiego w „Kurierze". Nico Rogner czy Julie Engelbrecht są jedynie dodatkiem do munduru kuriera. Więcej ma do zagrania Patrycja Volny, wcielająca się w łączniczkę Marysię. Postać jest zlepkiem wielu kobiet, które walczyły w powstaniu. To ona symbolizuje ich niezłomność i moralną wyższość Polaków nad nazistami. To jednak postać plakatowa i niewzbudzająca głębszych emocji. Pasikowski nigdy nie potrafił pisać żeńskich postaci, co różni go choćby od nowego króla kina akcji po polsku, Patryka Vegi.



Nieograny w polskim kinie Philippe Tłokiński ma natomiast potencjał gwiazdora. Na nim spoczywa cały ciężar filmu, mimo że w obsadzie pojawiają się takie nazwiska jak Bonaszewski, Baka, Frycz, Pazura, Królikowski, Zamachowski, Woronowicz, Zieliński czy Schuchardt. Wiele jednak do grania nie mają, zostawiając pole do popisu aktorowi, którego Pasikowski wypatrzył, przygotowując się do niezrealizowanego filmu o Dywizjonie 303. Tłokiński, który pierwszy raz błysnął w zjawiskowej „Nocy Walpurgii" Marcina Bortkiewicza, dobrze wypada w roli emisariusza, choć jego postać jest rozdarta między bohaterem z przypadku a herosem wyjętym z kina przygodowego. Raz jest niezdarnym i zagubionym studentem ekonomii, rzuconym w sam środek szpiegowskiej intrygi, innym razem wyszkolonym szpiegiem brawurowo uciekającym esesmanom ze spluwą w ręku.



PODKRĘCONY ŻYCIORYS

Pasikowski oczywiście wszystko koloryzuje. „Kurier" nie jest biografią Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który przecież nie „musiał się strzelać", parafrazując pitbullowskiego Despero, z Niemcami. Trzeba było jednak odpowiednio opakować historię polskiego bohatera, więc Pasikowski wszystko zanurzył w kinie przygodowym. Nie oznacza to, że „Kurier" nie podejmuje ważnych dla nas tematów. Ciekawie brzmią słowa Jeziorańskiego o sensie wybuchu powstania, o co został zapytany podczas obiadu z Borem-Komorowskim (Grzegorz Małecki). Nie miał żadnych złudzeń, że walka skończy się porażką. Wiedział, że alianci nam nie pomogą, a Stalin będzie robił wszystko, by Polskę połknąć. Uważał jednak, że należy przelać krew. Kult romantycznej ofiary bez względu na świadomość przegranej? Nie sądzę, by Pasikowski tak chciał pokazać, mającego przecież do powstania ambiwalentny stosunek, Jeziorańskiego. Nie zdziwię się jednak, jeśli ten fragment zostanie odebrany jako zerwanie brązu z pomnika polskiego bohatera. Twórcy usilnie też podkreślają zdradę aliantów, którzy sprzedali swojego wiernego sojusznika w imię sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Upodabnia to „Kuriera" do zeszłorocznego polsko-brytyjskiego filmu „303. Bitwa o Anglię".

NAUKA PRZEZ POPKULTURĘ

Nakręcony w trzech językach „Kurier" ma być promowany za granicą, upowszechniając wśród tamtejszych widzów nasze spojrzenie na II wojnę światową. To skrojone pod masową publiczność kino akcji popularyzujące polskich bohaterów podobnie jak komiksy wydawane przez Muzeum Powstania Warszawskiego.

To film skrojony pod szkolne wycieczki. W pozytywnym sensie tego słowa. Dyrekcja muzeum zaplanowała wokół „Kuriera" dużą kampanię edukacyjno-promocyjną. Będą lekcje muzealne, wykłady, prelekcje w kinach, gry planszowe, wystawy, a także przeznaczone dla szkół materiały edukacyjne.

Nie sądzę, by to wszystko zadowoliło entuzjastów skąpanej w przemocy „Przełęczy ocalonych" Mela Gibsona czy wymuskanej artystycznie „Dunkierki" Christophera Nolana. To nie ten rodzaj wojennego kina. To po prostu późny Pasikowski. Jeżeli znacie „Jacka Stronga", dokładnie wiecie, czego się spodziewać. Mnie ten styl nie porywa, jednak daję twórcom plusa więcej za chęć opowiadania o naszych bohaterach w komiksowy sposób. Nawet jeżeli komiksy są zakurzone i mają stempel „retro".

eprasa.pl 2c3010439d

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Diabelski targ w pałacu

„Ceny", adaptacji powieści Waldemara Łysiaka w Teatrze Telewizji, byłem pewien. Goszcząc na planie przedstawienia Jerzego Zelnika, widziałem fragment będący zawiązkiem akcji. Łysiak pisarzem jest świetnym. Zamilczanie jego utworów, operujących gdzieś na pograniczu literatury ambitnej i popularnej, wynika tylko z plemiennych uprzedzeń.

„Cena", powieść z 2000 r., w pierwszej wersji podobno sztuka, jest skonstruowana po mistrzowsku: najpierw, za Hitchcockiem, trzęsienie ziemi, a potem napięcie rośnie. Gestapo uwięziło grupę znaczących obywateli miasteczka w odwecie za partyzancką akcję. Jednym z zakładników jest syn hrabiego Tarłowskiego. Ale szef miejscowego Gestapo Müller gotów jest na diabelski targ. Przyjmie łapówkę, za to hrabia, a tak naprawdę elita miasteczka, ma zdecydować, których zakładników ocalić, ba, kogo skazać na rozstrzelanie. To pierwszą scenę targu w pałacu oglądałem zawczasu. Marek Barbasiewicz jako hrabia i Sławomir Pacek jako gestapowiec zagrali to w najlepszym stylu dawnego teatru. A potem autor i reżyser porwali widownię do galopu.

Bo dalej jest debata, co począć z ofertą. Przy stole zasiada 13 obywateli. A my mamy skojarzenia z filmem „Dwunastu gniewnych ludzi". Znakomity scenograf Marek Chowaniec uczynił z sali pałacowej klaustrofobiczną klatkę, może trumnę. Kamera przechodzi od ogólnego, niemal malarskiego planu do wychwytywania twarzy, ludzkich reakcji.

Debata staje się psychodramą, eksplozją emocji. Z drugiej strony mamy gąszcz tematów. Są te polityczno-historyczne, choćby modele zachowania Polaków wobec obcej okupacji. I są takie, które przekraczają doraźność, łącznie ze stosunkiem udręczonej zbiorowości do Boga. Dotykamy pytań podstawowych: o prawo decydowania o życiu innych, o pojęcie mniejszego zła. A równocześnie spór jest kilka razy łamany niespodziewanym zwrotem akcji, suspensem.

Jerzy Zelnik debiutował tu nie jako reżyser (to robił wiele razy), ale jako reżyser telewizyjny. I po mistrzowsku dopilnował tempa, umiał wykorzystać zarówno symboliczny wymiar obrazu, jak i siłę wychwytywanych przez kamerę detali. No i czuje się bezbłędną rękę aktora w doborze wyrazistych postaci, które mają czasem ledwie kilkadziesiąt sekund, aby coś nam przekazać.

Wyróżniłbym Krzysztofa Wakulińskiego. Jego Profesor daje się zapamiętać. Trochę dzięki sile osobowości aktora lubującego się rolach nacechowanych sarkazmem, tragikomicznych. Ale też ma najwięcej kwestii drażniąco paradoksalnych, raniących nie tylko innych uczestników uczty, lecz również widzów. Są i inni: Jarosław Gajewski, Marcin Kwaśny, Sławomir Orzechowski, Wojciech Brzeziński, Piotr Bajor, Radosław Pazura – nie wymieniam wszystkich tylko z braku miejsca. Galeria typów, osobowości. I galeria racji.

Można by się i czepiać. Tak jak garderoba tej zbiorowości zaprojektowana przez Ewę Krauze jest może zbyt elegancka jak na prowincjonalną Polskę w roku 1944, tak niektóre kwestie brzmią nazbyt retorycznie, jak z mądrych książek. Ale literatura nie musi być fotką życia. Czuję też, że w niektórych sprawach pokłóciłbym się z autorem o wymowę. Tyle że większość dylematów pozostaje u niego zaskakująco otwarta. Padają pytania – bez odpowiedzi.

To widowisko, będąc historycznym, dotyka masy problemów, z którymi sobie nie poradziliśmy. Które, choć czasem w mniej drastycznej postaci, powracają. Naprawdę żywy, prawdziwie aktualny to teatr.



Piotr Zaremba



Muzyka wolności

„Jazzowe dzieje Polaków" Andrzeja Wasylewskiego są dziełem imponującym, ale i wymagającym. Kilkusetstronicowej księgi dużego formatu nie da się przeczytać w jeden dzień, a lekturę uzupełnia jeszcze zestaw płyt z siedmioma godzinami filmów nakręconych przez autora. Kto sprosta tym wyzwaniom, przeżyje niezwykły seans pamięci o muzyce, która po II wojnie światowej była dla nas symbolem wolności



ADAM CIESIELSKI

Wasylewski to reżyser o cenionym dorobku. Wśród stu kilkudziesięciu programów i filmów dokumentalnych, które nakręcił w Polsce, Niemczech, we Francji, w USA, szczególnie często pojawia się tematyka jazzowa. Muzyka synkopowana jest jego życiową pasją. Urodzony (w 1937 r.) w Warszawie, podstawówkę i liceum zaliczył w Krakowie, a studiował w Łodzi. To miasta, w których zaraz po wojnie buzował jazz. Żywiołem swobody i ekspresji porywał artystów oraz publiczność. Na przekór komunistycznej władzy, zwalczającej go jako przejaw „zdegenerowanej kultury amerykańskiego imperializmu". Andrzej tego bakcyla chwycił już w gimnazjum, a jego oddziaływanie wzmocniły lata w łódzkiej Filmówce, w której starsi od niego słuchacze – Jerzy „Duduś" Matuszkiewicz, Witold Sobociński i Andrzej Wojciechowski z kolegami z Krakowa, Warszawy, Poznania – współtworzyli legendarny zespół Melomani.

Po studiach Wasylewski zrealizował kilkanaście spektakli Teatru TV. Od 1976 r. przedstawił w TVP kilkadziesiąt filmów dokumentalnych, ze szczególnym uwzględnieniem jazzu. W latach 1981–1993 pracował w Paryżu dla Antenne 2. Ceniono go także w Niemczech. W telewizji Sender Freies Berlin wykreował widowisko „Jazz aus Polen", na ekranach Südwesstfunk reżyserował programy promotorów jazzu: Joachima E. Berenta i Wernera Wunderlicha. Jego filmy rekomendował w USA sam Willis Conover, słynny komentator jazzowy Voice of America.

Po powrocie z zagranicy Andrzej skupił się na tak mu bliskiej historii rodzimego jazzu. Nie był pionierem, bo w XXI w. zaistniały dwa wartościowe opracowania: Krystiana Brodackiego „Historia jazzu w Polsce" (PWM Edition, 2010) i Krzysztofa Karpińskiego „Był jazz. Krzyk jazz-bandu w międzywojennej Polsce" (Wyd. Literackie, 2014). W odróżnieniu od tych encyklopedycznych kompendiów Wasylewski w „Jazzowych dziejach Polaków", nie gubiąc faktów, stawia na wizję bardzo osobistą. Swoją lub swoich rozmówców, których wypowiedzi notował przez lata, podczas kręcenia filmów. „Przeczytane na nowo, [...] ułożone w ciągu historycznym [...] jawią się jak monolog jednego wzorcowego polskiego człowieka jazzu" – przybliża autor swój zamiar.

Emocjonalną relację współtworzy 26 ważnych postaci, wśród nich m.in. Andrzej Kurylewicz, Jerzy Matuszkiewicz, Zbigniew Namysłowski, Tomasz Stańko, Andrzej Trzaskowski, Michał Urbaniak, Jan „Ptaszyn" Wróblewski. Odbicie znajdują wszystkie znaczące wydarzenia polskiego jazzu, ubarwione smacznymi anegdotami. Wojciech Karolak opowiada, jak w 1958 r. z kwartetem Dave'a Brubecka z miasta do miasta jeździła po Polsce silna grupa naszych jazzmanów i kibiców. Adam Makowicz przybliża swe pierwsze przeżycia w USA, gdy cierpiał, kiedy w klubach jego grę zagłuszały hałas towarzystwa z baru i odgłosy tłuczenia kotletów. Jarek Śmietana przekonuje, że godziny przegadał z Milesem Davisem w jego mieszkaniu na Manhattanie, gdy od drzwi nieprzystępnego jazzmana z kwitkiem odszedł nawet Mick Jagger.

Tę wielogłosową opowieść ilustrują archiwalne zdjęcia i cztery płyty DVD z filmami Andrzeja Wasylewskiego. Dwie z nich zawierają 10 półgodzinnych odcinków przeznaczonego dla telewizji serialu „Jazzowe dzieje Polski". Dwie pozostałe to rejestracja koncertu „The Story of Polish Jazz" Jarosława Śmietany z 2005 r. oraz biograficzny dokument „Trzaskowski – Better Luck Next Time" nakręcony w 2013 r. Tylko czytać, słuchać, oglądać. Rezerwując na to cały weekend.



Andrzej Wasylewski, „Jazzowe dzieje Polaków. Biografia wielogłosowa", wyd. Instytut Pamięci Narodowej

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 2c3010439d



Onirica

Wojciech Stanisławski

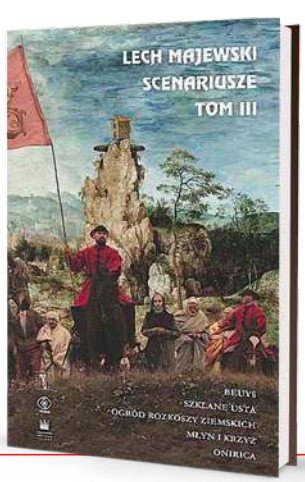
Na czas wiosennego osłabienia otrzymaliśmy dwa tytuły odwołujące się do materii snu, urojeń, widziadeł

Pierwsza z tych książek była oczekiwana od dawna. Wydawnictwo Rebis publikuje kolejne tomy scenariuszy Lecha Majewskiego: po „Locie świerkowej gęsi" i „Angelusie" w pierwszym tomie, po „Basquiacie" i „Wojaczku" w drugim przyszedł czas na trzecią część trylogii, w której znalazł się zapis najważniejszych jego filmów ostatnich lat, w tym „Szklanych ust", „Ogrodu rozkoszy ziemskich", wreszcie „Młyna i krzyża".

Kto je widział, ten wie, jak dalece stanowią one osobny gatunek, jak – zwłaszcza w „Młynie i krzyżu" – artysta przekracza tradycyjną definicję filmu, nakładając, już w trakcie obróbki komputerowej, kolejne warstwy obrazowe. Ta wiedza może budzić dodatkową obawę przed scenariuszami: suchymi, stanowiącymi zaledwie nieprecyzyjny zapis konceptu.

Tyle że w rzeczywistości scenariusze pióra Majewskiego to dzieła całkowicie autonomiczne, o ogromnej sile, pozostające na długo z czytelnikiem. Część z nich jest czysto narracyjna, jak świetny, zestawiony w 43 scenach życiorys wielkiego artysty awangardy Josepha Beuysa, który możemy czytać jak opowiadanie złożone z zapisu scen, dialogów, zbliżeń kamery. Inne, jak „Szklane usta", przez samego autora określone mianem „poematu filmowego", czytać trzeba jako cykl wizji albo przejmujący zapis najważniejszych, formacyjnych, „edypalnych" doświadczeń życia i postępującego odchodzenia od normy.

Wspólne dla tych pięciu zapisów jest połączenie dwóch zwykle rozłączonych narzędzi odtwarzania świata: słowa i wizerunku. Lech Majewski, niczym w zapomnianym gatunku ekfrazy, czyli „precyzyjnego opisywania plastycznego dzieła sztuki słowem", tworzy na naszych oczach „żywe obrazy": przejmujące, gęste od symboliki stop-klatki. Majewski – poeta, powieściopisarz, reżyser – posiada dar nadawania tym zestawieniom przedmiotów i gestów niezwykłej powagi. Nie ma w tych scenariuszach/poematach, mimo ich zakorzenienia w mitologiach i malarstwie, nic z chichotu parodysty, z niedbałego i znudzonego tasowania zgranych motywów. Każde zdanie Majewskiego jest jak kreska czerni lub ochry, ciągnięta palcem po ścianie jaskini; każda z zapisanych scen jest tworzeniem na nowo świata, a nie tylko przetwarzaniem go. Nie sposób czytać tych pięciu scenariuszy razem, na jednym oddechu: po skończeniu każdego odkłada się książkę, jakby wychodziło się z kina po obejrzeniu zapierającego dech, zmuszającego do milczenia filmu. Poszczególne sceny i przedmioty – „stary, blaszany zając", zakrwawiony kamień, opatrunek na szyi Claudii, lemiesz, prujący podłogę sztampowego hipermarketu – pozostaną już z nami jak zapamiętany fragment proroczego snu: ascetyczny, wyrazisty, niepokojący, wymagający stale wymykającego się wyjaśnienia. Każdy obraz, każda barwa okazuje się u Majewskiego znakiem.



Lech Majewski, „Scenariusze, Tom III", wydawnictwo Rebis, 2019

W mocnej kontrze do tego pozostaje „Spław" Janusza Węgiełka, powieść przytłaczająca rozmiarami (cztery księgi, 49 rozdziałów), która jest prawdziwym „Sennikiem polskim", sumą wszystkich dręczących, niekończących snów, z których budzimy się na chwilę, siadamy półprzytomni na łóżku i osuwamy się w nie znowu. Innymi słowy, polski los jak na dłoni.

„Spław" reklamowany jest na obwolucie jako „wielka powieść [...] kontynuująca wspaniały nurt epopeiczny »Nad Niemnem« Orzeszkowej". Jest to, jeśli dobrze pomnę, trzecia w ciągu roku wielka polska powieść, prezentowana przez krytyków jako kontynuacja Orzeszkowej, i rozumiejąc doskonale, jak gigantyczny potencjał marketingowy musi mieć w roku 2019 odwoływanie się do poetyki pani Elizy, marzę jednak, by dopuszczano również inne odczytania. Bo „Spław", choć w pierwszej, fabularnej warstwie rzeczywiście traktujący o żegludze w dół Wisły z ładunkiem ziarna, czyli o praktyce ziemiańskiej i swojskiej, przyrównywać trzeba moim zdaniem raczej do „Stu lat samotności" i fantazji Lewisa Carrolla – ale nie tych poczciwych, oswojonych w „Alicji w Krainie Czarów", lecz tych ze znacznie wierniej odtwarzającego paralogikę i nieciągłość snu sequelu, czyli „Alicji po drugiej stronie lustra".

Czegóż bowiem na pięciuset z okładem stronach powieści nie ma! Nie tylko bezustannie mieszają się i nakładają czasy: wiek XVII płynnie przecho-

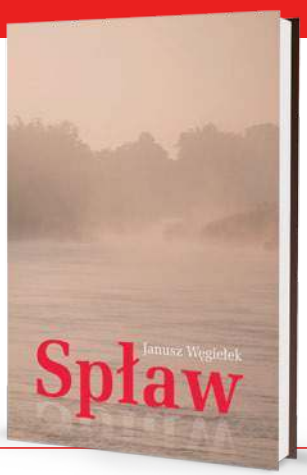
eprasa.pl 2c3010439d

ort ekstremalny

dzi w XX, zegarki-repetiery sąsiadują z karabelami i stenami, duraluminiowe katamarany, które jakby sfrunęły z kart „Twojego Stylu", ścigają się ze szkutą, a Warszawa, w której toczy się jedna z odsłon książki, ukazuje dwuznaczną, ograniczoną do kilkudziesięciu ulic centrum urodę dwudziestolecia. W ślad za tym mieszają się także style i języki, retmani jak z poematu Klonowica ślą maile i zagadują gwarą z Grzesiuka, a towarzysze pancerni wkraczają, ciężko stąpając, do salonu profesury prenumerującej wyłącznie „Wyborczą" (czy może raczej – do nader nieżyczliwego wyobrażenia takiego salonu). Mapa wypiętrza się niemal jak w kenozoiku, zaraz za Górami Pieprzowymi widać równiny Tartarii i puszcze Żmudzi.

Mało tego: od mieszaniny czasów, czasem trochę mechanicznej, ale zabawnej i dającej ostrogę wyobraźni, bardziej nużące są nieciągłości narracyjne i charakterologiczne: załoga szkuty w swojej dramatycznej żegludze to zmaga się z katastrofalną powodzią, to obserwuje, przyczajona, jatkę przypominającą mord katyński lub obławę augustowską – po czym wątki te urywają się, ustępując innym: a to spotkaniom z ondynami zamieszkującymi wypłukane przez wodę jaskinie w wapieniach pod Kazimierzem, a to zmaganiom oddziału żołnierzy NZW z plującymi jadem gadami i zgrają dowodzonych przez demona wiejskich gburów, nieodparcie przypominających orków Uruk-hai... Wszystko to piętrzy się i miesza, bohaterowie od XVII-wiecznej polszczyzny (takiej, jak ją sobie imaginował Walery Łoziński) przechodzą w jednym zdaniu do języka anatomii, wykwintu, czatu, patosu i przypowieści, by wreszcie gładko – mamy wszak do czynienia również z powieścią marynistyczną! – zrefować żagle. Dziesiątki scen i wątków pozostają nierozwinięte, niewyjaśnione, niczym pozostające w tyle dopływy wielkiej rzeki.

Przytłaczające, ale takie właśnie są sny, z których nie sposób się przebudzić, zapętlenia koszmarów, w których zamyka nas gorączka. Wierzę, że w intencji Janusza Węgiełka szło o opisanie w ten sposób całości polskiego doświadczenia, na które składa się nagromadzona, poprzerastana pamięć kolejnych obław, zdrad, najazdów bisurmańskich i hajdamackich, samolotów sunących nad Wieluń, bomb spadających na Kalisz, z widmem spisku Prusaka i Hibernijczyka w tle. Prawdziwe to, ale dręczące, zatrzaskujące nas w koleinie przeznaczenia – i, z głową ciężką od dialogów, widziadeł, zatrzęsienia słów w „Spławie" znów sięgamy z ulgą, jakby chlapiąc zimną wodą na twarz, po kilka oszczędnych, jasnych wizji Majewskiego.



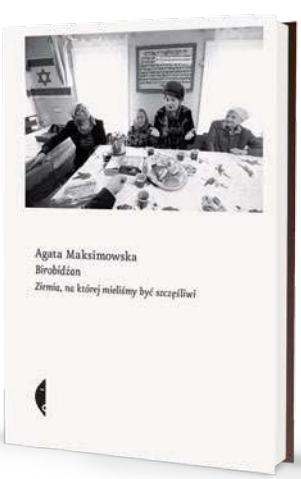
Janusz Węgiełek, „Spław", wydawnictwo LTW, 2018

Anatewka nad Amurem

To opowieść o jeszcze jednej utopii stalinowskiej, równie pełnej pychy i niemożliwej do realizacji, co projekty zawracania biegu rzek i obsiewania zbożami tundry, równie nieuchronnie owocującej najpierw fałszem podkolorowanych sprawozdań, potem nieszczęściem. Ale też urzekającej rozmachem, przynajmniej na papierze: a gdyby tak wszystkie duszące się z przeludnienia, ubogie, a dodatkowo zdziesiątkowane w trakcie wojny domowej sztetłech, miasteczka żydowskie (malownicze tylko w opowiadaniach Alejchema i na obrazach Chagalla; w rzeczywistości porażała ich nędza), przenieść dziewięć tysięcy kilometrów na wschód i stworzyć tam Żydowski Obwód Autonomiczny?

To marzenie wyrosło gdzieś na styku syjonistycznych marzeń o Żydach uprawiających rolę, marzeń planistów o zagospodarowaniu nieużytków oraz meandrów stalinowskiej polityki narodowościowej, która w połowie lat 20. nakazywała tworzenie nowych elit i struktur narodowych, a dziesięć lat później ich likwidację. Bagnistego Birobidżanu, nazwanego tak od dwóch dopływów Amuru, w których widłach leży, nie czekał los tak okrutny jak polskiej Marchlewszczyzny. Ale obraz tysięcy książek w jidysz płonących w żelaznych kontenerach Birobidżanu zupełnie tak jak kilka lat wcześniej na placach Norymbergi jest jedną z lepszych ilustracji bliźniaczego podobieństwa dwóch totalizmów.

Autorka reportażu zbyt chyba gorliwie usiłowała zmieścić w jednej książce wszystko: dzieje Żydów rosyjskich w ZSRS (i po jego rozpadzie), rozważania nad ideą polityki narodowościowej, zapisy dziesiątków rozmów sporządzanych z rzetelnością etnografki. Ale obrazy małomiasteczkowych społeczności, przesiedlanych przez sowieckich biurokratów z fanfarami pierwszej pięciolatki w tle mają w sobie urodę i smutek godne Lejzorka Rojtszwańca.



Agata Maksimowska, „Birobidżan. Ziemia, na której mieliśmy być szczęśliwi", Czarne, 2019

eprasa.pl 2c3010439d



Kino

Zmowa milczenia

Pierwszy raz uderzył taki chłód w wycmokanego przez krytyków filmowych Irańczyka Asghara Farhadiego. Zdobywca Oscara i Złotej Palmy (scenariusz) za „Klienta" tym razem przeniósł się do Europy i zaangażował dwójkę aktorów uwielbianych przez masowego widza. Modny reżyser z Persji i intrygujące małżeństwo gwiazdorów Penélope Cruz i Javier Bardem w dramacie obyczajowym osadzonym na sielankowej hiszpańskiej prowincji? Co może takiej drużynie nie wyjść? Jednak film nie podbił festiwali, a krytycy zarzucili mu przekombinowanie i banalność. Ja tak nie uważam, choć bez wątpienia jest to najmniej przenikliwy film „irańskiego Kieślowskiego", jak niektórzy nazywają Farhadiego.

Urokliwe hiszpańskie miasteczko. Mała społeczność mająca swoje sekrety. Paco (Bardem) jest cenionym winiarzem. Ma poukładane życie i pozycję w „małej ojczyźnie". Wtedy pojawia się Laura (Cruz), która przylatuje na rodzinny ślub z Buenos Aires. Paco i Laura mieli kiedyś romans. Dziś są tylko przyjaciółmi, choć z wciąż otwartymi ranami z przeszłości. Podczas wesela uprowadzona zostaje córka Laury. Porywacze żądają okupu.

Adamski



Klasyczny thriller jest tylko przyczynkiem do kolejnego przewrotnego moralitetu Farhadiego. Poszukiwania nastolatki szybko prowadzą do zerwania rodzinnych masek. Fasada kochającej się i zjednoczonej familii kruszy się w piorunującym tempie. Na jaw wychodzą ukrywane grzechy, zdrady. Objawia się upudrowana dobrymi manierami nienawiść. Wszyscy wiedzą o jednej tajemnicy, która przez lata rozkładała rodzinę. A może jednak ją kleiła?

„Wszyscy wiedzą" zawiera tematy eksploatowane przez Farhadiego w poprzednich filmach. „Rozstanie" było symboliczną opowieścią o pękniętym społeczeństwie. „Klient" mówił o ukrytym grzechu. Oba były historiami rozpadu rodziny. Tak jest i tutaj. Dla znawców kina Irańczyka ten film jest więc wtórny i do tego zbanalizowany. Jednak widzowie, dla których irańskie kino jest zbyt egzotyczne, mają w końcu szansę zapoznać się z myślą tego wyjątkowo utalentowanego reżysera.

Widać, że Farhadi nie do końca zna europejską tradycję. Rozmowa przy stole o walce klasowej pokazuje, że irański reżyser nie czuje w naturalny sposób niuansów europejskiej historii. Natomiast ciekawie wygląda wątek odkupienia i ofiary, których nie można oderwać od chrześcijańskiej koncepcji ofiary. To, że Farhadi jest artystą z kraju teokratycznego i jego irańskie filmy siłą rzeczy muszą być zanurzone w islamie, nadaje finałowi alegorycznego „Wszyscy wiedzą" głębszy wymiar.

Nawet jeżeli nie przemówią do was rozważania Farhadiego intelektualisty, to bez wątpienia warto ten film obejrzeć dla duetu Cruz–Bardem. Są inni niż u Woody'ego Allena w „Vicki Cristina Barcelona". Oboje tworzą poruszające role zdesperowanych ludzi, postawionych przed koniecznością skonfrontowania się z własną przeszłością.

„WSZYSCY WIEDZĄ", REŻ. ASGHAR FARHADI, DYSTR. GUTEK FILM

VOD

Wirtuozerski taniec

Cieszę się, że w końcu znakomity izraelski „Fokstrot" Samuela Maoza jest łatwo dostępny dla polskiego widza. Przemknął w zeszłym roku niezauważony przez kina. Zobaczyłem go dopiero jako członek jury festiwalu WAMA. Przyznaliśmy mu główną nagrodę. Zaczyna się od trzęsienia ziemi. Do mieszkania małżeństwa Dafny i Michaela przychodzi żandarmeria wojskowa. Informuje o śmierci syna na służbie. Szok potęguje poczucie bezsilności w zderzeniu z wojskową biurokracją. Dlaczego nie mogą zobaczyć ciała syna? Wtedy pojawia się pierwsza, absolutnie zdumiewająca reżyserska przewrotka. Wirtuoz Maoz robi ich jeszcze kilka w rytm tytułowego tańca. Ściskający za serce obyczajowy dramat zostaje podlany groteskowym sosem. Reżyser zaprasza nas do fokstrota, w którym czekają nas zupełnie sprzeczne z sobą emocje. Dawno żaden film



tak przejmująco nie pokazał rodzicielskiego bólu. Żaden nie rozładował go równie przewrotnym spojrzeniem na wojnę. Każdy z trzech aktów „Fokstrota" ma inną temperaturę. Aż do finału, który na długo państwo zapamiętają.

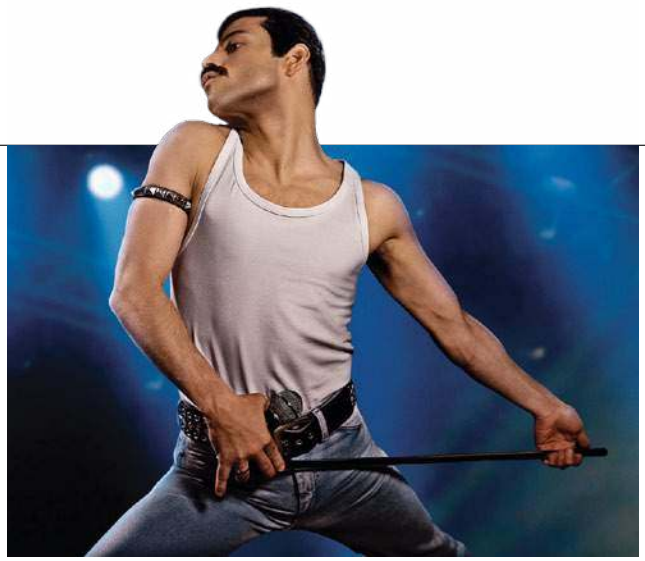
„FOKSTROT" DOSTĘPNY NA HBO GO

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 2c3010439d

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



DVD/Blu-ray

Przedstawienie musi trwać

Zdumiewające są losy tego filmu. Cztery Oscary, w tym za najlepszą rolę dla Ramiego Maleka. Zaskakujący Złoty Glob dla najlepszego filmu roku. 15 różnych prestiżowych nagród i, uwaga, niepochlebne głosy krytyków filmowych. Widzowie wiedzą jednak swoje i szturmem ruszyli do kin, by zobaczyć biografię jednego z najważniejszych zespołów XX w. „Bohemian Rhapsody" zarobił w kinach ponad 860 mln (sic!) dolarów. Sukcesu mogło jednak nie być. Rezygnacja z projektu mającego grać Freddiego Mercury'ego Sachy Barona Cohena, wyrzucenie dwa tygodnie przed końcem zdjęć z reżyserskiego stołka Bryana Singera (afera #MeToo), a potem pierwsze negatywne recenzje.

Jest to film irytująco kartkujący karierę Queen. Nie wybrzmiewa odpowiednio ekscentryczna eklektyczność zespołu. Od glam rocka, przez rockową operę i disco, aż po coś tak perfekcyjnego jak płyta „Innuendo" – taka mieszanka mogłaby zahaczyć o wybitność tylko w rękach genialnego wizjonera. Bryan Singer i członkowie zespołu chcieli filmu bezpiecznego i przeznaczonego dla mas. Znający dobrze historię Queen fan będzie się oburzał na niezgodność faktograficzną i liczne uproszczenia. Ale taki był wybór członków zespołu Bryana Maya i Rogera Taylora, którzy od początku trzymali projekt w rękach.

Rami Malek stał przed szalenie trudnym zadaniem. Zagranie kogoś tak ekspresyjnego, zmanierowanego i umiejącego panować nad masową publiką jak Mercury mogło się skończyć katastrofą. Skończyło się w pełni zasłużonym Oscarem i otwarciem drzwi do wielkiego Hollywood. Singer za pomocą kilku świetnie skonstruowanych scen wyciąga z postaci Mercury'ego jego największe dramaty. Wielolet-

nia i platoniczna miłość do dawnej dziewczyny Mary Austin, z którą nie mógł stworzyć upragnionej rodziny przez swój homoseksualizm, zabijana libertyńskimi imprezami samotność, poszukiwanie ojcowskiego uznania i w końcu popadniecie w pychę – to wszystko Singer pokazuje subtelnie. Zmontowana w rytm „Another One Bites The Dust" scena hedonistycznych eskapad Mercury'ego do nocnych klubów zapada w pamięć jak psychodelia „The Doors" Olivera Stone'a.

Ujęcie Freddiego, który właśnie dowiedział się o tym, że ma AIDS i spotyka na korytarzu kliniki wychudzonego i pokrytego mięsakami Kaposiego fana Queen, mówi wszystko o ostatnich chwilach Mercury'ego. Nie musimy oglądać jego ostatnich dni u boku odnalezionej późno miłości życia. Wystarczy ta jedna, jakże sugestywna scena zamknięta w spojrzeniu dwóch umierających ludzi, których ponad śmiercią łączy sceniczna magia Queen.

„Bohemian Rhapsody" jest bardzo schematyczną i do bólu przewidywalną biografią muzyczną. Warto ją jednak zobaczyć dla kapitalnie nakręconego występu Queen na Live Aid. Polecam płytę Blu-ray, by doświadczyć dźwięku w najlepszej jakości. W końcu jak śpiewał na ostatniej swojej płycie Freddie – „The Show Must Go On".

„BOHEMIAN RHAPSODY"
REŻ. BRYAN SINGER, DYSTR. IMPERIAL CINEPIX

VOD

Mafia capitale



Netflixowa odpowiedź na „Gomorrę" to jedna z najciekawszych opowieści o włoskiej mafii, jaka pojawiła się w popkulturze. Wydaje się, że temat ten został przeżuty już na wszystkie możliwe sposoby przez naśladowców arcydzieł mafijnych Coppoli i Scorsese. Ba, nawet demitologizacja organizacji przestępczych ze słonecznej Italii stała się dziś normą w kinie. „Suburrą" nazywano dzielnicę starożytnego Rzymu, będącą gettem dla ludzi spod ciemnej gwiazdy. Część dzieciństwa spędził tam Juliusz Cezar. Dziś suburrą określa mafię capitale. Stołeczna mafia jest dziwaczną hybrydą, mającą związki zarówno z sycylijską cosa nostrą, kalabryjską 'Ndràngheta, neapolitańską kamorrą i Sacra Coroną Unitą z Apulii. Drugi sezon „Suburry" w fascynujący sposób pokazuje symbiozę rzymskich samorządowców z mafiosami. Polityczne gry między prawicą a lewicą, walczące z sobą kliki w Watykanie, reżyserowany przez mafię kryzys z uchodźcami i wojna na rynku nieruchomości – więcej w tej opowieści polityki niż ulicznych strzelanin. Uzależniająca opowieść!

„SUBURRA" DOSTĘPNA NA NETFLIXIE

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 2c3010439d



„Chwile ciszy” Michała Świdra

Odszedł artysta prawie nieznany, odrębny, wysokiej rangi. Bez wątpienia jeden z najwybitniejszych dzisiaj polskich malarzy

Fot. Jan Kazimierz Kapera



LESZEK DŁUGOSZ

W Czernichowie pod Krakowem 6 lutego zmarł nagle w wieku 57 lat Michał Świder, artysta malarz. Od razu dodam – artysta wybitnej klasy. Najbliżsi, grono znajomych i przyjaciół doświadczyli szoku. Trudno inaczej określić efekt, kiedy śmierć sięga po swój łup bez uprzedzenia. Ten gest zabija ofiarę i w pewnym sensie powala otoczenie. Takie spektakle – nic nowego. Były, są, będą. I jeśli publikuję ten tekst, to nie dlatego, że i mnie dotknęło uczucie smutku i niesprawiedliwości – byliśmy od lat zaprzyjaźnieni. Ogłaszam ten tekst w przekonaniu, że szerszej publiczności należy się informacja: odszedł artysta prawie nieznany, odrębny, wybitnej rangi. Bez wątpienia jeden z najwybitniejszych dzisiaj polskich malarzy. Zostawił dzieło, które dla swojej jakości będzie musiało być wyróżnione jako szczególne osiągnięcie w historii polskiego malarstwa początku tego stulecia. A że taka niewiedza w tej sprawie? To całkiem inne zagadnienie. Po innych szlakach biegają heroldowie sukcesu i sławy.

Brak działań promocyjnych, izolacja samego artysty, właściwie brak udziału w jakimś życiu, zarówno publicznym, jak i artystycznym, to był świadomy, konsekwentny wybór Świdra. Kiedy zostały już tylko obrazy (paradoksalnie – one same jakby w swojej istocie najmocniej „rezonują ciszą”), na tych, którzy widzą i wiedzą, spoczywa obowiązek zadbania o tę spuściznę. Poczynając od pierwszego obowiązku poinformowania o niej. O jakości tego malarstwa. To, że nie musiał dbać o tzw. promocyjny sukces (nabywcy, także zza granicy, cierpliwie stali w kolejce po odbiór zamówionego dzieła), jest faktem. Michał pracował bardzo wolno. I nie wynikało to tylko z wolnej, pietystycznej roboty. Zamierzony efekt – samo malarskie ukształtowanie materii tych płócien – wliczało taką ilość robocizny. Ale też dzięki takiej metodzie zaciągania powierzchni płótna minipunktami powierzchnia obrazu zyskiwała intrygujący walor – szczególną miękkość i głębię. Sama materia uzyskiwała niezwykłą szlachetność. Liczne inkrustacje, złocenia, wbudowywane ornamenty inskrypcyjne, wszystkie te procedury – rzec można dekoracyjne – przy okazji przywołujące określone pokrewieństwa duchowe i kulturowe przynosiły efekt niezwykły. Sugerowały czy wskazywały wręcz intelektualne (lepiej – duchowe) powinowactwa i zaadresowania. Stwarzały rodzaj dyskursu z „odległą rozmową”. Z głosami innych artystów, z innych czasów...

Ale przecież sama szata, oszałamiająca uroda materii, była demonstracją możliwości kogoś współczesnego. Przesiedleńca z innej epoki, żyjącego jednak tu i teraz. I ograniczając czytanie płótna choćby tylko do takiej „powierzchni”, musimy przyznać, że mamy do czynienia z wyjątkową niedzisiejszą finezją, wirtuozerią rysunku, z elegancką powściągliwością sugerowanych domysłów. Nie wspominam w tym tekście o freskach, malowidłach ściennych Michała (w polskich kościołach – w Płokach, Czyżówce czy we włoskim Fabriano). Nie znam ich. Ci, którzy znają te prace, zgodni są w swoim uznaniu, jeśli nie zachwycie.

Jak powiadali najbliżsi, Michał żył i pracował na modłę dawnego mnicha. Czuł się stowarzyszony z duchami z dawnej konfraterni. Za murem w Czernichowie był jakby jednym z nich. Podróżny z dzisiejszych czasów (który jak mógł, skwapliwie je pomijał) duchowo był z tamtymi „onymi mistrzami” (Fra Angelico, Giotto). Płótno „malowało się” miesiącami. Oprócz kosztów drogiej materii malarskiej (zdobywana i preparowana na swój sposób farba, złocenia) kosztowało także zdrowie, zwłaszcza oczy. Kto by wliczał takie koszty?

Ukończył krakowską ASP. Studiował grafikę i malarstwo. Akurat zapewne u dwojga najwybitniejszych w ostatnim okresie tam mistrzów – u Zbysława Maciejewskiego i Janiny Kraupe-Świderskiej. Na krótki czas, po skończeniu studiów, przystał na pracę pedagogiczną w tejże akademii. Zwinął się


Caligo

jednak prędko, nie odnajdując specjalnego powołania do pedagogiki czy do obecności (nie mówiąc o jakimś współdziałaniu) w grupie, w większym środowisku artystów. Skrajny indywidualista – to powiedzieć mało – wybrał izolację od bieżączki w każdym sensie. I politycznej, i towarzyskiej. W niewielkim Czernichowie pod Krakowem, w starym, wyremontowanym wiejskim domu (zapewne za wystawowe pieniądze amerykańskie), otoczonym ogrodem, za wysokim murem, wraz z żoną Lidią artysta i muza wiedli życie niemal pustelnicze. Na Zafurciu szło malowanie. Lubił to pożyczone z mojego „Czarnolasu": „W piśmie robota/ a u niego – na płótnie/ robota zaczyniona" – liczyły się rzeczywistość sztuki, muzyka, literatura, filozofia, dobre wino... Bez podejrzanej, komponowanej programowości to była ich naturalna, nieograniczana barierami codzienności rzeczywistość. Dyskurs i ucztowanie z wybranymi towarzyszami po piórze, pędzlu, lutni. Znakomicie oczytany i osłuchany Michał był kompanem tych ze świata antyku, świata włoskiego duocento, trecento... Wybrane strony secesji? Oto na pierwszy rzut oka – odczytując jego obrazy – jego goście, najbliższe mu okolice.

Ktoś o dziełach Michała powiedział, że to są umieszczane na ścianie „chwile ciszy". To prawda, bezruch, milczenie są dominantą tych obrazów. Ale przecież one nie są martwe. Ileż supozycji, zatrzymanego gestu. Podążającego ku jakiejś rezygnacji, rozczarowaniu? Może też i ku zachwyceniu? Ile tam intrygującego rekwizytu – symbolu sugerującego jakąś podpowiedź? Bo docieramy do najważniejszego, bo takim był człowiekiem i artystą – skupionym nie na efekcie, ale na wydobyciu spod powierzchni tych ostatecznych wyznań. Ostatecznych rozstrzygnięć.

Wystawiał bardzo mało. Najzwyczajniej nie nadążał. Żyło się z bieżącej sprzedaży. Na kolejną wystawę nie był w stanie zgromadzić wystarczającej liczby płócien.



Szepty

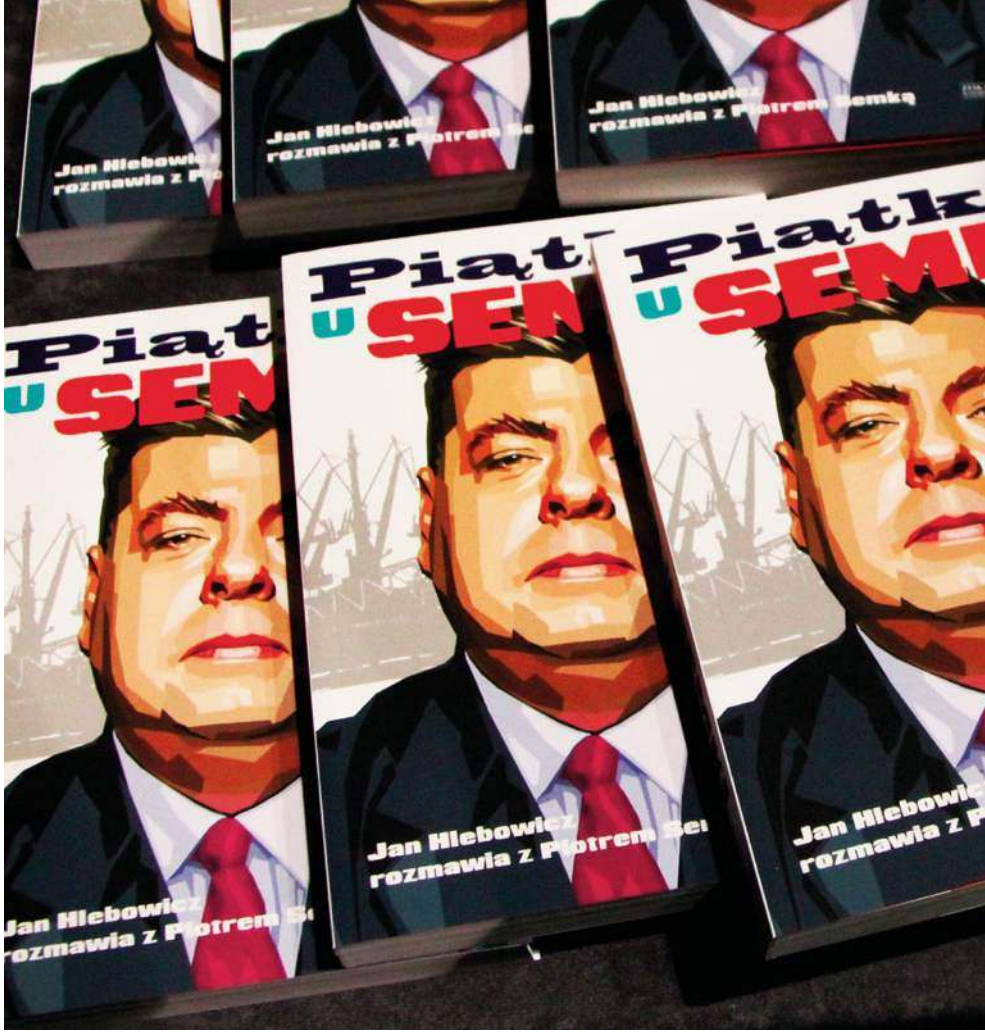
W kraju jego twórczością, bodaj od 1995 r., zawiadowała krakowska Galeria Kersten. Stamtąd też nasza znajomość. Nie waham się przed określeniem „przyjaźń". Choć widywaliśmy się tak rzadko. Michał był nadzwyczajnie uważnym czytelnikiem, słuchaczem moich piosenek, programów radiowych. Bliskim człowiekiem. Krytycznym, wymagającym, serdecznym. Więc najlepszym. Poza tym wielką przyjemnością było smakować, dworować z kimś tak dowcipnym, lotnym. Zdumiało mnie to odkrycie – był wielkim wielbicielem Kochanowskiego! Mój wiersz (z płyty zatytułowanej „W Czarnolesie") niczym swoją deklarację programową wybrał na wizytówkę otwierającą jego stronę internetową. Rzeczywiście nie tylko mnie, lecz i im samym widział się ten ich – Lidii i Michała – Czernichów jakimś Czarnolasem.

Artykuł, który ogłaszam, doprawdy jest amatorskim, przyjacielskim „pierwszym anonsem". Potrzebą poinformowania o zjawisku artystycznym nieprzeciętnym, które teraz, kiedy Twórca już w najdalszych przestrzeniach, ktoś z władz zawiadujących centralnie kulturą w Polsce może spostrzeże i uhonoruje? A specjaliści profesjonalnie „czytający malarstwo" (przecież nie tylko) powinni fachowo opisać i dołączyć je wreszcie do szkatuły opatrzonej na wieku napisem: „Kultura polska. Cenne".

Na koniec taka koincydencja podsuwa mi się tu, aby ją przywołać, taki łańcuch zdarzeń. Zanim się wybrałem w Krakowie do Galerii Kersten (to był rok 2001), aby zobaczyć wystawę Świdrową, o której w mieście więcej było szumu, bez żadnych antycypacji, planów, czegoś podobnego, a tylko jak najbardziej z własnej potrzeby, zdarzyło mi się napisać wiersz, który opatrzyłem tytułem „Na żałobnych tablicach starożytności". Ku niepojętemu zdumieniu zobaczyłem na ścianach, czyli na tych obrazach, ten mój wiersz. Kraków „niebalszoj gorod", pobiegłem do domu, przyniosłem tekst i wręczyłem Michałowi. Zdumiony wypowiedział to samo co ja: „Nieprawdopodobne, ależ to jest wszystko to, co jest w tych obrazach!". Tak się poznaliśmy. I tak rozpoczęła się przyjaźń. Rozmawiałem telefonicznie z Michałem jakieś dziesięć dni przed jego śmiercią. Oczywiście o wszystkim, tylko nie o tym „ewentualnym przywołaniu". Najbardziej czekaliśmy na tę wiosnę. Na tę...

PS Ów wiersz zamieszczam w tygodniku w miejscu, gdzie zwykle publikuję wiersze.

Jak powstał legendarny już program „Reflex”, jakie były kulisy tworzenia najciekawszych, budzących wściekłość establishmentu III RP odcinków oraz w jaki sposób zdjęto go z anteny – o tym m.in. dowiadujemy się z książki „Piątka u Semki”, która pojawiła się właśnie w księgarniach. Wywiad ze znanym i cenionym dziennikarzem oraz historykiem przeprowadził Jan Hlebowicz



To był cierń w oku Wałęsy

W połowie roku 1991 rozstałeś się z „Tygodnikiem Gdańskim”. Zamieszkałeś w Warszawie. Gdańsk – Warszawa. To były dwa różne światy?

Piotr Semka: Pierwsze swoje kroki skierowałem na uroczystości 3 maja w 1991 roku. Pierwsze takie obchody pod rządami Wałęsy. Znajomy wcześniej zachęcił mnie informacją, że po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej odtworzony zostanie szwadron kawalerzystów stanowiący wartę honorową prezydenta. I tak rzeczywiście było. Malinowe otoki, dźwięk kopyt, błyszczące szable. To robiło wrażenie. Naglę widzę, jak za kawalerzystami jedzie kilka powozów z Wilanowa. A w dorożce Tomasz Lis, wówczas początkujący reporter, a tuż obok związana z reżimowymi mediami Monika Olejnik. Wtedy zrozumiałem, że już tworzy się kasta uprzywilejowanych dziennikarzy, mających najlepsze miejsca na dworze Wałęsy. Przeraziło mnie, że takie osoby jak Olejnik tak szybko odnalazły się w nowym świecie. Późniejsze wydarzenia pokazały, że miejsce w dorożkach nie było przypadkowe.

Zawodowo związałeś się z „Tygodnikiem Solidarność”, ale niemal równocześnie zacząłeś pracować dla Telewizji Polskiej.

W styczniu 1991 roku prezesem TVP został Marian Terlecki, mój starszy kolega z Topolówki, mojego liceum w Gdańsku-Wrzeszczu. […] Zadzwonił do mnie i Jacka i od razu przeszedł do sedna: „Słuchajcie, chłopaki, potrzebuję programu telewizyjnego. Ostrego, reporterskiego, dynamicznego, nowatorskiego. Jesteście w stanie to zrobić?”. Zapytaliśmy, ile mamy na to czasu. „Od końca czerwca do lipca i musicie wypuścić pierwszy numer” – usłyszeliśmy w odpowiedzi. To było kompletne szaleństwo, bo nie mieliśmy pojęcia o tym, jak się robi telewizję.

Dostaliście do ręki mikrofon i kamerę i co było dalej?

I zostaliśmy wysłani na kurs telewizyjny prowadzony przez Jeana Offredo, wybitnego francuskiego dziennikarza i jednocześnie ogromnego przyjaciela Polski i Solidarności. […] Na jednym kursie byliśmy m.in. z Piotrem Kraśką.

Kraśko potrzebował takiego samego kursu co wy? Jako wnuk dzienni-

eprasa.pl 2c3010439d



karza Wincentego Kraśki, syn reżysera Tadeusza Kraśki i producentki filmowej Barbary Pietkiewicz miał z telewizją kontakt już od lat. W czasach PRL występował m.in. w Telewizji Polskiej jako prezenter programu dla dzieci i młodzieży „5–10–15”.

To nie takie proste. Mama Piotrka związała się w latach 80. z Solidarnością, a sam Kraśko w latach 1988–1989 był członkiem redakcji niezależnego pisma młodzieży licealnej „Uczeń Polski”. On wtedy brał udział w kursie nie jako wnuk działacza komunistycznego i reżimowego dziennikarza Wincentego Kraśki, ale jako syn Barbary Pietkiewicz, która w stanie wojennym miała piękną opozycyjną kartę. Nina Terentiew w stanie wojennym też trzymała pod swoim łóżkiem archiwum jakiejś grupy solidarnościowej. To o niczym nie świadczy i świadczy zarazem. Piotrek był i zachowywał się jak chłopiec z dobrego domu. Sympatyczny, otwarty, pozytywnie nastawiony. To była bardzo dobra współpraca.

Po kursie byliście gotowi robić swój autorski program. Nazwaliście go „Reflex”.

Z tą gotowością bym nie przesadzał. Po dobrych radach Jeana Offredo byliśmy nieco mniej zieloni, ale nadal nie mieliśmy pojęcia o telewizji. Tymczasem Marian zadzwonił po raz drugi i przypomniał nam o naszym zadaniu: „Za miesiąc chcę mieć wystrzałowy program. Na każdy odcinek macie dziesięć minut”. W telewizji to naprawdę sporo. Pracowaliśmy po szesnaście, osiemnaście godzin dziennie. Wracaliśmy z Woronicza o północy i wracaliśmy o szóstej rano.

Różowa czołówka, „x” w nazwie. Dzisiaj to by nie przeszło.

Ale wówczas robiliśmy chyba najnowocześniejszy program publicystyczny w Polsce. Łamaliśmy zasady. Kiedy powiedzieliśmy, że czołówka ma być różowa, graficy łapali się za głowy. Bronili się przed tym rękami i nogami, ale my twardo obstawialiśmy przy swoim. „Musi tak być, bo chcemy, żeby nasz program rzucał się w oczy” – argumentowaliśmy.

W jaki sposób zbieraliście materiały?

Praca nad „Reflexem” stanowiła przyspieszony kurs III RP. Gdzie nie wbiliśmy dziennikarskiej łopaty, tam odkrywaliśmy, że pod piękną fasadą transformacji z końcem komunizmu niewiele, a czasami właściwie nic się nie zmienia. Obowiązują te same układy, ludzie dawnej władzy ciągle piastują najwyższe stanowiska, ba, nadal decydują o byciu i niebyciu ludzi Solidarności i opozycji. Podam przykład. Pewnego razu dostaliśmy list, że w Ministerstwie Oświaty strajk okupacyjny prowadzi pewna nauczycielka z Jeleniej Góry, która w stanie wojennym została usunięta ze szkoły z powodu swoich przekonań. Okazało się, że ta oddana Solidarności kobieta nie została po 1989 roku przywrócona do pracy przez Kuratorium Oświaty. Spotkaliśmy się z nią i włosy stanęły nam dęba. Ujrzeliście zniszczoną życiem kobietę, która zebrała cięgi od Polski Ludowej, a teraz zbiera podobne, a może nawet boleśniejsze, od III RP. Była znerwicowana. Roztrzęsiona. Zmarnowała dwa lata teoretycznie wolnej Polski na odwołaniach i nieustannych bieganinach od urzędu do urzędu. Jej heroiczna postawa z okresu stanu wojennego nie miała żadnego znaczenia. Zamiast pomagać, obciążała jej życiorys. Postanowiliśmy jej pomóc. Pojechaliśmy do Ministerstwa Oświaty. Przed wejściem poprosiłem operatorów, by po skończonym wywiadzie nie wyłączali kamer. Później ten sam zabieg stosowaliśmy niejednokrotnie. Urzędnikowi przedstawiliśmy całą sprawę. Zachował się okropnie. Odpowiedział coś na zasadzie: „Takich ludzi jest tutaj na pęczki. Wszyscy zostali skrzywdzeni. Ale jak ja mam to potwierdzić? Jakaś moda się zrobiła na skrzywdzenie”. I zaśmiał się. Mieliśmy to nagrane. Polska ujrzała postkomunistycznego gnoja, który niszczył ludzi Solidarności dwa lata po okrągłym stole. To budziło oburzenie opinii publicznej.

Kolejny materiał poświęcony był Michałowi Faltzmannowi – inspektorowi Najwyższej Izby Kontroli, który wykrył nieprawidłowości w Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, Ministerstwie Finansów, Narodowym Banku Polskim i Banku Handlowym oraz doprowadził do ich ujawnienia. Wynikiem tego była tzw. afera FOZZ.

Niestety, sam Faltzmann wykrycie i ujawnienie afery przypłacił życiem. Zadaliśmy więc pytanie, jak to możliwe, że w czasie solidarnościowego przełomu, czasie Wałęsy, w tajemniczych okolicznościach ginie polski urzędnik państwowy. Solidny, uczciwy, dobry mąż i ojciec pięciorga dzieci. Maciej Zalewski, ówczesny sekretarz Komitetu Obrony Kraju w Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy, sugerował nam, że ktoś mógł podrzucić Faltzmannowi jakiś środek, który sparaliżował pracę serca. Dzisiaj wiemy, że Jan Krzysztof Bielecki, który przyjął Faltzmanna posiadającego wiedzę o ogromnych nadużyciach finansowych, całkowicie zbagatelizował całą sprawę. Postanowiliśmy drążyć sprawę. Pojechaliśmy do Andrzeja Zarębskiego, ówczesnego

eprasa.pl 2c3010439d

rzecznika rządu Bieleckiego, i spytaliśmy o sprawę Faltzmanna. Zarębski spoważniał i odpowiedział jadowicie: „Michał Faltzmann nie żyje i panów próby wykorzystania tej tragicznej śmierci do gry politycznej budzą moje najgłębsze obrzydzenie. Do widzenia panom". Zatkało nas. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy rzeczywiście nie popełniliśmy jakiegoś nietaktu. Dopiero potem zrozumieliśmy, że Zarębski „zrobił nas" jak dzieci. Bezczelnie odmówił odpowiedzi i obarczył nas winą moralną za poruszenie tej sprawy. Ta historia pokazuje, jak duży był już wówczas poziom demoralizacji gdańskich liberałów. [...]

Wasz najsłynniejszy program ukazał się w kolejną rocznicę wprowadzenia stanu wojennego i dotyczył sprzedaży legitymacji Solidarności przez Zbigniewa Bujaka.

Żeby być precyzyjnym, była to legitymacja niezależnej organizacji młodzieżowej w Kaliszu, działającej w stanie wojennym w łączności z podziemnymi strukturami NSZZ Solidarność. Dowiedzieliśmy się, że Bujak oddał ją na aukcję organizowaną przez generałową Kiszczakową. Tę samą, która potem spróbuje sprzedać IPN-owi teczkę „Bolka". Potem Bujak bronił się, że to nie była legitymacja Solidarności. Tym gorzej, bo oznaczało to, że legendarny opozycjonista sprzedał legitymację, którą otrzymał od młodych konspiratorów ryzykujących więzienie w stanie wojennym. Ci młodzi odważni ludzie wysłali legitymację do ukrywającego się Bujaka, widząc w nim swojego bohatera i wzór do naśladowania.

I ta legitymacja została przez Bujaka upokorzona podwójnie.

Po pierwsze dlatego, że została wykorzystana przez generałową Kiszczakową, co samo w sobie stało się symbolem zbratania części elit postsolidarnościowych z elitami postkomunistycznymi. Po drugie, sprzedano ją za zaledwie 60 tysięcy ówczesnych złotych, czyli za psie pieniądze, przeliczając na dzisiejsze – około 6 złotych.

Tyle wówczas warte było pół kilo szynki i butelka wódki.



Zdjęcie z roku 1990. Piotr Semka tłumaczy młodym, skąd się brały dawne wybory i jakie przynosiły (czasami) rozczarowania

Fot. Archiwum (x3)

No właśnie. I to było dla nas oburzające. Naiwnie myśleliśmy, że dla całego środowiska dawnej opozycji również. Okazało się jednak, że bardzo niewiele osób chciało się w tej sprawie wypowiadać. Jedynymi, którzy pryncypialnie podeszli do sprawy, wskazując na niestosowność tego działania, byli Andrzej Gelberg, Ryszard Bugaj i śp. Lech Kaczyński. Większość uchylała się od odpowiedzi. Niektórzy ludzie Solidarności mówili jakieś bzdury o wolnym rynku. Na przykład Ewa Milewicz przyznała, że nie ma żadnego problemu, bo legitymacja była przecież własnością Bujaka. [...]

Lech Kaczyński powiedział wówczas znamienne słowa, że – sparafrazuję – legitymacja jest bezcenna i pewnych rzeczy po prostu nie wolno robić.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że to człowiek, który „ma papiery" na bycie prawdziwym liderem, przywódcą i moralnym spadkobiercą pierwszej Solidarności.

Rozmawialiście też z samym Bujakiem. Mówił, że miał dobre intencje – chciał, by pieniądze ze sprzedaży legitymacji przeznaczyć na domy dziecka.

Odwołując się do słów Lecha Kaczyńskiego, pewnych rzeczy nie wolno robić, nawet w najlepszych intencjach.

O zdanie postanowiliście zapytać też Adama Michnika.

Mieliśmy wtedy kamerę w sejmie. Któryś z nas dowiedział się, że w radiowej Trójce Michnik z Urbanem będą wspominać z okazji dziesiątej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego. Ustawiliśmy, w ciemną noc, kamerę przed radiem. Wyszedł Michnik. „Adam, robimy ankietę" – zaczęliśmy. Zignorował nas. Odmówił odpowiedzi, argumentując, że boi się manipulacji. Myślę, że nie chciał być widziany z Urbanem. Przeszedł sto metrów i na kogoś czekał. Po chwili pojawił się Urban. Najprawdopodobniej poczuł się upokorzony zachowaniem Michnika. Postanowił się zemścić. Powiedział, że on nigdy by nie sprzedał legitymacji partyjnej, bo bardzo ją sobie ceni.

W pewnym momencie w kadrze pojawił się samochód i Monika Olejnik.

Gdy Urban kończył wypowiedź, z budynku wyszła Monika Olejnik. Ominęła Urbana i stanęła przy samochodzie redaktora naczelnego „Nie". Próbowała otworzyć drzwi. Nie mogę tego udowodnić, ale wydaje mi się, że Monika Olejnik chciała wsiąść do auta z tyłu od strony kierowcy. Jednak Urban zaprosił dziennikarkę z drugiej strony: „Pani Moniko, bardzo proszę, niech pani siądzie z przodu, bo musimy zabrać jeszcze jednego gościa". Tą osobą był Adam Michnik, czeka-

eprasa.pl 2c3010439d

jący sto metrów dalej. Udało nam się to sfilmować.

Gdzie pojechali wszyscy razem?

Monika Olejnik twierdzi, że poda do sądu każdego, kto będzie mówił, iż pojechali razem na imieniny Aleksandra Kwaśniewskiego, które przypadają 12 grudnia. Takie były pogłoski. W tym dniu nagrywaliśmy.

Byliście w szoku?

Zrozumieliśmy z Jackiem pewien fenomen. Ruch Solidarności liczył dziesięć milionów ludzi. My byliśmy w tej strukturze na samym dole. A jednak w 1991 roku nie było już niemal nikogo, kto zdecydował się bronić otwarcie godności legitymacji Solidarności. Oprócz nas w środowisku dziennikarskim zaprotestowała tylko jedna osoba – zapomniany dziś publicysta związany ze środowiskiem KOR-owskim, Jan Walc. To był przypadek człowieka, który brak dekomunizacji i alians oprawców i morderców z bohaterami podziemia przypłacił poważną depresją i pogarszającym się w zawrotnym tempie stanem zdrowia. Umarł w 1993 roku. Byli wówczas ludzie, którzy patrząc na to, co dzieje się w Polsce, naprawdę się dusili. Jan Walc był jednym z nich. Na „nikczemnienie świata" nie godził się też Piotr Skórzyński, który ostatecznie popełnił samobójstwo. Gdy myślę o tych ludziach, przypomina mi się scena z „Człowieka z żelaza", kiedy Mateusz Birkut ogląda wystąpienie Gierka i widząc zachwyt sali, w desperacji bierze krzesło i z całej siły wali w telewizor.

Po emisji waszego programu coś się zmieniło? Ludzie otworzyli oczy?

Przez długi czas nikt nie chciał wierzyć, że Michnik prowadzi politykę rekoncyliacji z komunistami. „Jak wy śmiecie?! Przecież Adaś siedział w więzieniu. Adaś walczył o tę wolność" – słyszeliśmy zewsząd. Michnik otwarcie rehabilitował Jaruzelskiego, a wszyscy przymykali na to oczy. Dopiero po tym filmie obudziła się świadomość, że Adasiowi bliżej jest już do postkomunistów niż do ekipy solidarnościowej.



Kadr z programu „Reflex" z 1991 roku

Może niektórym otworzyły się oczy. Ale odpowiedź środowiska dziennikarskiego na ten odcinek „Reflexu" była bardzo stanowcza. Wasze dziennikarstwo porównywano do metod esbeckich.

Jerzy Markuszewski opublikował w „Gazecie Wyborczej" felieton pod tytułem „Technika Reflexu", w którym właśnie sugerował, że nasze dziennikarstwo nie bardzo różni się od tego, co robiła SB w czasie PRL. We „Wprost" opublikowany został z kolei rysunek Henryka Sawki sugerujący, że ta sama ekipa, która w stanie wojennym fotografowała opozycjonistów jako SB, teraz zrobiła „Reflex". Gromy na nas posypały się także ze strony Witolda Beresia piszącego na łamach „Tygodnika Powszechnego". Jednak najbardziej utkwiła mi w pamięci Barbara Hrybacz, dziś producentka programów Tomasza Lisa, wówczas dziennikarka. W sejmie podeszła do mnie i niewinnym tonem zapytała: „Słuchaj, Piotrek, powiedz mi taką rzecz. Bo ja tego nie mogę zrozumieć. Dlaczego ty robisz takie świńskie rzeczy?".



Kadr z programu „Reflex" z 1991 roku

Broniliście się?

A gdzie? Nie mieliśmy gdzie i jak zareagować. Nie było Twittera. Nie było Facebooka. Jeśli zaatakowała cię „Wyborcza" albo „Tygodnik Powszechny", to szło na całą Polskę i nie można było się bronić. Prawica nie miała mediów, więc nie mogła prowadzić polityki medialnej. „GW" była wówczas inkwizytorem.

A jak przyjęty został wasz program w samej telewizji?

Pamiętam, jak po emisji spotkaliśmy Tomasza Lisa na korytarzu. Przystanął, uśmiechnął się. „Bardzo podobał mi się wczorajszy »Reflex«". Pauza. „Szkoda, że oglądało go jedynie 0,12 procent widzów" – dodał złośliwie. Takich przytyków było całe mnóstwo ze strony innych dziennikarzy TVP. Naszym bezpośrednim zwierzchnikiem był wówczas Jarosław Gugała, który cały czas bombardował nasz program. Że jest stronniczy, że pokazuje tylko jedną stronę etc. [...]

Były naciski?

Oczywiście. Milan Subotić wchodził do montażowni i wyrzucał do kosza materiały, które uważał za nieodpowiednie. Byłem świadkiem, gdy wprost oznajmił jednemu z dziennikarzy: „Ten materiał nie pójdzie". Żadnych argumentów. A dziennikarz blady ze strachu, cały się trząsł. Widocznie dysponował taką wiedzą i hakami na ludzi, że potrafił takie rzeczy wymusić. [...]

„Reflex" został zawieszony.

Formalnie przestaliśmy mieć dostęp do kamery. Gdy tylko zorientowaliśmy się, co zaszło 4 czerwca, zaczęliśmy kopiować wszystkie materiały. Z tego powstał film „Nocna zmiana". [...] Po obaleniu Olszewskiego cały postkomunistyczny układ momentalnie podniósł głowę. Zostałem zwyczajnie wywalony. Wtedy zabraliśmy się za pisanie książki „Lewy czerwcowy". „Jeśli teraz tego nie opiszemy, to ta historia się rozpłynie" – zdaliśmy sobie sprawę, że wszystko na temat 4 czerwca zostanie zakłamane, a następnie pogrzebane.

eprasa.pl 2c3010439d



Ryzykowny projekt

Polityczni zwolennicy rządu chwalą Morawieckiego za odwagę „podgrzewania" słabnącej koniunktury gospodarczej, a przeciwnicy oskarżają o igranie z groźbą kryzysu fiskalnego za rok czy dwa. Kto ma rację – tego dziś naprawdę nikt nie wie



JAN ROKITA

Ogłoszony 23 lutego przez Jarosława Kaczyńskiego program błyskawicznych reform socjalno-podatkowych gruntownie przeobraził polską przedwyborczą politykę. Plan został oznajmiony opinii publicznej w sposób charakterystyczny dla współczesnych partyjnych operacji piarowsko-propagandowych.

Po pierwsze – trzymano go do końca w ścisłej tajemnicy, tak by na zdumioną publiczność nagłe obietnice spadły niczym gwiazdki z nieba. Cena, jaką obóz władzy musiał jednak za ten piarowski efekt zapłacić, to całkowity brak wcześniejszej debaty publicznej i konsultacji związkowych, co rychło okazało się mieć spore i niezbyt dobre polityczne konsekwencje. W tajemnicy zadbano także o to, aby odpowiednio wcześnie tak zmanipulować ustawę budżetową na rok 2019, aby gigantyczną kwotę przeszło 40 mln zł (czyli ok. 10 proc. całości budżetu) „ukryć" w taki sposób, by jej uruchomienie nie wymagało teraz nowelizacji budżetu. Ta operacja każe na serio postawić pytanie, czy ustrojowa reguła parlamentarnej kontroli nad budżetem państwa nie stała się już de facto anachronicznym mirażem?

Po drugie – typowo rządowy plan głębokich zmian fiskalnych oznajmiony został nie przez premiera czy też minister finansów, ale przez szefa partii rządzącej podczas partyjnego mityngu w warszawskiej hali Expo. W ten sposób nawet najbardziej nieobeznany z polityką obywatel ma móc pojąć przed wyborami, komu zawdzięcza nową gotówkę w portfelu oraz obniżki podatków. W wyborach nie startuje przecież ani rząd, ani minister finansów, ale kandydaci partyjni namaszczeni przez Kaczyńskiego. A przy okazji podkreślona została w ten sposób skądinąd oczywista,

eprasa.pl 2c3010439d



Fot. Andrzej Wiktor

ale wymagająca od czasu do czasu przypomnienia, realna hierarchia władzy w obozie rządzącym.

W końcu po trzecie – partyjni propagandyści zadbali o szybkie upowszechnienie co prawda głupawej (jak zwykle w masowej propagandzie), ale za to mocno popkulturowej ksywki nowego programu, nazwanego „piątką Kaczyńskiego". PiS nie od dziś dba nie tylko o to, aby jego programy społeczne wpisywały się w ludowe oczekiwania socjalne, lecz także, by ich popkulturowe nazewnictwo ułatwiało wbijanie łopatą do głów pamięci o dobrodziejstwach, jakie partia uczyniła dla zwykłych ludzi. Reszty ma tu dokonać telewizja pod prezesurą Jacka Kurskiego.

KEYNESISTA MORAWIECKI

Pakiet socjalno-podatkowy PiS wodowany jest co prawda u progu europejskiej kampanii wyborczej, nie ma jednak żadnego logicznego związku z przyszłym mandatem posłów do Parlamentu Europejskiego. Jeszcze raz zatem potwierdza się znana teza, iż wybory europejskie służą zwłaszcza partiom rządzącym jako swoisty pretekst dla polityki krajowej. W przypadku PiS koncept zdominowania wyborów europejskich przez kwestie czysto wewnętrzne, najlepiej właśnie przez spór o programy socjalne, ma jeszcze dodatkową zaletę. Partia Kaczyńskiego nie ma wśród większości polskiej opinii publicznej dobrej europejskiej reputacji i mimo zaklinania się jej liderów, jest dość szeroko podejrzewana co najmniej o gotowość grania polskim członkostwem w Unii. W społeczeństwie, w którym w sondażach opinii przeszło 80 proc. wypowiada się przeciw jakiemukolwiek ryzykowaniu polexitu, przesunięcie ciężaru kampanii w stronę spraw krajowych leży w oczywistym interesie wyborczym PiS.

Choć z drugiej strony zabieg taki sprawia zarazem, iż – na przekór ideologii głoszonej oficjalnie przez PiS – następować musi dalsza „elitaryzacja" polityki europejskiej, na którą wyborcy nie tylko nie mają już realnego wpływu, lecz która na dodatek „ucieka" z agendy debaty publicznej nawet w tak nielicznych chwilach, w których mogłaby się przebić, choć na krótko, do zbiorowej świadomości.

Gdy idzie zaś o meritum planu PiS, trudno uciec od przekonania, że jest on ekonomicznie ryzykowny. Opiera się bowiem na keynesowskim założeniu, iż gdy koniunktura gospodarcza słabnie, należy ją odważnie pobudzać zwiększaniem rynkowego popytu. Kiedy trzy lata temu PiS uruchomiło program 500+, poskutkowało to wzrostem zakupów, co prawda krótkotrwałym, ale za to wyraźnym, nawet na rynku artykułów spożywczych. Keynesista Morawiecki wierzy najwyraźniej w to, że podobny dobroczynny skutek nastąpi także obecnie, ratując wysoki poziom wzrostu gospodarczego także w roku 2019. Chodzi o to, że rządy mniej skłonne do ryzyka finansowego, np. Niemiec albo Czech, postępują w podobnych warunkach odwrotnie, doprowadzając u szczytu koniunktury do uzyskania przez kraj nadwyżki budżetowej, która potem działa jak swoista otulina chroniąca gospodarkę na wypadek silniejszej dekoniunktury. W ekonomicznym żargonie zwykło się mówić o ryzyku „zbytniej ekspansywności budżetowej na szczycie cyklu". Z tego rodzaju ryzykiem (jak zwykle zresztą w ekonomii) jest tak, że w istocie nie jest pewne, jakie przyniesie ono skutki. Dlatego polityczni zwolennicy rządu chwalą go za odwagę „podgrzewania" słabnącej koniunktury, a przeciwnicy oskarżają o igranie z groźbą poważnego kryzysu fiskalnego za rok czy dwa. Kto ma rację – tego dziś naprawdę nikt nie wie. Z perspektywy gospodarczej jedno jest tylko pewne: ryzyko jest obecnie większe, niźli było trzy lata temu, kiedy rząd Beaty Szydło wprowadzał w życie pierwszy wielki pakiet socjalny PiS.

PROGRAMU BLASKI I CIENIE

Najważniejsza nowa obietnica socjalna – czyli rozszerzenie programu 500+ na wszystkie dzieci – sprawia, że ów program traci niemal zupełnie walor pronatalny. Największą zaletą owego programu w jego dotychczasowej wersji było to, iż miał on premiować rodziny, które mają więcej niż jedno dziecko.

eprasa.pl 2c3010439d

Tak samo zresztą działają podobne programy w innych krajach. Przykładowo we Francji „nagradzane" finansowo przez państwo jest drugie dziecko, a przy trzecim następuje skokowy wzrost zasiłku o przeszło 100 proc. W Niemczech zaś analogiczne różnice wysokości zasiłku są mniejsze, lecz tzw. Kindergelt (dobrze znany wielu rodakom) nieco rośnie przy trzecim i bardziej przy czwartym dziecku. Tego rodzaju polityka ma zdroworozsądkowe uzasadnienie. Idzie przecież o to, aby rodziny posiadały co najmniej dwójkę, a najlepiej trójkę dzieci. Finansowe nagradzanie rodzin z jednym dzieckiem jest z perspektywy demograficznej nonsensem, gdyż to właśnie takie rodziny są w dużej mierze odpowiedzialne za prawdziwą narodową katastrofę demograficzną.

Za to uznanie niemal powszechne budzi ta część programu, która dotyczy obniżki podatków dochodowych. Niedawno opublikowane dane UE i OECD pokazują, że Polska idzie ostatnio tropem rosnącego fiskalizmu, tzn., że sumy ściągane przez rząd z podatków rosną szybciej niźli polski dochód narodowy. Z jednej strony takie zjawisko jest typowe dla okresów dobrej koniunktury, z drugiej zaś w polskich warunkach jest ono odwrotną, ciemną stroną sukcesu państwa w rygorystycznej walce z oszustami VAT-owskimi. Tak czy owak odpowiedź PiS na taki stan rzeczy jest ze wszech miar roztropna. Obniżka stawek PIT, duża podwyżka tzw. kosztów uzyskania przychodu oraz zniesienie PIT dla młodych (którzy wbrew obiegowej opinii średnio mniej zyskali na dobrej koniunkturze od starych) – to posunięcia ideowo nawiązujące do niegdysiejszej polityki Zyty Gilowskiej, wicepremier i minister finansów w rządzie Kaczyńskiego. Co ciekawe, przyznają to nawet niektórzy jawnie opozycyjni i liberalni ekonomiści (np. prof. Witold Orłowski).

Gdyby PiS ograniczyło się tym razem do dużych cięć w podatkach, cały program byłby zapewne gospodarczo na przyszłość bezpieczniejszy. Ale z kolei nie miałby wystarczającej atrakcyjności socjalnej potrzebnej partii rządzącej ze względu na rok wyborczy. Z właściwą sobie bezceremonialną prawdomównością mówił o tym dla PAP wicepremier Jarosław Gowin: „Jeśli ktoś chciałby przebić obietnice PiS, to teraz nie da się już tego zrealizować".

ZASKOCZENIE OPOZYCJI, GNIEW ZWIĄZKOWCÓW

Dezorientacja opozycji, jaka nastąpiła po ogłoszeniu planu PiS, była tyleż nieuchronna, ile zamierzona przez jego twórców. Podczas konwencji PiS Morawiecki ironizował, iż „realizujemy nawet postulaty opozycji". Trzy lata temu, nie znajdując przekonującego wytłumaczenia na to, dlaczego w ciągu ośmiu lat władzy premierzy Tusk i Kopacz nie zainicjowali niczego podobnego do 500+, liderzy PO wdali się w dość bezsensowną licytację z rządem Szydło, domagając się poszerzenia tego programu na wszystkie dzieci. Nie brzmiało to przekonująco, zwłaszcza gdy domagali się tego ministrowie odsuniętego właśnie w wyborach rządu. Ale Grzegorz Schetyna uznał, iż tego rodzaju licytacja z PiS jest najbardziej efektywnym sposobem istnienia w opozycji. Stąd właśnie wziął się obecny kłopot opozycji. I tak premier Ewa Kopacz z oburzeniem wytyka PiS, że: „Bezczelnie ukradło elementy naszego programu" (idzie o tzw. trzynastą emeryturę), zaś szef klubu PO Sławomir Neumann ów „ukradziony" Platformie program nazywa „tanim populizmem, a nawet korupcją polityczną". Opozycji z jednej strony zabrakło więc uzgodnionej propagandowej taktyki reakcji na plan PiS. Z drugiej zaś owo retoryczne zamieszanie jest świadectwem autentycznej konfuzji, jaka po niespodziankach obwieszczonych nagle w hali Expo stała się po stronie opozycji nieuchronna. Ale zamieszanie to unaoczniło również wyraźnie, że liderzy opozycji nie przewidzieli tego, co się święci podczas pisowskiej partyjnej konwencji. Opozycja ma więc obecnie spory kłopot, gdyż zmuszono ją w trakcie kampanii wyborczej do walki na tym polu, na którym z natury rzeczy najmniej chciałaby walczyć.

Dezorientacja opozycji, jaka nastąpiła po ogłoszeniu planu PiS, była tyleż nieuchronna, ile zamierzona przez jego twórców

Ale plan PiS niesie także poważne kłopoty dla obozu rządowego, a w konsekwencji również dla państwa. Po tym, co Kaczyński ogłosił 23 lutego, ani Morawiecki, ani żaden z jego ministrów nie może już wiarogodnie powiedzieć jakiejkolwiek związkowej branży, iż rząd nie ma żądanych przez nią funduszów na podwyżki płac. Na dodatek propaganda PiS tak skutecznie i tylokrotnie obśmiała ministra finansów w rządzie PO Jana Rostowskiego, mówiącego, iż „pieniędzy nie ma i nie będzie", że próba pójścia teraz podobną drogą byłaby dla wiarogodności rządu iście samobójcza. Tymczasem utrzymywane w tajemnicy i obwieszczone na partyjnym mityngu plany socjalne PiS wzbudziły furię działaczy związkowych przyzwyczajonych do tego, że to oni są partnerami „dialogu społecznego" na temat podwyżek płac, a podwyżki te dawane są branżowo, poczynając od branż najsilniej „uzwiązkowionych".

Paradoksalnie piątka Kaczyńskiego uderzyła więc w pozycję i autorytet związków zawodowych. Gniew i złość „Solidarności" uspokoił co nieco sam Kaczyński, przyjmując natychmiast kierownictwo związku i obiecując mu podwyżki, zwłaszcza dla słabo zarabiającej tzw. sfery budżetowej. Ale szewska pasja, jaka ogarnęła Związek Nauczycielstwa Polskiego, może już niedługo wywołać potężny kryzys społeczny, jakim byłoby planowane przez ZNP protestacyjne zablokowanie wiosennych egzaminów na wszystkich poziomach szkół. Tymczasem po tym, co się zdarzyło 23 lutego, postawienie w końcu w jakimś punkcie tamy dla dalszych wydatków budżetowych staje się niemal koniecznością racji stanu. Jeśli bowiem to się nie uda, to państwo wcześniej czy później dopadnie pełzający kryzys finansowy.

20/0119/F

eprasa.pl 2c3010439d



APLIKACJA BANKOWA IKO PO RAZ KOLEJNY NAJLEPSZA NA ŚWIECIE

Bank Polski

100 1919/2019

Aplikacja mobilna IKO PKO Banku Polskiego jest zwycięzcą rankingu Retail Banker International z lutego 2019 r., obejmującego aplikacje mobilne 100 banków z całego świata.

eprasa.pl 2c3010439d

Powinni być apolityczni



Sędziowie mają być niezawiśli w rozstrzyganiu spraw, ale nie mają prawa decydować, kto będzie w Polsce sprawował władzę i jakie będą reguły postępowania przed sądami – mówi poseł PiS **Stanisław Piotrowicz** w rozmowie z Ryszardem Makowskim

Na jakim etapie jest reforma sądownictwa?

Stanisław Piotrowicz: Została zreformowana Krajowa Rada Sądownictwa. Dotychczas sędziów do KRS wybierały środowiska sędziowskie, desygnowały one 15 przedstawicieli na ogólną liczbę 25 członków rady. Do tego dochodzi I prezes Sądu Najwyższego i prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego. Czyli w 25-osobowym składzie KRS 17 osób to byli sędziowie. Ukształtowała się taka praktyka, że to wyłącznie sędziowie decydowali o tym, kto będzie kierowany na wszystkie szczeble w tym środowisku. To zagrożenie widział przed laty prezes Trybunału Konstytucyjnego pan profesor Rzepliński. Pisał o tym, że kształt KRS zdominowany przez sędziów doprowadzi do tego, że ta instytucja stanie się związkiem zawodowym sędziów. Wtedy trafnie zdiagnozował sytuację. Pytanie, co się stało, że teraz tak drastycznie zmienił poglądy?

Obecnie tych 15 sędziów wybiera Sejm.

Reforma musiała pozostawać w zgodzie z postanowieniami konstytucji. Zgodnie z nią KRS tworzą: I prezes SN, prezes NSA, minister sprawiedliwości, przedstawiciel prezydenta, czterech posłów, dwóch senatorów i 15 sędziów. W następstwie reformy tych 15 sędziów wybiera parlament kwalifikowaną większością 3/5 głosów, a nie jak dotychczas sędziowie. Trzeba z całą mocą podkreślić, że ta zmiana również pozostaje w pełnej zgodzie z konstytucją.

To jest ważna zmiana, ale przeciętny obywatel nie widzi poprawy. Sprawy jak się ciągnęły latami, tak się ciągną.

Jeżeli ktoś uważa, że taka machina jak wymiar sprawiedliwości może być zreformowana za pomocą czarodziejskiej różdżki z poniedziałku na wtorek, to jest w głębokim błędzie. W Polsce mamy ok. 11 tys. sędziów, a zgodnie z obowiązującą konstytucją sędziowie są nieusuwalni. Dotychczasowe postępowania dyscyplinarne nie były efektywne, bo zdominowała je źle pojęta solidarność zawodowa. Natomiast kandydatów na wszystkie stanowiska sędziowskie ma prawo przedstawiać prezydentowi i wyłącznie KRS. Dlatego tak ważna była reforma tej rady. Można powiedzieć, że przed reformą decyzje o tym, kto zostanie sędzią, kto zostanie pociągnięty do odpowiedzialności dyscyplinarnej czy pozbawiony immunitetu, należały do środowiska sędziowskiego funkcjonującego poza jakąkolwiek demokratyczną kontrolą, co przecież pozostawało w jaskrawej sprzeczności z art. 4 Konstytucji RP. Reforma wprowadziła elektroniczny przydział spraw poszczególnym sędziom, toczą się dalsze prace legislacyjne zmierzające do skrócenia czasu postępowań.

Czy bez zmian na wydziałach prawniczych, gdzie cały czas dominuje antypis, możliwa jest naprawa wymiaru sprawiedliwości?

Tu widzimy złożoność tego problemu. Ważne jest to, by w wymiarze sprawiedliwości pojawiali się sędziowie chcący służyć Polsce i narodowi. Natomiast dziś, można powiedzieć, że bardzo mocno wybijają się postawy zmierzające do panowania nad narodem i nad państwem. To jest bardzo groźne zjawisko. Ale ten proces przemiany mentalnościowej w środowisku sędziowskim został rozpoczęty.

Czy sędziowie ostentacyjnie fotografujący się w koszulkach z napisem „Konstytucja" będą pociągnięci do odpowiedzialności?

eprasa.pl 2c3010439d

Zgodnie z konstytucją sędziowie powinni być apolityczni. Nikt nie wymaga od sędziego, żeby nie miał poglądów politycznych. Jednak decydując się na zostanie sędzią, przyjmuje na siebie wymóg apolityczności. Sędzia nie powinien swoich poglądów uzewnętrzniać, a tym bardziej ich manifestować. Konstytucja wyraźnie stanowi, że ustrój sądów, sposób postępowania przed sądami to sprawa zastrzeżona dla władzy ustawodawczej. Nie dla sądowniczej. Sędziowie mają być niezawiśli w rozstrzyganiu spraw, ale nie mają prawa decydować, kto będzie w Polsce sprawował władzę i jakie będą reguły postępowania przed sądami.

Mamy ewidentne dowody na to, że sędziowie łamią konstytucję, angażując się w walkę polityczną. Chcą decydować o ustroju sądownictwa. Część środowiska sędziowskiego wznosi okrzyki i nosi koszulki z napisem „Konstytucja", a tej konstytucji ostentacyjnie nie przestrzega, łamiąc ją w zasadniczych kwestiach, takich chociażby jak apolityczność czy praworządność rozumiana jako wymóg przestrzegania przez wszystkich obowiązującego prawa.

Dlaczego Unii Europejskiej przeszkadza reforma polskiego sądownictwa?

Sfera wymiaru sprawiedliwości to wewnętrzna sprawa państwa członkowskiego europejskiej wspólnoty. Te rozwiązania, które wprowadzamy, są standardem w wielu krajach. I tam o tym, kto zostanie sędzią, decydują ministrowie sprawiedliwości.

Nie chodzi więc o prawo, fakty też nie mają większego znaczenia. Dziś w Polsce władzę sprawuje ugrupowanie prawicowe, a w zdecydowanej większości krajów UE rządzi lewica. Prawicowy rząd w Polsce nie jest akceptowany. Z dwóch powodów. Po pierwsze, zmierza do suwerenności Polski i wzrostu jej znaczenia na arenie międzynarodowej. Nie wszystkim to się podoba. A po drugie, istnieje obawa, żeby ta prawicowa „zaraza" nie rozniosła się na kraje zachodnie.

Czy warto było ekspresowo zmieniać ustawę o wieku emerytalnym sędziów Sądu Najwyższego, w sytuacji gdy jest to ignorowane przez unijnych urzędników i nadal toczy się postępowanie w TSUE?

To też jest przykład na to, że decydentom unijnym nie chodzi o prawo, tylko o nękanie nas. W polskiej konstytucji jest wyraźnie napisane, że wiek, w którym sędziowie przechodzą w stan spoczynku, określa ustawa. W każdym państwie, również w trybunałach europejskich, przewidziany jest wiek, po którym odchodzi się z pracy. Wiek emerytalny obowiązuje w większości zawodów. I nikt nie mówi o dyskryminacji ze względu na wiek. Dotychczas w Polsce także obowiązywał wiek, po którego osiągnięciu sędziowie przechodzili w stan spoczynku. Problem sprowadza się do tego, że ten wiek nieco obniżono.

Czy sędziowie, którzy wrócili do orzekania, zwrócili pobrane odprawy?

Tego nie wiem. Mają taki obowiązek.

Dlaczego państwo polskie okazało się bezradne wobec prezes Gersdorf?

Powrót pani prof. Gersdorf na stanowisko złagodził spór, ale to nie jest tak bardzo istotna sprawa dla reformy sądownictwa. W szczególności jeśli zważy się, że jej kadencja potrwa jeszcze nieco ponad rok, a nowo powołana Izba Dyscyplinarna ma zapewnioną dużą autonomię, również budżetową, w ramach SN.

Sąd Najwyższy zatwierdzał ważność wyborów, więc jego rola jest decydująca.

W ramach reformy została powołana w Sądzie Najwyższym nowa, nieistniejąca dotychczas izba. Została obsadzona nowymi sędziami rekrutującymi się z różnych środowisk prawniczych i naukowych. To Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Sprawy dotyczące wyborów zostały zastrzeżone do kompetencji tej Izby.

Czy należałoby znieść słynny artykuł 212 karzący za zniesławienie?

Myślę, że ostatnie przypadki wskazują, że tak należałoby uczynić. Problematyka jest jednak złożona. Mamy tutaj dwa aspekty. Z jednej strony prawo do ochrony dobrego imienia. A z drugiej strony prawo wolności słowa. Można by z tego przepisu zrezygnować, bo ochrona dobrego imienia może być skutecznie realizowana w ramach prawa cywilnego.

Redaktor Wojciech Biedroń został skazany za publikację o sędzim Łączewskim. Wygląda to jak odwet kasty.

Ten wyrok pokazuje stan wymiaru sprawiedliwości. Dowodzi, że sędziowie nie są obiektywni, nie są bezstronni. Pokazuje, jak są zaangażowani w walkę polityczną.

Czy obawia się pan w przyszłości zemsty kasty za reformowanie sądownictwa?

Nie jest tak łatwo mnie zastraszyć, a grożenie zemstą to przejaw bezsilności tych, którzy bronią swojej uprzywilejowanej pozycji i nie chcą dopuścić do oczekiwanych przez społeczeństwo reform. Tu nie ma troski o dobro społeczeństwa, nie ma troski o dobro wymiaru sprawiedliwości. Tu jest troska o partykularne interesy grupy zawodowej.

Podejście kasty jest jednoznaczne. Albo my rządzimy, albo wszystkie chwyty są dozwolone.

Jeżeli sędzia chce mieć wpływ na życie polityczne kraju, to niech zrezygnuje ze swojego zawodu i zostanie politykiem.

Czy odczuwa pan oddziaływanie laleczki wudu zrobionej przez Marię Nurowską?

Muszę zmartwić agresorów, którzy podejmują magiczne wysiłki, by dopadła mnie śmierć lub przynajmniej paraliż, albo wylew krwi. Jako człowiek wierzący jestem odporny na tego rodzaju magię. Przy tej okazji wydarzyło się też coś dobrego. Zobaczyliśmy, kim są ci, którzy chcą uchodzić za elitę, i jaki poziom myślenia reprezentują. Tak wygląda intelektualne zaplecze totalnej opozycji.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 2c3010439d



TOMASZ PLASKOTA



„Ocal naszego Tatusia”

Bierut mógł ocalić życie więźnia jednym podpisem! Rzadko jednak korzystał z prawa łaski. Poniżej poruszające listy dzieci Żołnierzy Wyklętych

„Wczoraj na rozprawie pan sędzia powiedział, że Tatuś mój jest skazany na śmierć. Panie Prezydencie, ocal naszego Tatusia, a jak możesz, to wróć go nam do domu” – błagała w liście Bolesława Bieruta siedmioletnia Marta, córka kapitana Władysława Koby.

Władysława Kobę rozstrzelano 31 stycznia 1949 r. w więzieniu w Rzeszowie. Marta nie mogła się nawet pomodlić nad grobem ojca, zmarła w 1990 r. Miejsce jego ostatniego spoczynku było przez kilkadziesiąt lat nieznane. Szczątki żołnierza Wojska Polskiego, Narodowej Organizacji Wojskowej i ostatniego komendanta Okręgu WiN w Rzeszowie odnalazł i zidentyfikował dopiero zespół prof. Krzysztofa Szwagrzyka. We wrześniu 2016 r. kapitana Kobę pochowano w rodzinnym grobie na cmentarzu w Przemyślu. Pamięć o nim kultywuje syn, o którym Marta tak pisała do Bieruta: „My z moim maleńkim braciszkiem Wojtusiem tak opuszczeni często płaczemy, a ja mam dopiero siedem lat, a Wojtuś jeszcze mówić nie umie”.

„Gdybyśmy stracili Ojca, zostalibyśmy zupełnie sami na świecie. Mamusia umarła nam, gdy ja miałem cztery lata, a mój brat sześć tygodni. Gdy Tatuś został aresztowany, właściwie ja sam opiekuję się bratem” – pisał 13-letni Jerzy Chmiel z Krakowa w październiku 1951 r. do sprawującego obowiązki prezydenta. Prosił o ocalenie życia swojemu ojcu Karolowi. Jednak i tym razem dziecięca prośba okazała się daremna. Współautora memoriału do Rady Bezpieczeństwa ONZ na temat sytuacji w Polsce, po ciężkim, trzyletnim śledztwie, stracono 1 marca 1951 r. Tego dnia zginęli również inni członkowie zarządu WiN, m.in. Łukasz Ciepliński, Adam Lazarowicz, Józef Rzepka, Franciszek Błażej i Józef Batory. To właśnie na pamiątkę ich stracenia ustanowiono Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

O ocalenie życie członka zarządu WiN majora Mieczysława Kawalca prosili w październiku 1950 r. jego synowie. „Najjaśniejszy Panie Marszałku! Proszę Cię z całego serduszka razem z moim maleńkim braciszkiem Andrzejem – daruj życie mojemu najdroższemu Tatusiowi. Nie mamy nikogo, ktoby nami opiekował się oprócz Mamusi, a jeżeli Tatusia nie stanie, to i Mamusia nie będzie miała siły do pracy” – pisali Aleksander i Andrzej Kawalcowie. Na nic zdała się ich prośba... Wyrok wykonano 1 marca 1951 r.

„[...] błagam Cię, zwróć nam Ojca” – zwracała się do Bieruta ośmioletnia Hania Pleśniak. „Mam osiem lat, chodzę do trzeciej klasy szkoły powszechnej. Mam jeszcze dwie młodsze siostrzyczki i najmłodszego braciszka liczącego trzy latka. Mamusia pracuje jako nauczycielka w naszej szkole”. Wzruszający list dziecka trafił w próżnię. Nie pomogła tragiczna sytuacja matki, która miała zostać sama z czwórką dzieci. Żołnierza AK i WiN Tadeusza Pleśniaka zamordowano cztery miesiące później, 17 stycznia 1949 r. w Rzeszowie.

Listy zaprezentowane z okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych przez Archiwum Akt Nowych są przejmującym świadectwem na temat pierwszych lat komunizmu w Polsce. Znając późniejsze losy tych, których dotyczyły, trudno je czytać bez wzruszenia i zadumy.

eprasa.pl 2c3010439d

Wpłynęło Urzędu Cywilnego L. dz. 40411
Data 29 IX 1948

103

Ż/13056/48.

Najdostojniejszy
Panie Prezydencie!

Ja mała Hanecka cieszę się Twoją szczęśliwą sprawami Państwa głową moim ogromnym zmartwieniem. Ale wiem, że kochasz dzieci, więc ufam, że się nie pogniewasz na mnie, że mnie wysłuchasz i pomożesz.

Mam 8 lat, chodzę do trzeciej klasy szkoły powszechnej. Mam jeszcze dwie młodsze siostrzyczki i najmłodszego braciszka, liczącego 3 latka. Mamusia pracuje jako nauczycielka w naszej szkole.

Dnia 8 września, b. r. Sąd Wojskowy w Rzeszowie skazał

104

mojego Tatusia, Pleśniaka Tadeusza za sprawy polityczne na śmierć.

Nie rozumiem, co to są sprawy polityczne, ale rozumiem, że Tatuś nasz ma zginąć, a my mamy zostać sierotami. My i nasza Mamusia nie mamy nikogo, kto by nam pomógł uratować Tatusia od śmierci, a nas od sieroctwa.

Jest jednak Polska, Ta nasza ukochana Ojczyzna, którą Ty Najdostojniejszy Panie przedstawiasz, Ona kocha nas najmłodszych obywateli i napewno nie zechce nas skrzywdzić.

Dlatego do Ciebie Najdostojniejszy Panie Prezydencie zwracam się z ufnością i gorącą prośbą, od siebie, moich siostrzyczek, braciszka i zrozpaczonej Mamusi, nie pozwól zrobić nam tej okropnej krzywdy! Nie pozwól odebrać nam Tatusia. Wierzę, że Ty wszystko możesz, że Ciebie

105

wszyscy słuchają, że jedno Twoje słowo możemy wrócić Ojca. Sprawa poszła do Warszawy, ma być rewizja procesu. Więc błagam Cię, pomóż, ocal, wróć nam Ojca!

A my, gdy urośniemy, odbiorem Polsce, pracować będziemy dla Niej ze wszystkich sił!

Za Ciebie zaś Najdostojniejszy Panie Prezydencie modlić się będziemy, by Ci Bóg użyczył najdłuższego życia i najwyższej mądrości w rządzeniu Naszą Ojczyzną!

Polecam więc Twej łasce życie mojego Tatusia i całuję Twe ręce Najdostojniejszy Panie

Hanecka Pleśniak
uczn. kl. III.

Rostwin Długi, dn. 17.IX.1948 r.
gm. Pruchnik, pow. Jarosław.

561

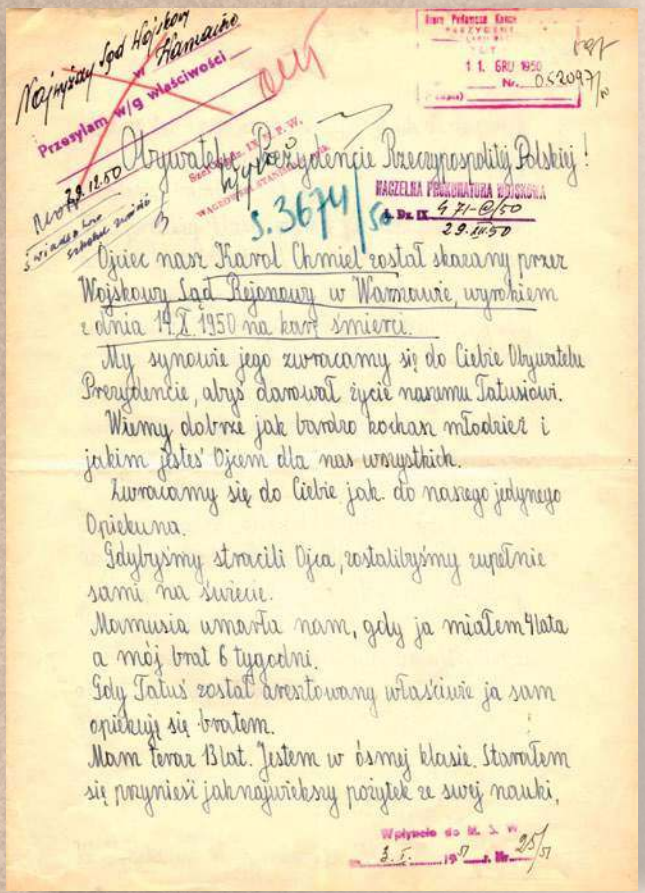
Najjaśniejszy Panie Marszałku!

Proszę Cię z całego serduszka razem z moim maleńkim braciszkiem Andrzejem- daruj życie mojemu najdroższemu Tatusiowi. Nie mamy nikogo ktoby nami opiekował się oprócz Mamusi, a jeżeli Tatusia nie stanie to i Mamusia nie będzie miała siły do pracy. Kochamy całym sercem naszego Tatusia — wysłuchaj naszej prośby Dobry Panie Marszałku! tak bardzo bardzo Cię prosimy. Będziemy codzień prosić Boga gorąco o wszystko dobro dla Ciebie!

Aleksander i Andrzej
Kawalec.

Warszawa dnia 18-X 1950 r.

eprasa.pl 2c3010439d



Najwyższy Sąd Wojskowy w Warszawie
Przesyłam w/g właściwości
28.12.50
Szefowi Sądu P.-W.
Wydziału Sądowego
Wojskowej Prokuratury Wojskowej
1 1. GRU 1950
Nr. 052097/50
S. 3674/50
Wojskowa Prokuratura Wojskowa
Dz. IX. 471-G/50
29.11.50

Obywatelu Prezydencie Rzeczypospolitej Polskiej!

Ojciec nasz Karol Chmiel został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie, wyrokiem z dnia 14.X.1950 na karę śmierci.

My synowie jego zwracamy się do Ciebie Obywatelu Prezydencie, abyś darował życie naszemu Tatusiowi.

Wiemy dobrze jak bardzo kochasz młodzież i jakim jesteś Ojcem dla nas wszystkich.

Zwracamy się do Ciebie jak do naszego jedynego Opiekuna.

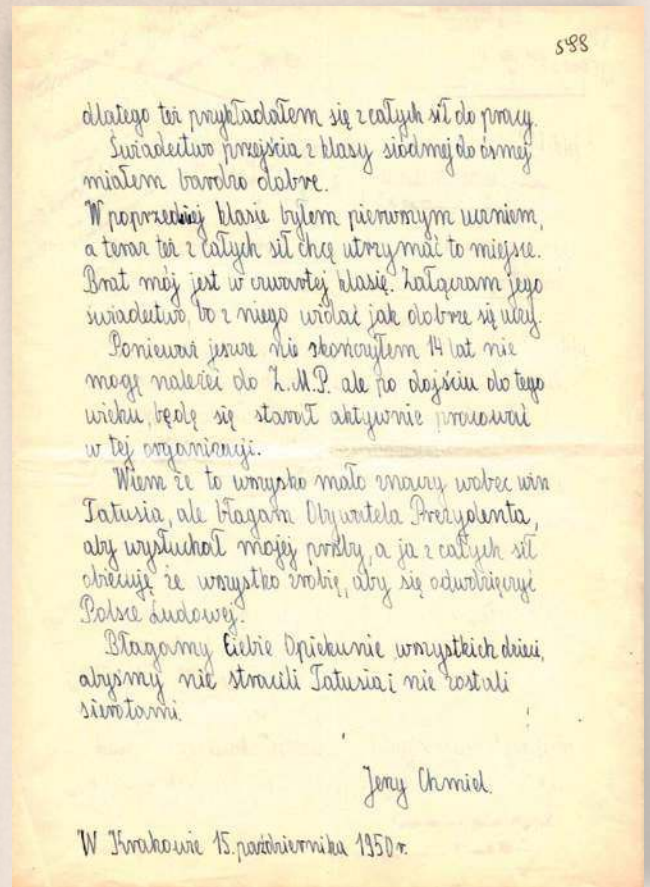
Gdybyśmy stracili Ojca, zostalibyśmy zupełnie sami na świecie.

Mamusia umarła nam, gdy ja miałem 4 lata a mój brat 6 tygodni.

Gdy Tatuś został aresztowany właściwie ja sam opiekuję się bratem.

Mam teraz 13 lat. Jestem w ósmej klasie. Staram się przynieść jaknajwiększy pożytek ze swojej nauki,

Wpłynęło do M. S. W.
3.5. 19 57 Nr. 25/57



588

dlatego też przykładam się z całych sił do pracy.

Świadectwo przejścia z klasy siódmej do ósmej miałem bardzo dobre.

W poprzedniej klasie byłem pierwszym uczniem, a teraz też z całych sił chcę utrzymać to miejsce. Brat mój jest w czwartej klasie. Załączam jego świadectwo bo z niego widać jak dobrze się uczy.

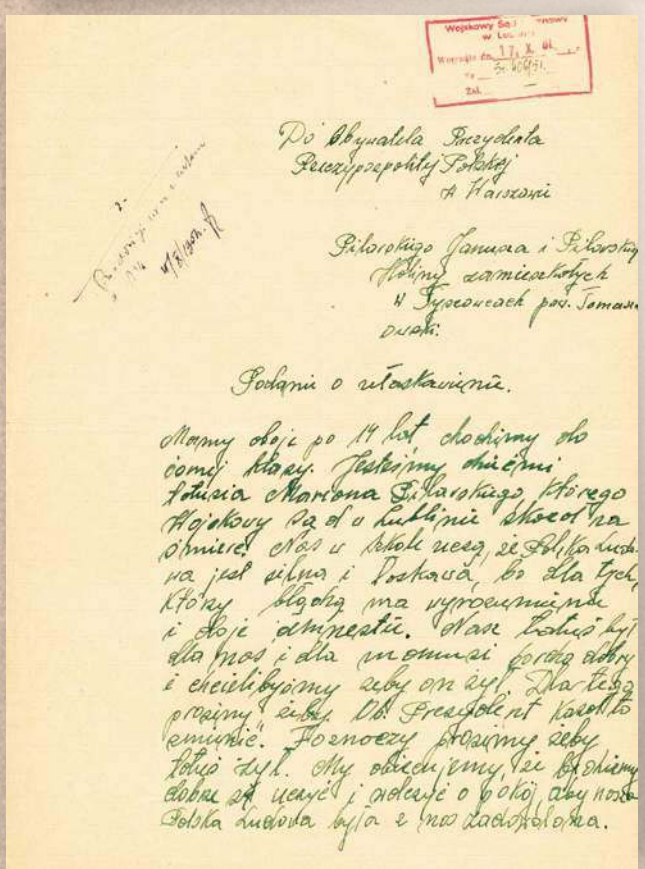
Ponieważ jeszcze nie skończyłem 14 lat nie mogę należeć do Z.M.P. ale po dojściu do tego wieku będę się starał aktywnie pracować w tej organizacji.

Wiem że to wszystko mało znaczy wobec win Tatusia, ale błagam Obywatela Prezydenta, aby wysłuchał mojej prośby, a ja z całych sił obiecuję że wszystko zrobię, aby się odwdzięczyć Polsce Ludowej.

Błagamy Ciebie Opiekunie wszystkich dzieci, abyśmy nie stracili Tatusia i nie zostali sierotami.

Jerzy Chmiel.

W Krakowie 15. października 1950 r.



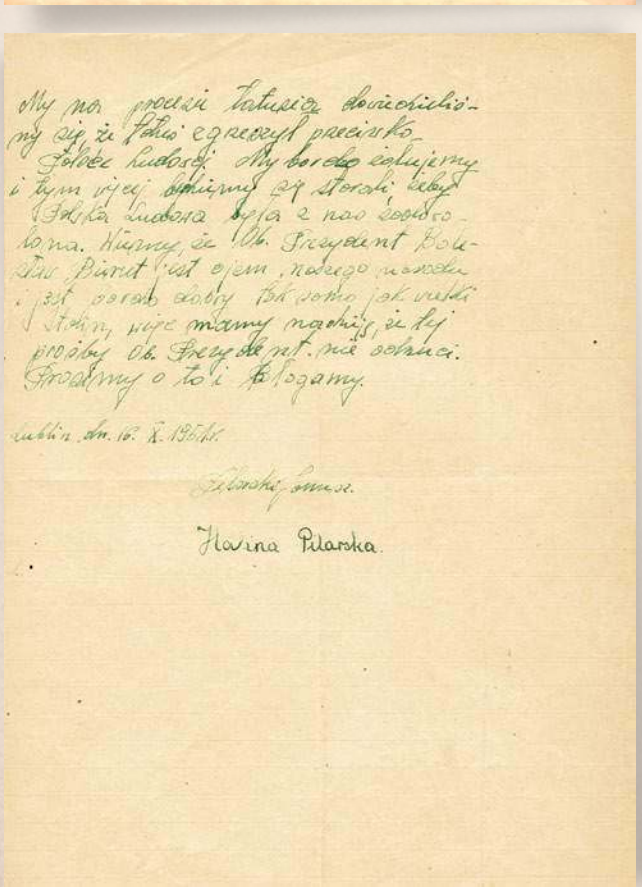
Wojskowy Sąd ... w Lublinie
Wpłynęło dn. 17 X 50
Nr. 6691/50
Zał. —

Do Obywatela Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
w Warszawie

Pilarskiego Janusza i Pilarskiej Haliny zamieszkałych w Tyszowcach pow. Tomaszów

Podanie o ułaskawienie.

Mamy obaj po 14 lat chodzimy do ósmej klasy. Jesteśmy dziećmi Tatusia Marjana Pilarskiego którego Wojskowy Sąd w Lublinie skazał na śmierć. Nasz w szkole uczą, że Polska Ludowa jest silna i potężna, bo dla tych którzy złamią na wyrzeczenie i dużo inteligencji. Nasz Tatuś był dla nas i dla mamusi dobry i chcielibyśmy żeby on żył. Dla tego prosimy żeby Ob. Prezydent Rzeczypospolitej. Poznoczy prosimy żeby Tatuś żył. My obiecujemy że będziemy dobrze się uczyć i modlić o to, aby nasza Polska Ludowa była z nas zadowolona.



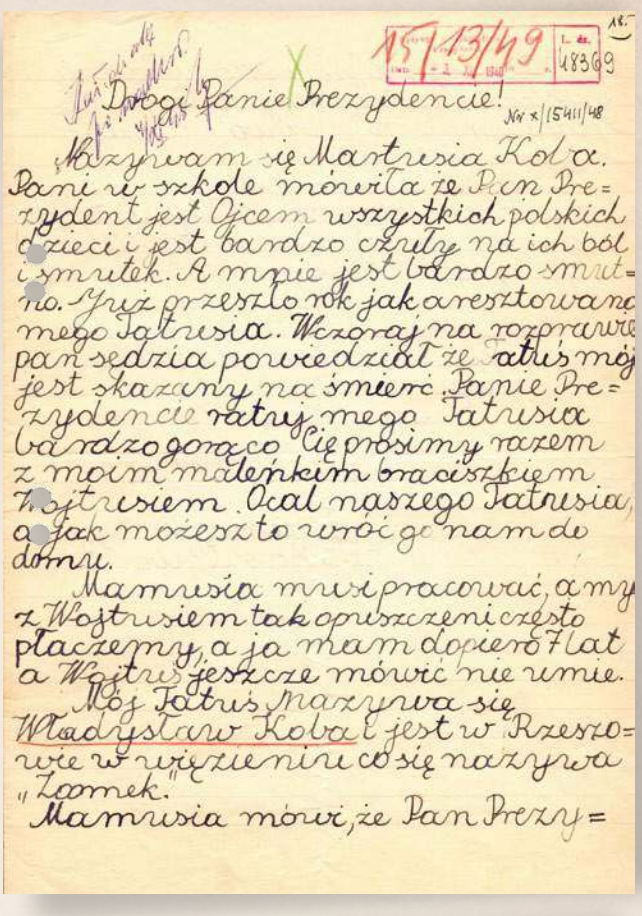
My na prośbę Tatusia dowiedzieliśmy się że Polska czerwony przeciwko Polsce Ludowej. My bardzo żałujemy i tym więcej chcemy się starać żeby Polska Ludowa była z nas zadowolona. Mamy że Ob. Prezydent Bolesław Bierut jest ojcem, naszego narodu i jest dobry tak samo jak wielki Stalin, więc mamy nadzieję, że tej prośby Ob. Prezydent nie odmówi. Prosimy o to i błagamy.

Lublin dn. 16. X. 1950 r.

Pilarski Janusz.

Pilarska Janina.

eprasa.pl 2c3010439d



15/13/49 L. dz. 48369

Nr x/15411/48

Drogi Panie Prezydencie!

Zwracam się Martusia Kol a. Pani w szkole mówiła że Pan Prezydent jest Ojcem wszystkich polskich dzieci i jest bardzo czułym na ich ból i smutek. A mnie jest bardzo smutno. Już przeszło rok jak aresztowano mego Tatusia. Wczoraj na rozprawie pan sędzia powiedział że Tatuś mój jest skazany na śmierć. Panie Prezydencie ratuj mego Tatusia bardzo gorąco Cię prosimy razem z moim maleńkim braciszkiem Wojtusiem. Ocal naszego Tatusia, a jak możesz to wróć go nam do domu.

Mamusia musi pracować, a my z Wojtusiem tak opuszczeni często płaczemy, a ja mam dopiero 7 lat a Wojtuś jeszcze mówić nie umie.

Mój Tatuś nazywa się Władysław Koba i jest w Rzeszowie w więzieniu co się nazywa "Zamek".

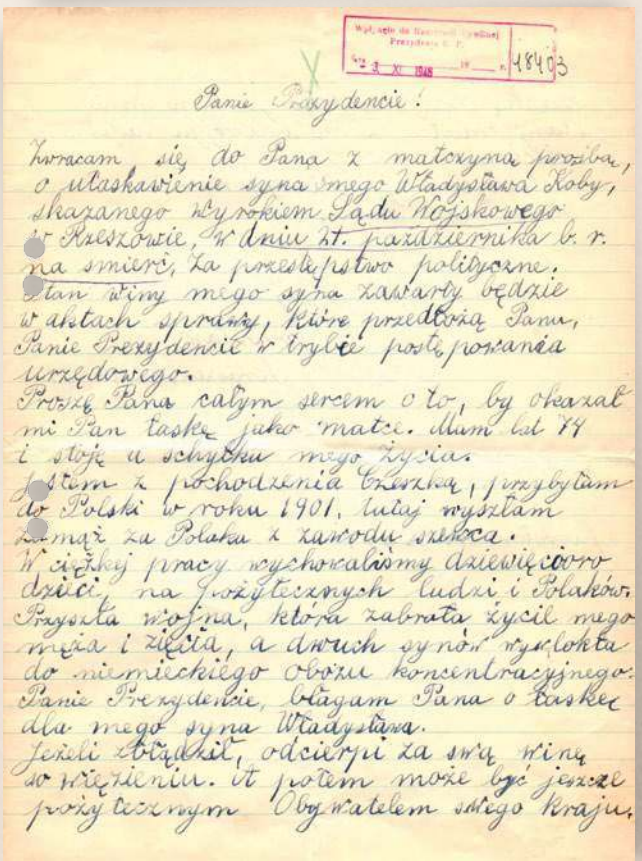
Mamusia mówi, że Pan Prezydent to jest najwyższą władzą w Polsce, dlatego błagam Cię Panie Prezydencie nie pozwól naszego Tatusia zabijać.

Ja z Wojtusiem będziemy Ci wdzięczni zawsze, a Wojtuś trochę podrośnie powiem mu kto ocalił życie jego Tatusia.

Panie Prezydencie błagam nie odmów prośbie dziecka Polskiego.

Marta Koba

Przemyśl
ul. Basztowa 13.



Wpł. akta do kancelarii cywilnej Prezydenta R. P. 12 X 1948 nr 18493

Panie Prezydencie!

Zwracam się do Pana z matczyną prośbą, o ułaskawienie syna mego Władysława Koby, skazanego Wyrokiem Sądu Wojskowego w Rzeszowie, w dniu 27. października b. r. na śmierć, za przestępstwo polityczne. Stan winy mego syna zawarty będzie w aktach sprawy, które przedłożą Panu, Panie Prezydencie w trybie postępowania urzędowego.

Proszę Pana całym sercem o to, by okazał mi Pan łaskę jako matce. Mam lat 44 i stoję u schyłku mego życia.

Jestem z pochodzenia Czeszką, przybyłam do Polski w roku 1901, tutaj wyszłam zamąż za Polaka z zawodu szewca.

W ciężkiej pracy wychowaliśmy dziewięcioro dzieci, na pożytecznych ludzi i Polaków. Przyszła wojna, która zabrała życie mego męża i zięcia, a dwóch synów wywlokła do niemieckiego obozu koncentracyjnego. Panie Prezydencie, błagam Pana o łaskę dla mego syna Władysława.

Jeżeli zbłądził, odcierpi za swą winę w więzieniu. I potem może być jeszcze pożytecznym Obywatelem swego kraju.

Łaską Swą uratuje go Pan mnie starej matce, żonie i dwojgu nieletnim dzieciom.
W starości swej i cierpieniu
błogosławię Pana.

Rozyna Koba

Jarosław
Krasnowskiego 31.

Jarosław, 24. X. 1948 r.

eprasa.pl 2c3010439d



Wielkiej „populistycznej” fali w majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego nie będzie. Jednak dotychczasowy układ – oparty na porozumieniu między chadekami a socjalistami – zostanie zapewne naruszony. W europarlamencie pojawi się po raz pierwszy prawdziwa opozycja

Demokratyzacja Unii?

Fot. Shutterstock

„Ojczyzna. Miłość. Europa” – oto główne hasło kampanii węgierskich socjalistów (MSZP) w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Towarzysze znad Dunaju dobrze uchwycili obecny europejski „Zeitgeist”. Szczypta patriotyzmu, odrobina pozytywnych emocji i to wszystko okraszone szczerym euroentuzjazmem. Jesteśmy gotowi bronić – zdają się mówić – interesów Węgier, ale bez sporów i nienawiści, co mogłoby nas kosztować należyte nam miejsce przy wspólnym, unijnym stole. Inaczej niż on – premier Węgier Viktor Orbán, który obrał kurs konfrontacyjny wobec Unii i stał się synonimem wszystkiego, co złe, w oczach liberalnych elit – nacjonalizmu, populizmu, ksenofobii oraz rzekomego autorytarnego dryfu w Europie Środkowej i Wschodniej.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Orbanistan albo Unia Europejska – taka jest stawka majowych wyborów do Parlamentu Europejskiego” – oświadczył europoseł MSZP István Ujhelyi. Szanse na sukces w tych wy-

eprasa.pl 2c3010439d

borach węgierscy socjaliści mają jednak niewielkie, nawet jeśli uda im się zmobilizować liberalny elektorat i ten żyjący za granicą. Węgrzy wciąż bowiem mają w pamięci słowa byłego socjalistycznego premiera Ferenca Gyurcsányego, który przyznawał, że jego rząd systematycznie okłamywał obywateli i zrujnował gospodarkę. Nie tęsknią za lewicą. Jedyne więc, na co mogą liczyć socjaliści, to według instytutu Nézőpont Intézet ok. 11 proc. głosów, czyli góra dwa mandaty w PE. Za to rządząca na Węgrzech koalicja konserwatywnego Fideszu i Chrześcijańsko-Demokratycznej Partii Ludowej może zdobyć nawet 54 proc. głosów i 14 mandatów. Kampania węgierskich socjalistów dobrze pokazuje, o co wydaje się toczyć gra w tych wyborach.

POLARYZACJA

Elity starej Europy, czując się coraz bardziej osaczone przez nowe, eurosceptyczne siły na kontynencie, postawiły na konfrontację. Wybory do PE przedstawiane są jako walka dobra ze złem, sił światła z siłami ciemności. Europejscy obywatele otrzymali jasny przekaz: albo Orbán, włoscy populiści i Marine Le Pen, czyli zamknięcie, nienawiść i konflikt, albo my, czyli otwarte społeczeństwa, solidarność i tolerancja. Postęp albo barbarzyństwo. Pomiędzy nimi nie ma nic, i to dosłownie, gdyż polityczny środek w Europie ulega postępującemu zanikowi. Fronty są coraz mocniej zarysowane.

Konfrontację zapoczątkował prezydent Francji Emmanuel Macron, ustawiając siebie w roli zbawcy liberalnej Europy, a Orbána w roli jej wroga, dzieląc Stary Kontynent na dwa bloki – liberalny i antyliberalny. To dla niego wygodne ustawienie, gra bowiem na strachu ludzi przed chaosem. Ponadto francuski prezydent ma nadzieję, że uda mu się powtórzyć sukces wyborów prezydenckich nad Sekwaną, gdzie podobna strategia pozwoliła mu osłabić partie centrum, co sprawiło, że został na koniec sam na sam z Marine Le Pen. Francuzi postawieni pod ścianą wybrali „mniejsze zło". Macron liczy, że uczynią to także w wyborach do europarlamentu, gdzie prezydencka partia La Republique En Marche chce rozbić dotychczasowe układy w polityce.

Już podczas kampanii prezydenckiej w maju 2017 r. Macron wskazał na „reżimy" Orbána, Putina i Kaczyńskiego jako „sojuszników Marine Le Pen". Nową oś zła zagrażającą jedności Europy. Orbán ochoczo podjął tę grę. W końcu polityka zagraniczna Budapesztu celuje przede wszystkim w wewnętrznego odbiorcę, a nic tak nie konsoliduje władzy jak osobista nemesis, z którą trzeba walczyć. Przez ostatnie miesiące Orbán i Macron nie szczędzili więc sobie „uprzejmości". Węgierski premier zarzucił francuskiemu prezydentowi, że chce zalać Europę imigrantami, a Macron określił Orbána oraz wicepremiera Włoch Matteo Salviniego jako nacjonalistów używających mowy nienawiści. W jednym z przemówień określił odśrodkowe siły w Europie nawet jako „nacjonalistyczny trąd", który należy wyplenić. Jak podkreślił dziennik „Le Monde", wojna została wypowiedziana, a jej stawką będzie „ni mniej, ni więcej, tylko przyszłość Europy". Z jednej strony ultrakonserwatywny węgierski premier, bohater piewców suwerenności i przeciwników migracji, z drugiej – liberalny francuski prezydent, zwolennik pogłębienia Unii Europejskiej i (według swoich słów) progresywista – dodał francuski dziennik.

LUDZIE SKĄDŚ

Pytanie tylko, czy podział jest aż tak prosty i czy chodzi wyłącznie o to, czy granice Unii powinny być otwarte, czy zamknięte. Jak pokazały protesty „żółtych kamizelek", nad Sekwaną problem jest głębszy. Brytyjski publicysta David Goodhart pisze w swojej książce „The Road to Somewhere" („Droga dokądś") to, o czym mówią protestujący na ulicach Paryża, że elity kosmopolityczne, czyli ludzie zewsząd (anywheres), zapomnieli przez ostatnie dekady o ludziach „skądś" (somewheres), zakorzenionych w lokalnych społecznościach i przywiązanych do narodowej tożsamości oraz tradycji. Jak zaznaczył w wywiadzie dla dziennika „Le Figaro" francuski filozof Alain Finkielkraut, dekady polityki tożsamościowej lewicy skupionej na mniejszościach zepchnęły klasę średnią na boczny tor. Kto nie należał do jednej z „prześladowanych" mniejszości lub nie żył w imigranckim getcie, był przez polityków ignorowany. Jednocześnie kryzysy Unii – finansowy, migracyjny – pozbawiły ludzi poczucia bezpieczeństwa i wiary w dobrobyt. Unia Europejska przestała być modelem sukcesu. Zaufanie do elit w konsekwencji znacznie zmalało. Przez ostatnią dekadę w Europie nie powstała żadna poważna wizja polityczna, a kryzys był zarządzany metodą „szczytową" – od jednego szczytu polityków do następnego. „Populiści" są więc skutkiem głębokiego kryzysu Europy, a nie jego przyczyną. Majowe wybory do Parlamentu Europejskiego pokażą, jak głęboki jest ten kryzys i jak bardzo elity wyobcowały się od społeczeństwa.

Polityczny mainstream będzie się zresztą musiał zmierzyć nie tylko z prawicowymi „populistami", jak Zgromadzenie Narodowe Marine Le Pen, Alternatywa dla Niemiec czy Szwedzcy Demokraci, lecz także z lewicowymi, do których należy choćby włoski Ruch Pięciu Gwiazd, partia Jeana-Luca Melenchona we Francji czy Wiosna Roberta Biedronia, pozującego od początku jako trybun ludowy. Również kampania Macrona – pod hasłem „Renesans" – jest w dużej mierze „populistyczna" i łączy hasła o wartościach z ostrym protekcjonizmem.

JAKA UNIA?

W tle pobrzmiewa pytanie, jaka ma być Europa po brexicie. Czy ma służyć tylko najsilniejszym państwom, czyli Niemcom i Francji, które marzą o stworzeniu europejskich czempionów przemysłu (KE uniemożliwiła na razie pierwszy krok w tym kierunku, czyli fuzję Alstomu oraz Siemensa) i chcą ograniczyć wolny przepływ osób, towarów i usług? Czy wręcz przeciwnie: ma się stać – jak napisało 17 państw UE (w tym Polska) w liście do przewodniczącego Rady UE Donalda Tuska – „źródłem wzrostu gospodarczego dla obywateli i firm"? A zatem kierującym się przejrzystymi zasadami wspólnym rynkiem, który zahamuje rosnące różnice między państwami najpotężniejszymi a tymi mniejszymi. I ograniczy

eprasa.pl 2c3010439d

tym samym podziały – między wschodem a zachodem, południem a północą.

Po raz pierwszy więc wybory do Parlamentu Europejskiego będą „o czymś". Mogą być szansą na prawdziwą debatę o Europie – jak podkreślił Orbán w reakcji na niedawny list Macrona do obywateli Unii, w którym prezydent Francji apelował m.in. o ratowanie Europy przed nacjonalizmem. „Może to być początek poważnej debaty europejskiej. Oczywiście mamy różne poglądy co do szczegółów, ale dużo ważniejsze od tych różnic jest to, by inicjatywa ta była dobrym początkiem poważnego i konstruktywnego dialogu na temat przyszłości Europy" – napisał węgierski premier.

> Po raz pierwszy wybory do Parlamentu Europejskiego będą „o czymś". Mogą być szansą na prawdziwą debatę o Europie – jak napisał Orbán w reakcji na list Macrona do obywateli UE

Orbán miał oczywiście dobry powód, by wykonać ten gest: Europejska Partia Ludowa (EPL) rozważa usunięcie ze swoich szeregów Fideszu, po tym jak Orbán zilustrował kolejną antyunijną kampanię billboardową na Węgrzech wizerunkiem George'a Sorosa oraz szefa KE Jeana-Claude'a Junckera, który wywodzi się z tej samej politycznej rodziny. Swoich się nie atakuje, tym bardziej jeśli są u końca swej politycznej kariery. Tak więc 20 marca na zgromadzeniu politycznym chadeków zapewne rozstrzygną się losy Fideszu.

NIEUBŁAGANA ARYTMETYKA

Europejska Partia Ludowa, a szczególnie stojący na jej czele Manfred Weber, od dłuższego czasu była oskarżana o to, że „chroni" Orbána, choć ten łamie podstawowe zasady Unii oraz partii. Domagano się, by Weber – polityk bawarskiej CSU, która utrzymuje przyjazne relacje z Orbánem – „wreszcie pokazał, po czyjej stronie stoi". W czasach głębokiej polaryzacji trudno być pośrodku. Reszta europejskich chadeków zresztą także nie kwapiła się zbytnio do wykluczenia „wewnętrznego wroga". Z wyjątkiem Junckera, na którym węgierski premier się teraz mści.

Wartości to rzecz ważna, ale arytmetyka pozostaje nieubłagana. Obie główne partie w PE – EPL i Socjaliści – spodziewają się strat w tych wyborach. W takich okolicznościach każdy mandat się liczy, szczególnie jeśli jest to kilkanaście mandatów Fideszu. Chadecy mieli nadzieję, że Orbán spuści z tonu, w końcu „zapewne nie chce wylądować – jak napisał dziennik „Die Welt" – w brudnym kącie z zresztą populistów" i stracić parasol ochronny, który pozwalał mu prowadzić o wiele bardziej ofensywną politykę niż choćby rząd PiS. Uruchomienie procedury z art. 7 wobec Węgier z inicjatywy PE popsuło jednak relacje Orbána z europejskimi chadekami. Ton się zaostrzył i wszystko zmierza dziś ku rozwodowi. Chadecy wprawdzie są w stanie poradzić sobie bez Fideszu, ale Niemcy obawiają się wypchnięcia Węgier na margines. Więzi gospodarcze między oboma krajami wciąż są bardzo silne. A Budapeszt coraz wyraźniej zerka w kierunku Chin i Rosji.

Tak więc chadecy i socjaliści stracą w tych wyborach – jak wynika z sondażu Kantar Public z początku marca – ale nie aż tak dużo, by mówić o „populistycznej fali". EPL powinna zdobyć 25,7 proc. mandatów, czyli o ok. 3,3 punkty procentowe mniej niż ma teraz. Drugiej co do wielkości frakcji centrolewicy sondaż daje 19,1 proc., czyli o 5,7 punktów mniej niż obecnie. Kierowany przez byłego belgijskiego premiera Guya Verhofstadta liberalny blok (ALDE) powinien zdobyć 10,6 proc. mandatów. A jeśli liberałowie weszliby w porozumienie z partią Macrona, to taki alians liczyłby 13,7 proc. europosłów (o 4,7 pkt więcej niż mają teraz). To znaczy, że Weber ma wciąż największe szanse, aby zastąpić Junckera. Według systemu Spitzenkandidaten najsilniejsza frakcja w PE może się ubiegać o stanowisko szefa KE. Socjaliści wystawili Fransa Timmermansa, ale jego szanse są obecnie niewielkie.

POWSTAJE OPOZYCJA

Pewne jest natomiast, że europejscy chadecy będą potrzebowali koalicji w PE, i to szerszej niż dotąd (bo dotąd wystarczali im socjaliści), co jest precedensem w historii europarlamentu. Ewentualna duża koalicja sił głównego nurtu (centroprawica, centrolewica, liberałowie, LREM Macrona) dałaby łącznie 58,5 proc. mandatów, co zapewniłoby nowej Komisji Europejskiej dość stabilne oparcie. Czy tak będzie, nikt nie wie, bo Macron zamierza mocno przemeblować podział na frakcje polityczne po wyborach. Na dodatek może powstać silny blok opozycyjny, złożony z lewicowych i prawicowych eurosceptyków. Na ile będzie on spójny, też nikt nie wie, gdyż „populistów" wiele dzieli: od stosunku do relokacji imigrantów (choćby Węgry i Włochy), po stosunek do Rosji. Podjęto już w tym środowisku wiele prób stworzenia jednej frakcji reformatorskiej, na razie jednak niewiele z nich wynika. Układ w PE – oparty dotąd na porozumieniu między chadekami a socjalistami – zostanie jednak zapewne naruszony, bo eurosceptycy będą próbowali blokować polityczne inicjatywy mainstreamu. W europarlamencie pojawi się więc po raz pierwszy prawdziwa opozycja. Według sondażu Kantar Public frakcja EKR, do której należy PiS, może liczyć na 46 mandatów, a Europa Wolności i Demokracji Bezpośredniej – na 39. W sumie siły reformatorskie mogą zdobyć od 130 do 150 mandatów w PE.

Jak powiedział europoseł PiS prof. Zdzisław Krasnodębski w rozmowie z portalem rp.pl: „Nie przypuszczam, żeby już teraz doszło do zasadniczego przewrotu. Można jednak założyć, że powstanie silna, różnorodna opozycja, że PE będzie o wiele bardziej zróżnicowany, a polityka europejska żywsza i bliższa obywatelom. I to na tym może polegać prawdziwa demokratyzacja Unii".

eprasa.pl 2c3010439d



Od kwietnia zmiany w usługach Poczty Polskiej

Klientów Poczty Polskiej czekają w kwietniu zmiany, dzięki którym wycenianie przesyłki listów będzie znacznie uproszczone. To pierwsza tak poważna zmiana od 1989 r.

2/0319/F

Dziś, wysyłając list, trudno samemu oszacować, ile zapłacimy za usługę, bo w cenniku jest aż 12 pozycji, od których zależy cena. Od początku kwietnia cena będzie uzależniona przede wszystkim od wielkości koperty. Poczta Polska wprowadza trzy podstawowe formaty listów: S (koperta A5), M (koperta A4) oraz L (koperta większa niż A4). Najlżejszy list może ważyć maksymalnie pół kilograma, najcięższy – 2 kg.

To odpowiedź na zmiany, jakie zachodzą w całej Europie. W związku z rozwojem nowoczesnych technologii i coraz powszechniejszym internetem zamiera tradycyjna korespondencja.

Szacuje się, że w Europie w latach 2007–2016 wolumeny listów krajowych spadły o ponad 25 proc. Z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia w Polsce. Wszystko wskazuje na to, że w najbliższych latach papierowych listów będzie jeszcze mniej, bo czeka nas rewolucja w dostarczaniu urzędowych listów także online. Takie rozwiązanie jest nie tylko szybsze, lecz przede wszystkim tańsze. Statystyczne gospodarstwo domowe obecnie wydaje na usługi pocztowe 70,87 zł rocznie, po zmianach będzie to 79,92 zł.

Dla Poczty Polskiej obsługa tradycyjnej korespondencji to wciąż kluczowa pozycja w rocznych przychodach, stanowi ok. 60 proc., jednak już w 2023 r. będzie to tylko 53 proc. Spółka będąca narodowym operatorem wyznaczonym jest zobowiązana do utrzymania usług na wysokim poziomie bezpieczeństwa, w każdej gminie musi utrzymywać jedną placówkę na 80 km2 na wsi i jedną na 6 tys. mieszkańców w mieście. Swoje usługi Poczta Polska świadczy co najmniej pięć dni w tygodniu. Taka sytuacja nie zmieni się w ciągu najbliższych lat. Firma musi się jednak dostosować do zmieniającej się rzeczywistości.

W ostatnich latach rośnie popularność internetowych sklepów. Rozwój e-commerce to szansa na dalszy rozwój polskiej gospodarki. To silnik napędowy rodzimych przedsiębiorstw. Firmy świadczące usługi logistyczne są jednym z najważniejszych ogniw w tym procesie. Już dziś co trzeci list z produktami z sieci wysłany za pośrednictwem Poczty Polskiej trafi do klienta e-sklepu.

Podobne zjawisko obserwujemy w całej Europie. W tej sytuacji w niektórych państwach zdecydowano się na wsparcie operatorów pocztowych. Dla przykładu La Poste (poczta francuska) może liczyć na 95 proc. ulgi w podatkach lokalnych od nieruchomości oraz od wartości dodanej. Wsparcie państwa otrzymuje Post Office Ltd – państwowa spółka wydzielona z Royal Mail, która zarządza placówkami pocztowymi. Rekompensata z tytułu poniesionych kosztów świadczenia usług wyniesie 370 mln funtów w latach 2018–2019. Także poczta grecka (Hellenic Post) otrzymała 52 mln euro na modernizację i zwiększenie oferowanych usług w regionach peryferyjnych. Poczcie włoskiej (Poste Italiane) państwo w 2017 r. udzieliło 262 mln euro rekompensaty z tytułu realizacji usługi powszechnej. Poczta belgijska otrzymuje dofinansowanie na dystrybucję prasy, w 2016 r. wyniosło ono 264,9 mln euro.

Forma pomocy udzielanej pocztom narodowym ma różny charakter. Dotyczy zarówno wprowadzania barier dla konkurencji, zawierania kontraktów z państwem oraz administracjami lokalnymi, przyjmowania rozwiązań z zakresu preferencji podatkowych, finansowania konkretnych usług publicznych realizowanych przez poczty, jak i udziału państw w programach inwestycyjnych.

Nowe formaty listów w obrocie krajowym to pierwsza tego typu zmiana wprowadzana przez Pocztę Polską od 1989 r. Ostatni raz spółka zmieniła ceny listów w 2017 r.

eprasa.pl 2c3010439d

„Nowy paradygmat” w Stolicy Apostolskiej

Za pontyfikatu Franciszka dokonuje się w Kościele rewolucja duszpasterska i doktrynalna. Co się zmienia? Na przykład to, że o sprawach doktryny i moralności, zarezerwowanych do tej pory dla papieża, decydować będą obecnie biskupi oraz ich zgromadzenia



GRZEGORZ GÓRNY

Kard. Joseph Ratzinger, jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary, mówił, że w Kościele po Soborze Watykańskim II ścierają się dwie wizje katolicyzmu. Jedną nazywał „hermeneutyką ciągłości”, drugą „hermeneutyką zerwania”. On sam wspólnie z Janem Pawłem II reprezentował pierwszą opcję.

Obecny pontyfikat przebiega wyraźnie pod znakiem drugiej koncepcji, której głównym wyrazicielem był zmarły w 2012 r. kard. Carlo Maria Martini. Ten włoski jezuita i biblista pełnił ważne funkcje, m.in. rektora dwóch papieskich uczelni: Biblicum i Gregorianum. Od 1979 do 2002 r. był metropolitą archidiecezji mediolańskiej. Przez wiele lat watykaniści wymieniali go w gronie „papabile”, czyli głównych pretendentów do tronu papieskiego. Postępująca choroba Parkinsona wykluczyła go jednak z możliwości ubiegania się o wybór podczas konklawe. Przez lata wychował on całe pokolenie uczniów, a jego główne idee stanowią dziś zasadnicze zręby pontyfikatu Franciszka.

SYNODALIZACJA

Martini uważał, że najważniejszym zadaniem katolików jest dziś nadrobienie 200 lat zapóźnienia wobec współczesnego świata. Jego zdaniem Kościół popełnił błąd, nie przyswajając sobie zdobyczy oświecenia i od tamtej pory stracił kontakt z nowoczesnością. Dlatego konieczna jest przyspieszona modernizacja. Jednym z elementów tego procesu powinna być demokratyzacja życia kościelnego w jej różnych wymiarach.

Jak jednak tego dokonać? System papieski, a więc monarszy ze swej natury, jest zaprzeczeniem takiego modelu. Sobory też nie spełniają pożądanej funkcji, ponieważ są wydarzeniami monumentalnymi, gromadzącymi rzesze hierarchów (w Vaticanum Secundum brało udział aż 3058 ojców soborowych) i mogą się odbywać raz na kilkadziesiąt lat. Tymczasem zapóźnienie Kościoła wymaga działań szybkich i radykalnych.

W tej sytuacji najskuteczniejszym narzędziem przeprowadzania zmian jawią się synody. Mogą być one zwoływane dość często i ograniczone tematycznie do konkretnych problemów, a poza tym nie muszą angażować aż tak dużej liczby biskupów z całego świata. O ile sobór powszechny można porównać – używając języka parlamentaryzmu – do zgromadzenia narodowego, o tyle synody są jakby sejmikami.

Na takich synodach można przeforsowywać w sposób demokratyczny kolejne zmiany, które później staną się częścią oficjalnego nauczania Kościoła. Rozumowanie kard. Martiniego miało jednak pewien słaby punkt: na jakiej bowiem zasadzie to, co postanowią ojcowie synodalni, miało awansować do rangi obowiązującego Magisterium? Czy da się dokonać demokratyzacji i decentralizacji Kościoła bez zgody papieża, który musiałby zrzec się części swojego autorytetu doktrynalnego na rzecz synodów, episkopatów lub biskupów?

PROGRAM Z SANKT GALLEN

Takie pytania zadawała sobie grupa purpuratów, którzy z inicjatywy kard. Martiniego od 1996 r. zaczęli się nieoficjalnie spotykać w Sankt Gallen w Szwajcarii. Oprócz metropolity Mediolanu znaleźli się tam m.in. kardynałowie Achille Silvestrini z Włoch, Walter Kasper i Karl Lehmann z Niemiec, Basil Hume i Cormac Murphy-O’Connor z Anglii oraz Godfried Danneels z Belgii, który publicznie ujawnił kulisy działania owego gremium, mówiąc o nim: „Byliśmy mafijnym klubem pod wezwaniem św. Galla”.

Grono wtajemniczonych hierarchów szybko doszło do wniosku, że tak hierarchiczną strukturę jak Kościół można zmienić tylko w jeden sposób: poprzez swojego papieża. Na początku optymalnym kandydatem wydawał się Martini, jednak zaczął poważnie chorować. Wówczas w 2002 r. – jak opowiadał kard. Danneels – postawiono na mało znanego purpurata z Buenos Aires: Jorge Mario Bergoglio, którego zaczęto intensywnie promować. Podczas konklawe w 2005 r. nie udało się przeforsować jego kandydatury, choć uzyskał drugą liczbę głosów, ale już kolejna próba w 2013 r. zakończyła się sukcesem.

Watykaniści członków grupy z Sankt Gallen nazywają „wielkimi elektorami” Franciszka. Zaraz po swym wyborze nowy papież pojawił się w logii razem z kard. Danneelsem, a podczas swej pierwszej niedzielnej modlitwy „Anioł Pański” wychwalał najnowszą książkę kard. Kaspera, którego nazwie potem największym żyjącym teologiem. W Watykanie coraz większe znaczenie zaczęli odgrywać dostojnicy, którym bliskie są idee Martiniego i Kaspera. To właśnie ten ostatni nadał ton niedawnemu Synodowi Biskupów ds. Rodziny, gdy zaapelował o dopuszczenie do komunii rozwodników utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach.

Efektem wspomnianego synodu stała się adhortacja apostolska „Amoris laetitia”, o której kard. Kasper powiedział, że jest „dokumentem tysiąclecia” w dziejach Kościoła. Na czym

Fot. GYG Studio/Shutterstock.com

eprasa.pl 2c3010439d

miałaby polegać doniosłość posynodalnej adhortacji, która w hierarchii dokumentów jest aktem niższej rangi? Otóż na tym, że realnie otworzyła ona możliwość przystępowania do Eucharystii osobom rozwiedzionym i pozostającym w związkach niesakramentalnych. Co prawda takiego zdania nie ma napisanego tam wprost, ale takie właśnie wnioski wyciągnęły m.in. episkopaty Niemiec, Argentyny, Belgii czy Malty, wprowadzając tę praktykę w swoich krajach.

Z kolei watykański sekretarz stanu kard. Piero Parolin nakazał umieścić w „Acta Apostolicae Sedis" (czyli w oficjalnym wykazie dokumentów Stolicy Apostolskiej) list biskupów z Buenos Aires oraz odpowiedź daną im przez Franciszka na temat „Amoris laetitia". Co znajdowało się w owych pismach? Otóż argentyńscy hierarchowie wyprowadzili z adhortacji wniosek, że w niektórych przypadkach można dopuszczać osoby rozwiedzione do Eucharystii bez stawianego wcześniej im przez Kościół warunku zachowania wstrzemięźliwości seksualnej. Żeby się upewnić, czy właściwie interpretują myśl swego rodaka w Watykanie, napisali do niego list. Franciszek odpisał im krótko: „Tekst jest bardzo dobry i dokładnie przekazuje rozdział VIII »Amoris laetitia«. Nie ma innych interpretacji". Kard. Parolin ogłosił, że treść zawarta w powyższej korespondencji staje się częścią „autentycznego nauczania" (magisterium autenticum) Kościoła, co oznacza, że każdy katolik ma obowiązek przyjąć je w swoim sumieniu.

DECENTRALIZACJA

Na tym właśnie polega doniosłość „dokumentu tysiąclecia", o czym mówił kard. Kasper. Otwiera on mianowicie możliwość odejścia od tradycyjnego nauczania Kościoła. Decyzja należy jednak do lokalnych biskupów lub episkopatów. W ten sposób dokonuje się decentralizacja, o której sam Franciszek pisał wprost w programowym dokumencie swego pontyfikatu, adhortacji „Evangelii gaudium": „Nie uważam także, że należy oczekiwać od papieskiego nauczania definitywnego lub wyczerpującego słowa na temat wszystkich spraw dotyczących Kościoła i świata. Nie jest rzeczą stosowną, żeby Papież zastępował lokalne Episkopaty w rozeznaniu wszystkich problemów wyłaniających się na ich terytoriach. W tym sensie dostrzegam potrzebę przyjęcia zbawiennej »decentralizacji«". Rozwijając ten wątek w „Amoris laetitia", dodał: „Pragnę podkreślić, iż nie wszystkie dyskusje doktrynalne, moralne czy duszpasterskie powinny być rozstrzygnięte interwencjami Magisterium".

Przykładem wprowadzania w życie tak rozumianej decentralizacji jest kwestia dopuszczenia do komunii nie tylko rozwodników, lecz także protestantów, których małżonkowie są katolikami. Do tej pory Kościół zabraniał tego i na tym właśnie tle doszło do różnicy zdań w niemieckim episkopacie, który zwrócił się z prośbą o werdykt do Watykanu. W efekcie zapadła decyzja, by przekazać tę sprawę do rozstrzygnięcia biskupom w poszczególnych diecezjach. Franciszek zrzekł się też części swego autorytetu doktrynalnego w konstytucji „Episcopalis communio", w której ogłosił, że odtąd dokumenty końcowe synodów podniesione zostają automatycznie do rangi nauczania zwyczajnego Kościoła.



Zmiany idą więc w kierunku, w którym o sprawach doktryny i moralności, zarezerwowanych do tej pory dla papieża, decydować będą biskupi oraz ich zgromadzenia. W tym kontekście Watykan używa takich sformułowań jak „nowy paradygmat", „dynamiczna interpretacja depozytu wiary", „prymat duszpasterstwa nad doktryną" czy „duszpasterskie nawrócenie". Jest to zgodne z dalekosiężnym programem kard. Martiniego. O jego wpływach świadczy to, że kiedy zmarł w 2012 r., włoska Loża Wielkiego Wschodu w oficjalnym nekrologu pożegnała, a właściwie „powitała brata Carlo Marię Martiniego w jego podróży na wschód".

eprasa.pl 2c3010439d



Długi łańcuch korzyści

Zagraniczne firmy, które weszły z inwestycjami do Polski, pomogły polskim przedsiębiorcom w rozwoju dzięki nowym technologiom i organizacji pracy. Teraz często wspierają je w ekspansji na globalnym rynku

Za nami pierwsza debata z wyjątkowego cyklu spotkań zatytułowanego Forum wGospodarce.pl. – Wierzę, że w ciągu najbliższych kilku miesięcy uda nam się wypracować nowe relacje i nowy sposób komunikacji, który będzie korzystny dla wszystkich: administracji, dziennikarzy, firm i oczywiście dla polskiej gospodarki. O inwestycjach zagranicznych będziemy rozmawiać co miesiąc – powiedział Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej", otwierając projekt.

Do uczestników debaty list skierowała minister rodziny Elżbieta Rafalska, która uznała, że Forum wGospodarce.pl to „warte uwagi przedsięwzięcie, służące wypracowaniu rekomendacji do tworzenia optymalnych warunków dla polskiej gospodarki. Udział wybitnych ekspertów, przedstawicieli administracji państwowej oraz świata biznesu, wraz ze wsparciem wiodących mediów ekonomicznych, z pewnością będzie gwarantem wysokiego poziomu merytorycznego Forum".

GOSPODARCZY PATRIOTYZM

Tematem pierwszej debaty w ramach Forum wGospodarce.pl był patriotyzm gospodarczy i to, jak należy go obecnie rozumieć. Na to pytanie odpowiedziała m.in. Jadwiga Emilewicz, minister przedsiębiorczości i technologii.

– Patriotyzm gospodarczy identyfikuję jako postawę konsumencką polegającą na wyborze produktów wytwarzanych przez polskich producentów. Ale w przypadku firm o kapitale zagranicznym użyłabym określenia „przyjaciel polskiego przemysłu". Taki podmiot może liczyć na ulgi podatkowe czy na inne przywileje, ale wtedy, gdy na jego obecności korzysta polska gospodarka. Kiedy firmy z kapitałem zagranicznym zamawiają usługi czy półprodukty na naszym lokalnym rynku, kiedy u nas zatrudniają i inwestują w produkcję – mówiła minister Jadwiga Emilewicz.

Przypomniała także, że mamy jako kraj wiele do zaoferowania inwestorom zagranicznym.

– Jesteśmy atrakcyjną jurysdykcją podatkową i prawną, jesteśmy miejscem, gdzie inwestycje się opłacają. W ostatnich latach mamy rekordowe liczby inwestycji typu greenfield. One opłacają się polskiej gospodarce, to są inwestycje zaawansowane technologiczne. Najbardziej interesuje nas budowa łańcucha wartości wokół inwestora zagranicznego. Przykładem może być Dolina Lotnicza, gdzie kiedyś pojawił się globalny koncern, wokół którego powstało 100 firm pracujących

eprasa.pl 2c3010439d



Fot. Andrzej Wiktor | 4/0319/F

nie tylko na rzecz tego koncernu, lecz także dostarczających swoje produkty do innych firm na całym świecie – powiedziała Emilewicz.

O tym, że zmieniliśmy swoje postrzeganie inwestycji zagranicznych, mówił również obecny na debacie Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju.

– Poziom inwestycji zagranicznych płynących do Polski jest w miarę stały, to jest od 10 do 15 mld euro. Ale w ostatnich trzech latach zmienił się charakter inwestycji, co wynika ze zmiany strategii rządowej. Nie zależy już nam na inwestycjach związanych z prywatyzacją, ale na takich, które są budowane od zera, które opierają się na wysokich technologiach i które wiążą się z technologiami, jakich w Polsce nie ma – powiedział minister Kwieciński.

Przypomniał, że nie chcemy konkurować tanią siłą roboczą, a więc nie chcemy przyjmować inwestycji, w których w grę wchodzi montaż. Polska obecnie stara się przyciągać takich inwestorów, którzy podnoszą zaawansowanie technologiczne naszej gospodarki. Na przykład firmy takie jak Daimler, LG Chem czy Lufthansa, które u nas zbudowały swoje zakłady, pokazują, że nam się to udaje.

POLSKA TECHNOLOGIA W KOREI

– Znaczenie kapitału zagranicznego dla polskiej gospodarki jest niezwykle istotne, to on bowiem odpowiada za połowę polskiego eksportu, który obecnie tworzy ponad 50 proc. PKB – przypomniał Kwieciński. I dodał, że rządowi ciągle zależy na miejscach pracy wysokiej jakości i na firmach, dzięki którym Polska będzie się stawać bardziej konkurencyjna. Jedną z takich firm jest Samsung Electronics Polska.

– W Polsce zbudowaliśmy największe na świecie, poza Koreą, Centrum Badań i Rozwoju zatrudniające blisko 2 tys. inżynierów, ale także humanistów. To właśnie tutaj powstało oprogramowanie do pierwszego na rynku Smart TV, więc można powiedzieć, że stworzenie całego segmentu rynku telewizorów korzystających z internetu to dzieło polskich inżynierów. Niedawno zakończyły się targi w Barcelonie, na których jednym z najciekawszych pokazywanych przez nas rozwiązań był Soft POS, polegający na uczynieniu z telefonu terminala do odbioru płatności kartami płatniczymi. Rozwiązanie to zostało stworzone we współpracy z FirstData Polska oraz Cardtek w Polsce – powiedział Jacek Łęgiewicz, dyrektor ds. publicznych w Samsung Electronics Polska. – Od dwóch lat budujemy Inkubatory Samsung, aby wspierać innowacje na ścianie wschodniej, by mieszkańcy mogli spokojnie budować i rozwijać swoje biznesy, aby nie było odpływu wykształconych pracowników i przedsiębiorców – dodał.

Jak wyjaśnił Łęgiewicz, Samsung pomaga nie tylko w rozwoju, lecz także wspiera inwestowanie w start-upy, a ponadto pomaga im sprzedawać produkty dzięki wykorzystaniu własnej sieci sprzedaży.

DIALOG

Za napływem nowych inwestycji kryje się m.in. praca wysokich urzędników państwowych, także aktywność prezydenta Andrzeja Dudy, który promuje polskie firmy oraz Polskę za granicą.

– To nie są już wyłącznie spotkania, do których dochodzi, kiedy pan prezydent wyjeżdża za granicę, ale coraz częściej są to spotkania w Polsce, bo ci inwestorzy coraz częściej do Polski przyjeżdżają. Wiemy już, że jest wiele produktów i towarów, które w Polsce powstają w części lub w całości, ale nadal jest jeszcze wiele produktów, o których polskim pochodzeniu nie wiemy – powiedział Adam Kwiatkowski, sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP.

Minister Kwiatkowski zwrócił uwagę, że prezydent stara się być w ciągłym dialogu z przedsiębiorcami i firmami, czego przykładem jest choćby zainicjowany przez Andrzej Dudę Kongres 590 w Rzeszowie. Prezydent stara się także promować nowoczesne technologie.

– Przykładem mogą być programy start-upowe. Zapraszamy do nas przedsiębiorców, którzy mają swój pomysł na biznes, ale także partnerów z zagranicy, aby zobaczyli, co te małe firmy robią. Wiele firm, które zapraszaliśmy do siebie, kiedy jeszcze były start-upami, teraz już urosło, zatrudniają po kilkaset osób i mają rynki zbytu na całym świecie – powiedział Kwiatkowski.

POLSKIE KARIERY GLOBALNE

Nie bez znaczenia dla rozwoju polskiej gospodarki jest to, że w wielu globalnych firmach Polacy zrobili duże kariery i teraz wspierają nasz kraj z najwyższych stanowisk w międzynarodowych korporacjach. Tak jest np. w Philip Morris International.

– Polacy zrobili zawrotne kariery w firmie. W światowym zarządzie jest dwóch Polaków, a to dlatego, że obecność firmy w Polsce jest długa i rozwojowa. Wspieramy rozwój innowacyjności w Polsce, realizując wspólne projekty z firmami wysokich technologii oraz instytutami naukowo-badawczymi. To właśnie w Polsce działa jedna z największych i najnowocześniejszych fabryk na świecie, z której eksportujemy do 70 krajów. Mamy także tutaj spółkę świadczącą zaawansowane, wyspecjalizowane usługi z zakresu finansów, IT, HR i procesów zakupowych dla większości naszych spółek na trzech kontynentach. Rocznie odprowadzamy ok. 10 mld zł podatku – nie

eprasa.pl 2c3010439d

tylko akcyzowego, lecz także dochodowego. W latach 2015–2017 spółki Philip Morris w Polsce zapłaciły pół miliarda złotych CIT – powiedział Wojciech Niewierko, członek zarządu ds. relacji zewnętrznych w Philip Morris Polska.

Zwrócił uwagę, ze koncern jest obecny w Polsce w różnych gałęziach gospodarki – w rolnictwie, w usługach i handlu, w produkcji, a także w nauce.

– Jeden z tych dwóch Polaków, o których mówiłem, odpowiada za naukę i innowacje, czyli coś, co nie kojarzyło się z przemysłem tytoniowym. Philip Morris już kilka lat temu ogłosił, że widzi przyszłość bez papierosów. Zainwestowaliśmy 6 mld dolarów, aby wyprodukować alternatywę dla papierosów. Na świecie liczba palaczy rośnie, jest ich 1,1 mld osób. W Europie zaś trend spadkowy wyhamował, palaczy jest 24–25 proc. Postanowiliśmy dać tym ludziom coś, co jest mniej szkodliwe. Położyliśmy nacisk na podgrzewanie tytoniu, co według wyników zaawansowanych badań naukowych ma znaczący potencjał mniejszej szkodliwości w porównaniu z papierosami. W tej sferze Polska okazała się istotnym graczem nie tylko dlatego, że Polacy pracowali nad tym rozwiązaniem, lecz także dlatego, że to polskie przedsiębiorstwa pomogły dostarczyć nam technologię, dzięki której to rozwiązanie zostało już skomercjalizowane w ponad 40 krajach, a polskie instytuty badawcze oceniały wpływ tych produktów na komórki i organizm człowieka – powiedział Niewierko.

PRZEDE WSZYSTKIM JAKOŚĆ

Firmy o zagranicznym kapitale korzystają nie tylko z innowacyjnych rozwiązań wypracowanych w Polsce. Duże znaczenie ma jakość produktów, również żywnościowych.

– Jesteśmy dużym i solidnym pracodawcą. Zatrudniamy w Polsce 25 tys. osób, wszystkich na umowę o pracę. Trzeba pamiętać, że to pracownicy nie tylko McDonald's Polska, lecz także restauracji franczyzowych, bo 85 proc. naszych placówek prowadzą polscy przedsiębiorcy korzystający z naszej marki i naszego know-how, aby rozwijać swoje firmy – powiedziała Anna Borys-Karwacka, dyrektor ds. korporacyjnych w McDonald's Polska. – Jeśli jednak spojrzeć szerzej, również na dostawców, to łącznie dajemy pracę w Polsce ok. 40 tys. osób – dodała.

Chodzi o firmy, które dostarczają składniki do burgerów i innych produktów McDonald's. Wołowina pochodzi z Ostródy, frytki z Lęborka, a warzywa spod Poznania i spod Legnicy.

– Większość naszych dostawców to firmy zlokalizowane w Polsce. Na przykład Big Mac to produkt właściwie polski – powiedziała Anna Borys-Karwacka. – Naszym dostawcom możemy zaoferować wielką skalę. Zapewniamy stabilny zbyt na ich produkty na bardzo wysokim poziomie, który uzasadnia inwestycje w produkcję, systemy kontroli jakości i bezpieczeństwa żywności. Owszem, stawiamy naszym partnerom wysokie wymagania, oczekujemy standardów na najwyższym światowym poziomie. Ale jeśli już firma je wdroży, to najbardziej wymagające rynki stoją przed nią otworem. Współpracujemy z firmami, które zaczynały jako niewielkie rodzinne przedsięwzięcia, ale dzięki kontraktom z McDonald's są teraz potentatami na skalę międzynarodową i dostarczają produkty także do innych firm, w całej Europie – powiedziała Anna Borys-Karwacka.

BADANIA, ROZWÓJ…

W rozwoju firm w Polsce, zarówno o krajowym kapitale, jak i firm zagranicznych, duże znaczenie ma polityka gospodarcza rządu.

– Skupiamy się na promowaniu innowacji, czego przykładem może być m.in. IP BOX czy Prosta Spółka Akcyjna. To wszystko jest efektem rozmów, jakie prowadzimy z przedsiębiorcami, zarówno tymi małymi, jak i dużymi. Traktujemy siebie jako pośrednika pomiędzy biznesem a całokształtem polityki gospodarczej rządu – powiedział Tomasz Chróstny, dyrektor Departamentu Analiz Gospodarczych w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii. – Istotne jest także to, że zmieniamy priorytety. W latach 90. były one inne, inne na początku XXI w., kiedy bezrobocie wynosiło 20 proc., a jeszcze inne są teraz. O ile wcześniej cieszyliśmy się z centrów usług, to teraz cieszą nas centra badawczo-rozwojowe, bo to daje nam kompetencje umożliwiające konkurowanie na poziomie europejskim i globalnym. Cieszymy się, że nakłady na badania i rozwój rosną, w zeszłym roku było to już 21 mld zł, a wiec ponad 1 proc. PKB – powiedział Chróstny.

…I INNOWACJE

Ogromne znaczenie ma dobrze wykształcona siła robocza, co pozwala na lokowanie coraz bardziej „wyrafinowanych" zakładów w Polsce.

– Polska ma strategiczne znaczenie dla Grupy Japan Tobacco, o czym świadczy ponad 800 mln dolarów zainwestowanych w naszym kraju w ostatnich 10 latach. Kilka miesięcy temu ogłosiliśmy kolejną dużą inwestycję w Starym Gostkowie (woj. łódzkie), związaną z produkcją nowatorskich wyrobów tytoniowych, w których tytoń się podgrzewa, a nie spala. JTI jest jedyną firmą, która będzie produkować tego typu wyroby na terenie Polski – powiedział Andrzej Lewandowski, członek zarządu, dyrektor ds. korporacyjnych i komunikacji w JTI Polska. – Nasze decyzje inwestycyjne wynikają przede wszystkim z dostępu do wykształconych, zmotywowanych i bardzo dobrze wykwalifikowanych pracowników. To dzięki nim zostaliśmy ostatnio wybrani pracodawcą nr 1 w Polsce w rankingu Top Employers. Doceniamy także dobry klimat inwestycyjny panujący w Polsce, w tym otwartość na wyzwania biznesu ze strony władz krajowych i samorządowych. Jej przykładem jest choćby nasza współpraca z administracją oraz służbami państwowymi w walce z nielegalnym handlem wyrobami tytoniowymi. Szara strefa spadła w ciągu niecałych czterech lat z 19 do 11 proc., co oznacza wzrost wpływów budżetowych oraz stabilizację rynku legalnego. Co bardzo ważne, maleje także społeczne przyzwolenie na kupowanie produktów w szarej strefie – dodał Lewandowski.

WIDAĆ EFEKTY

Za przyciąganie inwestycji zagranicznych do Polski odpowiada m.in. Polska Agencja Inwestycji i Handlu.

– Jako pracownik tej agencji mam wyjątkową perspektywę patrzenia na

Autopromocja

eprasa.pl 2c3010439d

rozwój firm w Polsce. Widzę, że polskie firmy dzięki inwestycjom zagranicznym dużo się nauczyły, stały się bardziej zdyscyplinowane, co było konieczne, aby włączyć się w łańcuch dostaw dużych firm, w których proces weryfikacji jest restrykcyjny. I widać, że dzięki tej wiedzy i nauce nasze firmy radzą sobie na świecie – powiedział Wojciech Fedko, wiceprezes w Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu.

Obecnie PAIiH dysponuje 70 biurami na całym świecie i codziennie zajmuje się promocją Polski i polskiej produkcji. I idzie to coraz lepiej.

– Z danych wynika, że przez ostatnie 10 lat notowany jest spadek globalnych bezpośrednich inwestycji zagranicznych o około 20 proc. Tymczasem Polska w tym okresie notuje dwucyfrowe wzrosty, co oznacza, że bijemy rynek o 30 proc. – powiedział Fedko. – To widać na świecie. W październiku odbędzie się w Warszawie światowy kongres poświęcony inwestycjom. 19 marca zaś Mitsui wbija łopatę na placu budowy swojej nowej fabryki, w której będą produkowane serca silników hybrydowych. Te rotory będą powstawać w Polsce – dodał wiceprezes PAIiH.

Już w czasie pytań z sali po debacie głos zabrała Renata Juszkiewicz, prezes Polskiej Organizacji Handlu i Dystrybucji.

– Jako prezes POHiD reprezentuję największe zagraniczne sieci handlowe w Polsce. Podkreślam, że w sumie kapitał zagranicznych sieci handlowych zainwestowany w Polsce to 50 mld euro, 200 tys. nowych miejsc pracy. Powszechnie panuje mit dotyczący transferu zysków sieci handlowych za granicę i unikania płacenia w Polsce podatków. Podkreślę, że to nieprawda. W 2015 r. siedem największych sieci handlowych zapłaciło 700 mln zł CIT i ponad 10 mld zł VAT [...]. Przy wysokim zatrudnieniu płacimy też ogromne sumy z podatku PIT. Sieci handlowe zrzeszone w POHiD eksportują polskie produkty do swoich sklepów poza granicami Polski. Jesteśmy polskimi przedsiębiorstwami z udziałem zagranicznego kapitału, działającymi w oparciu o polskie prawodawstwo, prowadzącymi projekty dla lokalnych społeczności, w tym wiele akcji charytatywnych – tak prezes Juszkiewicz podsumowała pierwszą debatę dotyczącą udziału firm z kapitałem zagranicznym w budowaniu polskiej gospodarki.

Inauguracyjna debata spotkała się z dużym zainteresowaniem rynku. Kolejne spotkania w ramach Forum wGospodarce.pl odbywać się będą już w mniejszym gronie, niemniej – jak zapowiedział Maciej Wośko – do projektu można dołączyć w każdym momencie. Redakcja uruchomiła adres mailowy: forum@wgospodarce.pl, dla osób i firm chcących zabrać głos w dyskusji na temat roli kapitału zagranicznego w budowaniu polskiej gospodarki. Wszystkie debaty relacjonować będziemy na łamach portalu wGospodarce.pl, w telewizji wPolsce.pl oraz na łamach tygodnika „Sieci" i w „Gazecie Bankowej".

(MS)

Forum wGospodarce.pl

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo Cyfryzacji

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII

Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY

Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi

Polska Agencja Inwestycji i Handlu
Grupa PFR

PARTNERZY STRATEGICZNI:

JTI

PHILIP MORRIS POLSKA

PARTNERZY GŁÓWNI:

SAMSUNG

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

British American Tobacco Polska

Coca-Cola

Deloitte.

Pfizer

POHiD

STRABAG

Więcej informacji na **www.wGospodarce.pl/sektory/forum-wgospodarce**

eprasa.pl 2c30104439d



Polskie miasta stawiają na autobusy gazowe

Kolejne miasta kupują ekologiczne i ekonomiczne autobusy na paliwo gazowe. Żeby takie pojazdy mogły jeździć, muszą mieć gdzie zatankować. I tu z pomocą przychodzi PGNiG Obrót Detaliczny. Tylko w tym roku spółka podpisała listy intencyjne zakładające budowę infrastruktury do tankowania gazu CNG w trzech polskich miastach: Łomży, Suwałkach oraz Bielsku-Białej. Wcześniej na wykorzystanie gazu ziemnego do zasilania pojazdów użyteczności publicznej zdecydowały się także: Warszawa, Tarnów i Kielce. Dzięki temu w najbliższym czasie na polskie drogi wyjedzie łącznie niemal 250 nowych autobusów gazowych. Popularyzacja gazomobilności wpisuje się w rządowe plany rozwoju transportu niskoemisyjnego w Polsce

Coraz większe zainteresowanie paliwem CNG jest związane m.in. z rosnącą świadomością ekologiczną społeczeństwa. Autobus na CNG wydziela w stosunku do autobusu zasilanego olejem napędowym o 80–90 proc. mniej szkodliwych dla ludzkiego zdrowia substancji oraz do 99 proc. mniej niezwykle szkodliwych cząstek stałych.

– *Autobusy zasilane CNG to ekologiczne i ciche pojazdy,* które *świetnie sprawdzają się w środowisku miejskim. To dojrzała technologia, która gwarantuje długoletnią bezawaryjną pracę i duży zasięg wynoszący nawet 500 km. Ich cena jest porównywalna z ceną autobusów na olej napędowy przy zdecydowanie niższych emisjach zanieczyszczeń* – powiedział Henryk Mucha, prezes zarządu PGNiG Obrót Detaliczny.

eprasa.pl 2c3010439d

ŁOMŻA, SUWAŁKI I BIELSKO-BIAŁA

Na początku tego roku PGNiG Obrót Detaliczny ogłosiło plany budowy trzech stacji paliw CNG, które zapewnią dostawy ekologicznego gazu ziemnego na potrzeby transportu publicznego. Jest to związane z planami modernizacji taboru autobusowego w Łomży, Suwałkach i Bielsku-Białej. Łomża planuje zakup 10 autobusów zasilanych ekologicznym gazem CNG, co stanowić będzie ok. 25 proc. całego taboru w mieście. Z kolei miejska spółka Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej w Suwałkach chce kupić co najmniej 15 nowych autobusów napędzanych CNG, czyli ponad 40 proc. istniejącego taboru w mieście. Ponadto bielski PKS planuje zakup 26 nowych ekologicznych autobusów na CNG do końca 2020 r.

WARSZAWA

Na mocy umowy z czerwca 2018 r. PGNiG Obrót Detaliczny dostarczy MZA Warszawa ponad 54 mln m3 sprężonego gazu ziemnego w ciągu 10 lat. Paliwo będzie zasilać 110 nowoczesnych autobusów. Umowa dotyczy także budowy największej stacji tankowania sprężonego gazu w Polsce, która powstanie w zajezdni przy ul. Kleszczowej w Warszawie. Otwarcie nowej stacji tankowania CNG planowane jest w lecie 2019 r.

TARNÓW

Wielostronne porozumienie na dostawy paliwa CNG zostało podpisane w czerwcu 2018 r. przez PGNiG Obrót Detaliczny z miastem Tarnów, MPK Tarnów, MPGK Tarnów oraz PUK Tarnów. Już niebawem na tarnowskie ulice wyjedzie 21 nowych autobusów oraz dwie śmieciarki.

KIELCE

W październiku 2018 r. PGNiG Obrót Detaliczny podpisało list intencyjny z Miejskim Przedsiębiorstwem Komunikacji w Kielcach, zakładający budowę ogólnodostępnej stacji tankowania paliw CNG do końca 2019 r. Plany przewidują, że do 2025 r. po ulicach Kielc będzie się poruszało 60 ekologicznych autobusów zasilanych gazem ziemnym CNG.

Obecnie chyba nikt nie ma wątpliwości, że w perspektywie długoterminowej przyszłością transportu jest napęd elektryczny. Oczywiście jest to proces rozłożony na lata. Na razie pojazdy elektryczne są bardzo drogie i stać na nie tylko nielicznych. Do tego brak odpowiedniej infrastruktury czy ograniczony zasięg aut na prąd sprawiają, że paliwa tradycyjne jeszcze przez długi czas będą głównym źródłem napędu naszych aut. Warto więc teraz sięgnąć po sprawdzone rozwiązania. A takim jest technologia oparta na gazie ziemnym CNG.

– Polskie miasta doceniają także korzyści ekonomiczne związane z wykorzystaniem autobusów na CNG. Koszt przejechania 100 kilometrów takim pojazdem jest obecnie o 10% niższy niż w przypadku autobusu zasilanego olejem napędowym. – W nadchodzących latach oszczędności mogą wzrosnąć o kolejne 20%, w związku z planowanym zniesieniem akcyzy na gaz ziemny CNG – pokreślił Marcin Szczudło, wiceprezes zarządu PGNiG Obrót Detaliczny. Aktualnie stosowna ustawa oczekuje na zatwierdzenie przez Komisję Europejską i przewiduje się, że nowe regulacje zaczną obowiązywać jeszcze w 2019 roku. Dodatkowym atutem jest uruchomienie przez Rząd Funduszu Transportu Niskoemisyjnego

Mówiąc o gazomobilności, mamy na myśli głównie komunikację zbiorową opartą na sprężonym gazie ziemnym, czyli CNG. Niestety niektórzy mylą to paliwo z popularnym wśród kierowców aut osobowych gazem LPG. To błąd.

LPG to gaz w postaci ciekłej, który jest mniej ekologiczny i potencjalnie bardziej niebezpieczny w przypadku uszkodzenia zbiornika czy wypadku. Stąd auta na CNG mogą – w przeciwieństwie do pojazdów zasilanych LPG – parkować na podziemnych parkingach.

PGNiG pomaga walczyć ze smogiem

CNG to sprężony gaz ziemny o wysokich walorach ekologicznych, dlatego stanowi jedno z najlepszych paliw do napędzania transportu publicznego. Według ekspertów wymiana taboru zasilanego olejem napędowym na rzecz CNG pozwala na znaczną redukcję emisji zanieczyszczeń: tlenków azotu do 50 proc., dwutlenku węgla do ok. 15 proc. oraz pyłów PM do 99 proc. Ponadto silniki zasilane CNG pracują ciszej w porównaniu z tymi na olej napędowy.

Po Polsce jeździ teraz 3–4 tys. pojazdów napędzanych CNG, co oznacza, że ich udział w rynku jest mały. Na szczęście Ministerstwo Energii w sposób strategiczny zajęło się rozwojem tej gałęzi rynku paliw. Ustawa o elektromobilności i paliwach alternatywnych wprowadza nowe systemowe rozwiązania, które przyczynią się do rozwoju tego rynku w Polsce. Ustawa zakłada m.in., że w ciągu kilku lat wybudowanych zostanie 70 stacji tankowania CNG. To może być impuls do rozwoju całego rynku, także aut osobowych. Warto pamiętać, że wielu producentów (m.in. Volkswagen, Škoda, Seat, Fiat, Opel, Mercedes, Audi) oferuje swoje popularne modele właśnie z fabrycznym napędem CNG, które niemal nie różnią się konstrukcyjnie od zwykłych wersji, a cenowo są porównywalne z wersjami zasilanymi olejem napędowym.

14 lutego 2019 r. Ministerstwo Energii opublikowało projekt rozporządzenia w sprawie szczegółowych warunków udzielania oraz sposobu rozliczania wsparcia udzielonego ze środków Funduszu Niskoemisyjnego Transportu. Nowe regulacje przewidują m.in. dopłaty do zakupu pojazdów zasilanych CNG (dla autobusów dotacja wyniesie do 150 tys. zł) oraz rozbudowy infrastruktury do tankowania pojazdów (wsparcie do budowy stacji tankowania CNG – wsparcie do 750 tys. zł, a stacji tankowania LNG – do 1,2 mln zł).

Jeśli planowane regulacje Ministerstwa Energii weszłyby w życie, Polska stałaby się krajem, w którym obowiązywałyby największe dopłaty do zakupu ekologicznych pojazdów w Europie.

1/0319/F

eprasa.pl 2c3010439d







Hit tygodnia

Hołd dla samego siebie – Ferrari F8 Tributo

Czekacie na nowe ferrari? To się doczekaliście. Oto następca modelu Ferrari 488 GTB – F8 Tributo. Wysłużony 488 GTB – w końcu ma już cztery lata i podobnie jak F8 Tributo został zaprezentowany na salonie w Genewie – odchodzi na emeryturę. Cóż takiego oferują nam włoscy projektanci i inżynierowie? Silnik to sprawdzone V8, tyle że nieco podrasowane. Na tyle, że podobno to najmocniejsza jednostka V8 stworzona dla cywilnego pojazdu. Silnik ma pojemność 3,9 litra, 720 KM, moment obrotowy – 770. Jakie to ma przełożenie na osiągi? F8 Tributo potrzebuje 2,9 s, by się rozpędzić do 100 km/h, do 200 km/h zaś – 7,8 s. Prędkość maksymalna to 340 km/h. Takie osiągi udało się otrzymać m.in. dzięki zmniejszeniu wagi do 1330 kg (40 kg mniej niż 488 GTB). Włosi chwalą się też, że poprawili aerodynamikę o 10 proc.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Nowa marka tanich aut od Volkswagena? Tak, nazywa się Jetta. Ale nie Volkswagen Jetta, choć trzeba dodać, że od tego modelu się zaczęło, gdyż Volkswagen Jetta był jednym z najlepiej sprzedających się aut w Chinach. I tam Jetta pojawi się jako oddzielna marka, skierowana przede wszystkim do mniej zamożnych klientów. Sprzedaż ruszy w trzecim kwartale tego roku, kupić samochody będzie można tradycyjnie w salonach marki, przez internet, galeriach handlowych oraz, co ciekawe, z ciężarówek, które będą jeździć po mniejszych chińskich miastach.

Czy mówi państwu coś nazwa Polestar 1? Zapewne niewiele, gdyż model ten trochę mignął po firmamencie samochodowym, choć w jego powstaniu maczało palce Volvo, a był całkiem udany i w dodatku hybrydowy, jeśli ktoś lubi. Teraz czas na Polestar 2, już w pełni elektryczny i – uwaga – ma być konkurentem dla Tesli Model 3. Wysoko postawiona poprzeczka. Co wiemy o jego parametrach i osiągach? Napęd na obie osie jest w pełni elektryczny, o mocy 408 KM i 660 Nm. Do setki ma potrzebować mniej niż 5 s. W trybie bezemisyjnym ma przejechać do 500 km wg normy WLTP). Podstawowa wersja Polestara 2 ma kosztować 40 tys. euro (w Niemczech), jednak przez pierwszy rok będzie dostępny tylko w edycji specjalnej Launch, w cenie od 60 tys. euro.

Jak donosi portal Automotive Suppliers, w Koninie pojawił się hybrydowy autobus Volvo 7900 Hybrid. Trafił tam do transportu miejskiego na kilkudniowe testy pod koniec lutego. Autobus został zaprojektowany przez polskich inżynierów, a wyprodukowany we Wrocławiu, w fabryce szwedzkiego producenta.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 2c3010439d



STOP przemocy w rodzinie

PARTNERZY DODATKU

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

eprasa.pl 2c3010439d



Szczególnie dotkliwą formą przemocy jest przemoc domowa. Wykorzystywanie przewagi siły lub władzy w celu krzywdzenia członków rodziny jest szczególnie bolesne dla najbliższych sprawcy. Towarzyszy im z reguły wstyd, który powoduje nierzadko długotrwały opór przed szukaniem pomocy na zewnątrz

Kiedy zaczyna się przemoc...

Przemoc fizyczna to najbardziej rozpoznawalny sposób krzywdzenia. Wiemy, że naruszanie nietykalności cielesnej jest czynem karalnym: bicie, kopanie, szarpanie, ciągnięcie za włosy, policzkowanie, duszenie czy krępowanie. To ta forma jest najczęściej zgłaszana organom ścigania. Tymczasem **przemoc psychiczna**: groźby, wyzwiska, szantażowanie, śledzenie, ograniczanie kontaktów czy nękanie – znacznie rzadziej trafia do akt policyjnych. Nie dlatego, że zdarza się z mniejszą częstotliwością. Po prostu ofiary nie są świadome, że ktoś krzywdzi je psychicznie. Traktują to jako codzienność, choć sprawca narusza swoim zachowaniem ich godność osobistą. **Przemoc seksualna**, w której sprawca narusza sferę seksualną ofiary, to nie tylko gwałt czy zmuszanie do praktyk seksualnych. Trzeba pamiętać, że to również: publiczne komentowanie wyglądu drugiej osoby, wyśmiewanie jej czy ocenianie sprawności seksualnej. Najrzadziej zgłaszana jest **przemoc ekonomiczna**. Zabieranie pieniędzy i dokumentów, okradanie czy niszczenie czyjejś własności, obarczanie długami do spłacenia ze wspólnego konta, wyprzedawanie wspólnego majątku bez zgody to bardzo dotkliwe działania i ingerencja w osobiste dobra. Do szczególnej kategorii przemocy należą także przypadki zaniedbywania opieki nad dziećmi: niezapewnianie im godnych materialnych warunków życia, ale również brak opieki w chorobie lub wsparcia psychicznego w potrzebie. Sprawcami przemocy ekonomicznej są też tzw. alimenciarze, czyli rodzice unikający płacenia alimentów zasądzonych na rzecz dzieci.

– *Rosnące wśród przemocy dzieci są jej ofiarami. Ale nie tylko w oczywisty bezpośredni sposób: wtedy, gdy są krzywdzone fizycznie lub psychicznie czy zaniedbywane przez rodziców. Cierpią także, będąc „jedynie" świadkami przemocy w świecie dorosłych w swojej rodzinie. Skutki dorastania w przemocowym środowisku są równie dotkliwe jak bezpośrednia krzywda odczuwana na własnej skórze* – podkreśla Ludmiła Niczyperowicz, psycholog i psychoterapeuta.

O przemocy możemy mówić wtedy, gdy mają miejsce następujące okoliczności:

- jest to intencjonalne działanie lub zaniechanie działania – sprawca uważa, że wie lepiej, co jest dobre dla ofiary, decyduje w jej imieniu i nie liczy się z jej zdaniem;
- widać wyraźną przewagę fizyczną, psychiczną, materialną, zawodową czy społeczną sprawcy i jest ona wykorzystywana do podporządkowania sobie ofiary;
- działanie lub zaniechanie sprawcy narusza prawa i dobra osobiste ofiary – jest ona traktowana przedmiotowo, bez zważania na jej uczucia, potrzeby;
- ofiara przemocy doznaje cierpienia i szkód fizycznych oraz psychicznych. Szkody mogą być wymierne i nie, widoczne i niedostrzegalne, natychmiastowe i odroczone w czasie.

– *Ofiary przemocy domowej latami ukrywają ten fakt przed rodziną, znajomymi, światem zewnętrznym. Chronią w ten sposób sprawcę przemocy przed odpowiedzialnością za jego czyny. Wstydzą się reakcji otoczenia. Nie potrafią wskazać najbliższej im osoby jako agresora, ciągle licząc na zmianę jego postępowania – gdyż przemoc nie ma ciągłego charakteru, przechodzi różne fazy* – tłumaczy Ludmiła Niczyperowicz.

W pierwszej fazie – **narastania napięcia** – sprawca staje się drażliwy, wszczyna awantury. Ofiara próbuje go uspokajać i usprawiedliwiać jego zachowanie. W fazie **ostrej przemocy** sprawca pod wpływem pretekstu daje upust swojemu napięciu i wpada w szał. Ofiara jest w szoku, odczuwa strach, ale to w sobie szuka przyczyn wybuchu agresji. Kiedy do sprawcy dociera, że przekroczył granice, i zaczyna odczuwać wyrzuty sumienia, rozpoczyna się faza **miesiąca miodowego**. Sprawca próbuje naprawić swoje błędy i zmienia się nie do poznania, stając się czuły i troskliwy. Składa obietnice przemiany, w które niestety chce wierzyć ofiara i które powstrzymują ją przed szukaniem pomocy. Cykl jednak powtarza się od nowa. A ofiara w pętli–pułapce pozostaje sama ze swoją tragedią. ●

eprasa.pl 2c3010439d

Warto walczyć o życie



Rozmowa z adwokatem Piotrem Sikorskim

Do kogo może się zwrócić o wsparcie ofiara przemocy? Czy w polskim systemie jest miejsce na szybką i skuteczną pomoc?

Piotr Sikorski: Podstawowym dokumentem, który reguluje te kwestie, jest Ustawa o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie. Zgodnie z tym dokumentem istnieje wiele instytucji odpowiedzialnych za reagowanie na przemoc. Należy do nich przede wszystkim policja. Niestety nie zawsze reaguje ona prawidłowo. Wciąż zdarzają się sytuacje, w których dopiero gdy dojdzie do skrajnych nieszczęść, sprawa zyskuje należną jej uwagę. Dobrze, że w ostatnich latach nastąpił istotny postęp: funkcjonariusze są szkoleni, nabywają odpowiednie umiejętności. Jeszcze kilkanaście lat temu startowaliśmy z poziomu zero – kiedy określenie „przemoc domowa" wywoływało kąśliwy uśmiech.

Jest jeszcze jeden aspekt: całkiem spora grupa zgłoszeń należy do pozornych. W ramach konfliktu rodzinnego służą pewnym celom, np. tworzeniu materiału dowodowego na dalszą część sporu sądowego. Wbrew pozorom nie jest to zjawisko marginalne, nie są to jednostkowe przypadki. Tymczasem powodują brak zaufania do zgłaszających. Rozeznanie przez służby interwencyjne co do prawdziwości zdarzenia wymaga dużej umiejętności i wyczucia. Tego zjawiska dziś nie można lekceważyć: cierpią na tym ofiary rzeczywistych aktów przemocy.

Kolejną strukturą są wszelkiego rodzaju ośrodki pomocy społecznej czy gminne komisje rozwiązywania problemów alkoholowych, a także pion oświatowy. Te wszystkie liczne instytucje mają jednak możliwość działania tylko w pewnych segmentach i największym problemem, który wpływa na jakość działania całego systemu, jest brak koordynacji poszczególnych struktur. Sytuacja się poprawia, niestety jeszcze za wolno – w porównaniu z powagą zjawiska i z przyrostem zdarzeń związanych z przemocą, które pokazują statystyki policyjne.

W przypadku przemocy fizycznej dowody są namacalne. A co z przemocą psychiczną – już nie tak oczywistą na pierwszy rzut oka?

To niezmiernie trudny proces. Wymaga poważnego zaangażowania specjalistów psychologów, psychoterapeutów. A co tu dużo kryć: nasze społeczeństwo nie jest jeszcze na tyle dojrzałe, aby korzystanie z usług psychologów odpowiednio docenić, sięgających po psychologiczne wsparcie zaś nie szufladkować jako „wariatów". Taki mechanizm wciąż pokutuje, szczególnie w słabo wykształconej części społeczeństwa.

W sensie karno-procesowym udowodnienie winy sprawcy przemocy psychicznej jest rzeczywiście dużo trudniejsze niż w przypadku przemocy fizycznej. Choć jednocześnie pozostawia ona dużo trwalsze ślady i wymaga wieloletnich terapii. Pojawia się również problem z dostępnością takich terapii szczególnie dla mieszkańców małych miast i wsi. To sprawia, że pozostają oni w bardzo trudnej sytuacji – zdani tylko na siebie samych.

Czy przemoc ekonomiczna to nowe zjawisko?

Tak naprawdę istnieje od dawna, nie była jednak dotąd w taki sposób definiowana. Druga połowa ubiegłego wieku to czas, kiedy wielokrotnie dochodziło do stosowania przymusu ekonomicznego przez silniejszego finansowo czy zawodowo małżonka: najczęściej lepiej zarabiającego męża, jedynego żywiciela rodziny. Dzisiaj to zjawisko jest jeszcze częściej spotykane – szczególnie w rodzinach dobrze sytuowanych, gdzie żony nie pracują, zajmują się domem, o taką przemoc jest stosunkowo łatwo. Jednocześnie jest to niezmiernie trudne do udowodnienia i stwarza duże problemy w praktyce procesowej: czasem nawet tam, gdzie dochodzi do bardzo jaskrawych przypadków, można interpretować je na bardzo różne sposoby. To bardzo silny instrument, często stosowany w sposób sprytny i cyniczny.

Przemoc rodzinna to sprawy bardzo trudne, bolesne. Warto jednak walczyć o sprawiedliwość, próbować wygrać?

Trudno tu mówić o wygranej. Zwycięzców tutaj nie ma. Mówimy raczej o minimalizowaniu kosztów uwikłania się, o próbie niwelowania skutków poprzez korzystne orzeczenia sądowe czy podjęcie terapii psychologicznej. Często bez psychoterapii trudno wyobrazić sobie powrót do normalnego życia. A o nie warto zawsze walczyć. ●

eprasa.pl 2c3010439d

Jestem ofiarą przemocy domowej. Co robić?



1. Natychmiast wezwać policję!

Służby mają obowiązek reagować w przypadku podejrzeń o przemoc domową. Nie wolno dać się zbyć dyżurnemu policjantowi, jeśli twierdzi, że organy policyjne nie mieszają się do rodzinnych awantur. Policja nie tylko musi podjąć interwencję, lecz również zarejestrować ją w odpowiednich dokumentach. Podczas interwencji warto zanotować datę i czas przybycia policji, numery służbowe funkcjonariuszy oraz domagać się sporządzenia notatki służbowej w systemie procedury Niebieskiej Karty.

2. Żądać separacji z agresorem

Jeżeli sprawca przemocy zachowuje się agresywnie, funkcjonariusze mogą zatrzymać go na 48 godzin. Jeżeli jest pijany – odwiozą go do izby wytrzeźwień. Jeśli policja nie widzi podstaw do zatrzymania sprawcy, ale ofiara czuje się zagrożona w jego obecności, ma prawo poprosić o wskazanie dla siebie schroniska, a także o transport, w miarę możliwości technicznych.

3. Zbierać dowody przemocy

W przypadku przemocy fizycznej warto zrobić obdukcję. Może ją przeprowadzić nawet lekarz pierwszego kontaktu. Wystawia on zaświadczenie z dokładnym opisem stanu zdrowia oraz rodzajem i przyczyną obrażeń. Warto przestać ukrywać przed rodziną i znajomymi ślady pobicia. Będąc świadkami powtarzających się aktów agresji, mogą później złożyć zeznania przeciwko sprawcy w sądzie.

4. Zgłosić się o wsparcie do instytucji i organizacji pomocowych dla ofiar przemocy domowej

Pracownicy instytucji i organizacji udzielą wsparcia prawnego. Pomagają w kontaktach z policją, prokuraturą i biorą udział w postępowaniu sądowym. To, co niezwykle istotne: udzielą fachowego wsparcia psychologicznego, tak potrzebnego ofiarom.

Jestem świadkiem przemocy domowej. Co robić?



1. Zainteresować się osobą pokrzywdzoną

Jeśli polegasz tylko na własnych domysłach, coś zwróciło twoją uwagę, zaniepokoiło cię – zacznij od delikatnej rozmowy, zapytaj, czy potencjalna ofiara czegoś nie potrzebuje. Być może nie będzie chciała się zwierzyć, ale dasz do zrozumienia, że jesteś gotowy pomóc. Ponawiaj propozycję wsparcia.

2. Porozmawiać z osobą pokrzywdzoną

Jeżeli otworzy się przed tobą, daj znać, że wierzysz w to, co opowiada. Wysłuchaj, nie krytykuj, nie oceniaj. Nie sięgaj po stereotypy. Zaproponuj, że możesz być świadkiem w sądzie i zeznawać.

3. Możesz oferować bezpośrednie wsparcie:

materialne, udzielić schronienia, towarzyszyć podczas wizyty na policji lub w urzędzie, pomóc poszukać instytucji i organizacji udzielających fachowej pomocy prawnej czy psychologicznej.

4. Będąc świadkiem przemocy, należy reagować

Trzeba wyrażać swój sprzeciw głośno, nazywać przemoc przemocą.

5. Porozmawiać ze sprawcą

To opcja ryzykowna, ale czasem skuteczna. Pokazać, że sprawca nie jest anonimowym agresorem, uprzedzić, że sprawa trafi do organów ścigania.

6. Chcąc pozostać anonimowym, można samemu zgłosić sprawę

np. dzwoniąc na Niebieską Linię. ●

116/0119/F

eprasa.pl 2c3010439d



POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ JESTEŚMY BEZPIECZNE

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Infolinia: +48 222 309 900

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl

eprasa.pl 2c3010439d

Gdzie szukać pomocy?



1. Niebieska Linia – ogólnopolski telefon dla ofiar przemocy w rodzinie – numer 800 12 00 02 czynny jest przez całą dobę. Dzwoniąc, otrzymasz wsparcie, pomoc psychologiczną, informacje o możliwościach uzyskania pomocy najbliżej miejsca zamieszkania.

2. Instytucje pomagające najbliżej miejsca zamieszkania, takie jak centra interwencji kryzysowej, schroniska, domy samotnych matek, ośrodki dla uzależnionych oraz współuzależnionych itd. Spis pogrupowany wg województw znajduje się pod adresem: http://www.niebieskalinia.info/index.php/instytucje-pomagajace.

3. Fundusz Sprawiedliwości
W niemal 300 punktach pomocy świadczona jest pomoc dla osób pokrzywdzonych przestępstwem, m.in. przemocą domową. Przede wszystkim jest to wsparcie bezpośrednie, np. pomoc prawna. Prawnik może pomóc w bardzo dużym zakresie: analizuje każdy przypadek, udziela porad, przygotowuje pisma procesowe, informuje o metodach korzystania z reprezentacji w sądzie. Ważnym elementem wsparcia jest również pełna terapia psychologiczna. Dostępna jest też pomoc materialna w postaci bonów zakupowych, które można wymienić na żywność, odzież, środki czystości.

4. Linia Pomocy Pokrzywdzonym Fundacji Sprawiedliwości – pod numerem +48 222 309 900 można uzyskać pomoc prawną, psychologiczną, materialną. ●

Przemoc domowa, alkohol, narkotyki – te problemy towarzyszą pani Alicji znacznie dłużej niż od początku małżeństwa. Wychowała się bowiem w dysfunkcyjnej rodzinie i mimo że przez całe dzieciństwo o niczym nie marzyła bardziej, niż o założeniu szczęśliwego, zdrowego domu, to już jako matka dwójki dzieci zorientowała się, że jej dziecięcy koszmar znów do niej powrócił. Lata upokorzeń, przemocy fizycznej, psychicznej oraz seksualnej, której doznawała ze strony męża oraz teścia sprawiły, że młoda kobieta była wrakiem człowieka. „Chciałam oddać dzieci do domu dziecka, a sama popełnić samobójstwo" – przyznała podczas pierwszej wizyty w OPPP, o którym usłyszała od koleżanki. Całe szczęście dalej sprawy potoczyły się lepiej – kilka miesięcy spędzonych w mieszkaniu interwencyjnym, niezliczone rozprawy w sprawie rozwodu oraz znęcania się nad rodziną. Z pomocą ośrodka udało się wynająć mieszkanie, które częściowo zostało opłacone ze środków Funduszu Sprawiedliwości. Ponadto rodzina regularnie otrzymywała wsparcie materialne w postaci bonów żywnościowych oraz ubrań. Największym koszmarem p. Alicji były wówczas niekończące się postępowania, ciągłe odwołania i apelacje byłego męża. Niebezpieczeństwo było tak duże, że do sądu pani Alicja chodziła w towarzystwie asystenta osoby pokrzywdzonej. Na tym etapie nieocenione okazało się wsparcie psychologiczne, dzięki któremu kobieta powoli odzyskiwała wiarę w siebie oraz poczucie godności, które zatraciła przez lata domowego horroru. Dziś pani Alicja przyznaje, że dzięki wsparciu udzielonemu ze środków Funduszu Sprawiedliwości zyskała nowe życie, którego smaku wcześniej nie miała szansy poznać. ●

„To naprawdę mała miejscowość, wszyscy się u nas znają, wie pani…" – tak swoją opowieść rozpoczęła Maria, kobieta w średnim wieku. Historii takich jak jej są dziesiątki, jednakże nie każda kobieta wytrzymała tak długo w domowym koszmarze. 20 lat, bo od tylu mąż regularnie stosował wobec Marii przemoc. Jaką? Każdą możliwą, jednakże to jej seksualny aspekt był dla niej najgorszy. Mąż był alkoholikiem, wyjątkowo perfidnym w swoich działaniach. Po tym, jak po raz kolejny została zgwałcona, postanowiła się zwrócić o pomoc. Ze względu na strach przed tym, „co ludzie powiedzą", pierwszym miejscem, do którego się udała, nie był lokalny komisariat policji, ale oddalony o kilkanaście kilometrów ośrodek udzielający wsparcia w ramach Funduszu Sprawiedliwości. To tam uzyskała pomoc psychologa, która po latach życia w strachu i poniżeniu była jej w tamtej chwili najbardziej potrzebna. Wielogodzinne rozmowy ze specjalistą pomogły Marii stawić czoła domowemu tyranowi przed sądem. Prawnikom udało się doprowadzić do skazania mężczyzny na cztery lata bezwzględnego więzienia, Maria uzyskała rozwód z orzeczeniem o alimentach, a były mąż został także eksmitowany z ich mieszkania. Obecnie kończy się sprawa o podział majątku. Przez cały czas Maria korzystała z pomocy Funduszu Sprawiedliwości. Jak podkreślają pracownicy ośrodka, kobieta przeszła niezwykle długą drogę – z osoby w skrajnej depresji i z poważnymi objawami psychosomatycznymi z każdym dniem zmienia się w coraz silniejszą i powraca do normalnego funkcjonowania. Nadal korzysta ze wsparcia Funduszu Sprawiedliwości. ●

Redaktor dodatku: Anna Raciniewska (wGospodarce.pl, Gazeta Bankowa)

eprasa.pl 2c3010439d



Huawei zapewnia o otwartości i transparentności

W minionym tygodniu w Brukseli uruchomiono Centrum Przejrzystości i Bezpieczeństwa Cybernetycznego Huawei. Ma ono realnie pomóc dbać o cyberbezpieczeństwo i rozwój edukacji w obszarze nowych technologii. Ma ono też pomóc samej firmie w odzyskaniu zaufania, które mocno ostatnio ucierpiało. W wielu krajach rządzący zmieniają zdanie na temat operatora i podpisują kolejne umowy na budowanie technologii 5G

Typowy obywatel nie jest w stanie powiedzieć z pełnym przekonaniem, czy ciąg ostatnich wydarzeń związanych z oskarżeniami Huawei o szpiegostwo przez władze i służby USA w wielu ważniejszych krajach świata był podstawny, czy był jakąś desperacką próbą zablokowania Chin w globalnym wyścigu o przewagę technologiczną. W tym wyścigu z trzech globalnych potęg – czyli Ameryki, krajów UE i Chin – to Amerykanie są najbardziej w tyle. W USA, jak podały media w minionym tygodniu, Huawei przechodzi do ofensywy i pozwie rząd Stanów Zjednoczonych za wysuwanie poważnych i bezpodstawnych oskarżeń, bez przedstawiania dowodów. Z drugiej strony Chiny są z definicji (oraz z innych powodów) raczej zamknięte i nie budzą pełnego zaufania na Zachodzie. Należy jednak podkreślić, że w ostatnim czasie firma podpisała ponad 30 umów na budowę sieci 5G, w tym 18 umów w UE. Koncern Huawei wszedł w fazę masowego wdrożenia 5G w UE, w takich krajach jak Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Włochy, Finlandia, Portugalia, Irlandia itd. W samej Wielkiej Brytanii Huawei obsługuje w tym zakresie cztery operatorów telekomunikacyjnych.

„Centrum w Brukseli będzie stanowić platformę lepszej komunikacji ze wszystkimi klientami, a przede wszystkim rządami zainteresowanych krajów. Huawei udowadnia, że jest niezależnym i bezpiecznym partnerem oraz dostawcą. Stworzyliśmy także dedykowaną platformę do dyskusji i zachęcamy wszystkich do korzystania z niej. Razem uda nam się zwiększyć bezpieczeństwo w całym systemie i zbudować wzajemne zrozumienie" – powiedział Ken Hu, rotating chairman w Huawei.

Centrum ma być pomostem w komunikacji koncernu z sektorem rządowym i korporacyjnym. Eksperci Huawei pomogą sprawdzić i wyjaśnić wątpliwości pod kątem bezpieczeństwa oraz zabezpieczenia różnych rozwiązań firmy. Jest to jednocześnie centrum edukacyjne o najnowszych technologiach, sieci 5G, Internecie Rzeczy, rozwiązaniach chmurowych oraz innych. Klienci korporacyjni będą mogli też sprawdzić w nim bezpośrednio cyberbezpieczeństwo rozwiązań, z których aktualnie korzysta.

„Patrząc na ostatnie wydarzenia, staje się jasne, że uruchomienie takiego ośrodka jest teraz ważniejsze niż kiedykolwiek. Zaufanie to fundament, ale wraz z rozwojem technologii o zaufanie jest coraz trudniej" – powiedział Ken Hu, rotating chairman w Huawei. „Trzeba wypracować nowe standardy i kompetencje cyfrowe. To wyzwanie dla całego społeczeństwa. W niektórych krajach brakuje rozwiązań prawnych dla kwestii cyberbezpieczeństwa. Zdajemy sobie z tego sprawę, dlatego potrzebujemy dialogu i wzajemnego zrozumienia. Musimy pracować tu razem" – dodał.

Jak określił, w kwestii ochrony danych GDPR (RODO) jest pewnym złotym standardem i wszyscy powinni się go trzymać, do czego w Huawei przywiązuje się największą wagę. Podczas konferencji padło też wiele zapewnień. Jak powiedział już Ren Zhengfei, założyciel firmy Huawei, prędzej zamknąłby firmę, niż władzom w Pekinie oddał dane.

„Mamy trzy sposoby testowania. Fizyczny dostęp do naszego kodu, do naszych klejnotów koronnych. Każdy może zweryfikować swój sprzęt w jakikolwiek sposób, szukając czegokolwiek według niego podejrzanego" – wyjaśnił John Suffolk, global cybersecurity and privacy officer w Huawei.

Jak podkreślają władze firmy, jeśli ktoś uważa, że ewentualne wyjaśnienia i sposoby testowania bezpieczeństwa sprzętu są wątpliwe, koncern jest otwarty na nowe podmioty i zaprasza je do rozmowy. „Jesteśmy otwarci na nowe pomysły na testowanie" – mówią władze Huawei. Miesiąc temu, podczas warszawskiego spotkania z Andym Purdym, szefem bezpieczeństwa Huawei Technologies USA, sugerowano, że takie centrum mogłoby powstać również w Polsce. Czy polski rząd skorzysta z tej propozycji?

37/0219/F

eprasa.pl 2c3010439d



Mimo że mamy jeszcze kalendarzową zimę, a więc okres oficjalnego spoczynku, ten i ów rozpoczął już przygotowania do wiosny. O tej porze roku przejawy życia są jednak nieoczywiste, trudne do wychwycenia i tym bardziej intrygujące. Żeby je odnaleźć, trzeba się udać w odpowiednie miejsca w odpowiednim czasie

Wiosna utajona w zimie



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zanim nadejdzie świt i pierwszy brzask rozjaśni niebo, kończą się całonocne harce. Na śniegu albo na mokrej ziemi pozostaje tylko plątanina zawiłych, krzyżujących się, pozornie bezsensownie nakreślonych linii, w rzeczywistości będących zapisem namiętności, pościgów, ucieczek i najzwyklejszych bójek o samiczkę, po których na suchych badylach zostają tylko kępy wyszarpanej bez pardonu turzycy. Wraz z nastaniem dnia czar znika, a rozhowory pozostają tajemnicą uczestników: dla niewtajemniczonych arena turniejowych zmagań i miłosnych pogoni aż do nadejścia kolejnej nocy staje się po prostu polem, ugorem albo poszarzałą łąką. Długouche gachy i kocice kołują jeszcze o świcie dla zmylenia tropu, po czym nagłym susem w bok skaczą w przytulną kotlinę.

Gach, czyli samiec zająca europejskiego *Lepus europaeus*, kocica, czyli samica. Wywodzące się z tradycji słownictwo zajęcze jest wyjątkowo bogate. Turzyca to sierść, nogi – skoki, oczy – trzeszcze albo gały, ogon to omyk, a kotlinka oznacza legowisko. Polecam lekturę książki Adolfa Dygasińskiego o tytule „Zając". Mimo że ukazała się grubo ponad sto lat temu, nie straciła aktualności, jeśli chodzi o przedstawienie zajęczej doli.

Parkoty to okres godowy zajęcy, który może się zacząć już w styczniu. Zajęcze zaloty odbywają się głównie nocą, więc z reguły uchodzą naszej uwadze. Oprócz uganiania się po polach samce rywalizują z sobą, boksując się, stając na tylnych łapach i okładając się przednimi. Pierwsze młode zajączki, owoc tych amorów, mogą przyjść na świat już w marcu – nazywane są wówczas marczakami.

WIELKA ŻABA POD MOSTEM

Pierwszymi spośród płazów, które budzą się czasem jeszcze w zimie, są żaby trawne *Rana temporaria*. Jesienią zakopują się w mule zbiorników wodnych i obniżają swój metabolizm, aktywność mózgu i czynności życiowe tak dalece, że te oddychające przecież płucami zwierzęta potrafią w podwodno-lodowym świecie dotrwać zahibernowane do roztopów. Niekiedy widuje się żaby trawne pływające niemrawo pod prześwietlonym promieniami słońca lodem, który nie zdążył się jeszcze roztopić, albo takie, które nagły spadek temperatury zaskoczył i na powrót skuł w lodowej pułapce.

Czasem wiosenne żaby można spotkać w zupełnie niespodziewanym miejscu. Szukając przestrzeni do złożenia skrzeku, urządzają sobie wyprawy po okolicy, odwiedzając wszystkie zakątki, w których choć trochę pachnie wilgocią. Często są to poszukiwania bezskuteczne, bo mokradeł, bagienek czy nawet odpowiednio głębokich, okresowo napełniających się wodą kałuż ubywa

eprasa.pl 2c3010439d

Któregoś zimowego jeszcze dnia, kierowany zwykłą ciekawością, zajrzałem pod mostek, pod którym przez park w środku miasta przepływał strumyk. Kiedy oczy przestawiły się na mrok panujący w rurze, zorientowałem się, że coś mi się przygląda

na skutek zasypywania, zanieczyszczania i osuszania; nowe miejsca natomiast powstają bardzo rzadko.

Któregoś zimowego jeszcze dnia, kierowany zwykłą ciekawością, zajrzałem pod mostek, pod którym przez park w środku miasta przepływał strumyk. Mostek był zresztą raczej przepustem, a strumyk cienką wstążką wody. Kiedy oczy przestawiły się na mrok panujący w rurze, zorientowałem się, że coś mi się przygląda. Była to wielka żaba, zapewne samica gotowa do złożenia skrzeku. Siedziała w jedynym wypłukanym przez prąd wody miejscu, w którym woda była na tyle głęboka, żeby ją przykryć.

Wyglądała na zagubioną, więc zastanowiłem się, czy nie przenieść jej w inne, dogodniejsze miejsce, do jakiegoś błotnistego stawu, w którym byłaby szczęśliwa, ale zrezygnowałem z tego zamiaru – a co, jeżeli była ostatnią żabą w okolicy, ostatnią nadzieją na odrodzenie żabiej populacji?

KWIAT LESZCZYNY

Powszechnie znanym kwiatem leszczyny pospolitej *Corylus avellana* są długie, sypiące siarkowożółtym pyłkiem kotki. Co ciekawe, zaczynają rosnąć niekiedy już w styczniu. Od jesieni małe i niepozorne, w pewnym momencie, nawet gdy dookoła leży śnieg, a temperatura nie przekracza zera, wydłużają się i nabierają koloru. Wydawać by się mogło, że drewniane pędy leszczyny są całkiem pozbawione życia, które utaiło się w śpiących pączkach i korzeniach; a jednak nie może tak być, coś musiało się w leszczynie przebudzić, skoro kotki rosną z dnia na dzień.

To kwiaty męskie. Oprócz nich leszczyna wytwarza kwiaty żeńskie, niemal tak tajemnicze jak kwiat paproci, tylko pojawiające się o zupełnie innej porze roku, u schyłku zimy. Są maleńkie, trochę większe od główki zapałki, skryte w pączkach, z których wystają tylko malutkie, czerwone pióropusiki czekające na pyłek znamiona kwiatów.

STRIX ZNACZY STRZYGA

Najczęstszą polską sową jest puszczyk zwyczajny *Strix aluco*. Najczęstszą, co nie znaczy, że często zdajemy sobie sprawę z zaskakująco niekiedy bliskiego sąsiedztwa. Puszczyki zamieszkują lasy, ale i parki z dziuplastymi drzewami; trafiają się w różnego rodzaju otworach w budynkach i w centrach miast, występując niejednokrotnie całkiem licznie, lecz zawsze w sposób skryty. Ta skrytość, nocny tryb życia, niesamowity głos i aura tajemnicy sprawiły, że puszczyk otrzymał intrygującą nazwę *Strix*, czyli strzyga.

Przedwiośnie jest dobrym czasem na to, żeby wytropić puszczyki w swojej okolicy. Należą bowiem do ptaków, które wcześnie rozpoczynają przygotowania do lęgów, polegające przede wszystkim na zajęciu terytorium i oznakowaniu go za pomocą głosu. W zasadzie ustalenie praw do rewiru odbywa się już jesienią; pod koniec zimy natomiast mają miejsce sowie gody.

Niekiedy wystarczy wyjść przed dom albo na balkon i w pogodną, bezwietrzną noc posłuchać. W dobrych warunkach klasyczne pohukiwanie (dopiero wtedy słychać wszystkie ukryte w nim tony i wibracje) niesie się na ponad kilometr – w warunkach miejskich oczywiście głos puszczyka ma mniejszy zasięg. To, że puszczyka nie usłyszymy za pierwszym, drugim czy trzecim nasłuchiwaniem, nie znaczy, że nie ma go w okolicy, potrzebna jest cierpliwość – inwentaryzacje ornitologiczne pokazują, że najprawdopodobniej każdej nocy lata bezszelestnie całkiem niedaleko nas i gdzieś tam ma ukrytą dziuplę, w której już niedługo pojawią się najpierw okrągłe, białe jaja, a później puchate pisklęta.

Małe puszczyki, zanim jeszcze nauczą się latać, opuszczają dziuplę i przez parę dni przesiadują na gałęziach, czekając na karmiących je rodziców. Chociaż dzieje się to wczesną wiosną, może zaskoczyć je nawrót zimy – pamiętam trzy takie już wyrośnięte, ale jeszcze nielotne puszczyki, siedzące cierpliwie rządkiem skrzydło w skrzydło w koronie lipy w gęsto padających, grubych płatkach mokrego śniegu, patrzące w dół wielkimi, ciemnymi, sowimi oczami.



Żaba trawna nad brzegiem strumienia...

Fot. Shutterstock, Przemysław Barszcz

eprasa.pl 2c3010439d

W sam raz



MACIEJ MIKOŁAJCZYK AKTOR*

Najbardziej smakuje mi teraz miłość. Nic więcej nie mogę powiedzieć. No, może poza tym, że gotować też warto z sercem.

Mówią, że na to nie wyglądam, ale uwielbiam słodycze. Zwłaszcza czekoladę. Mleczną. Najbardziej taką z nadzieniem. Lubię jedzenie dobrze i smacznie nadziane [śmiech].

Nigdy nie odczułem braku czekolady. Jedynym ograniczeniem było to, że w pewnym okresie życia sam po nią nie mogłem sięgnąć. A bardzo cenię w życiu samodzielność. I samowystarczalność.

Jestem zwykłym chłopakiem z Podlasia. Kiedy myślę „kulinarnie" o rodzinnym domu, to od najwcześniejszych lat na pierwszym miejscu widzę babkę ziemniaczaną. Robioną przez tatę. Czy miała tajny składnik? Myślę, że wspomnianą już miłość. To najlepsza przyprawa.

Studenckie lata (jestem absolwentem Akademii Teatralnej w Warszawie) kojarzą mi się ze „smakiem" spalin, potu i ciężkiej pracy. Ale też oddalenia. I – na początku – nowego, zupełnie nieznanego świata, całkowicie obcego. Jednak po krótkim czasie pojawił się też smak nowego miejsca, nowego domu.

Lubię podróżować, ale nie mam na koncie żadnej spektakularnej trasy. To jeszcze przede mną. Byłem za to w Stanach i w różnych częściach Europy. Nie przywiozłem z tych wyjazdów wyjątkowych doznań smakowych. Chociaż... jak się chwilę zastanowić, to w Nowym Jorku jadłem megawielkie fryty. Były jakoś supernagradzane i rzeczywiście miały nietypowy smak, zdecydowanie inny od sieciówkowej oferty, ale też od frytek robionych w domu.

Uwielbiam Polskę. Uważam, że to kraj piękny i ciekawy, także dlatego, że tak bardzo zróżnicowany. Inna jest filozofia życia ludzi na południu, na północy i w centrum. Inne są też smaki i zachowania. Wiem, że jak ludzie przyjeżdżają na Podlasie, to szukają m.in. babki ziemniaczanej. Ja nie mam regionalnych potraw, które zamawiam, trafiając w różne rejony kraju. Kiedy jestem w drodze (jeździmy ze spektaklem teatru Capitol „Goło i wesoło"), próbuję różnych dań. I mogę potwierdzić: mamy w Polsce naprawdę mnóstwo fantastycznej kuchni i przepysznego jedzenia. Poza tym ważne jest siadanie do stołu w dobrym towarzystwie.

Lubię gotować. Czas studencki wymaga pewnej samodzielności również w tej dziedzinie. Niektórzy się na to załapują. Tak było ze mną. Coś tam sobie pichciłem, szukałem nowych smaków. Sprawiało mi to, i nadal sprawia, wielką frajdę.

Znajomi chwalą moją focaccię, ale mogę też „sprzedać" przepis na babkę ziemniaczaną. Oczywiście, jak już mówiliśmy, warto ją robić z sercem. I wyważyć składniki, żeby po upieczeniu miała optymalną konsystencję. Nie była za sucha, za mokra ani za tłusta. Po prostu w sam raz.

Notowała ***Jolanta*** *Gajda-Zadworna*

Babka ziemniaczana

Podaję proporcje, które u mnie zagrały. Miska ziemniaków (nie wiem, ile ma moja, ale wypełniam ją w całości). Do tego: 2,5 łyżki mąki pszennej, 2 jajka, 3 średnie cebule (posiekane lub przetarte), łyżeczka soli (ci, którzy wolą bardziej słone, dają łyżkę soli, ale trzeba uważać), 300 g pokrojonego w kostkę podsmażonego boczku, 2 duże ząbki czosnku, łyżeczka pieprzu, 2–3 łyżki stopionego smalcu (podlaska kuchnia bez niego nie istnieje, dodaje charakterystycznego posmaku, ale można z niego zrezygnować lub zastąpić go 3–4 łyżkami oleju). Wszystko mieszamy, a potem pieczemy przez 1 godz. i 20 min w 180 stopniach na środkowej półce piekarnika.



Fot. Gałązka/AKPA, Shutterstock

** Można go oglądać m.in. w serialach „Echo serca" i „Korona królów"*

eprasa.pl 2c3010439d

SŁODKO-SŁONY



Pieczone banany

Fot. Shutterstock

ANNA MONICKA

Dieta bananowa robi ostatnio prawdziwą furorę, może dlatego, że kojarzy się z bananowym stylem życia, czyli radosnym nicnierobieniem i leżeniem brzuchem do góry. Tak naprawdę jest zdrową odsłoną wiosennego detoksu, a do tego poprawia humor, bo owoce są bogate w potas i witaminy z grupy B (zawierają także sporo magnezu, miedzi, beta-karotenu) oraz sprawia, że jesteśmy mniej zmęczeni. W marcu, gdy naszych sezonowych warzyw i owoców jeszcze nie ma, to bardzo dobra wiadomość.

Chociaż ja jednoskładnikowych diet raczej unikam, bananowa mnie skusiła, bo można wybrać wariant trzydniowy na przykład i przez weekend jeść banany, zagryzać płatkami owsianymi (pełnią funkcję miotły w jelitach, pomagają usunąć zanieczyszczenia), jogurtem naturalnym i popijać wodą. Głodu się nie czuje, bo owoce są kaloryczne i bogate w białko. Doskwierać może jedynie nuda, bo jednak z bananem nie poszalejesz, ale da się wytrzymać. Na osłodę jest miód – odrobina na wzmocnienie – i waga, która rzeczywiście spada, a człowiek czuje się lżejszy.

Jakie banany wybierać? Jeśli przejmujemy się dietami, najlepiej te niezbyt dojrzałe, ze skórką jeszcze zielonkawą, bo takie zawierają skrobię, której nie trawimy, więc wchłaniamy mniej kalorii. Są też dobre dla jelit. Im bardziej dojrzałe, tym robią się słodsze i więcej w nich cukrów, a mniej witamin. Im bardziej żółte, nawet z brązowymi plamkami, tym mocniej wspierają naszą odporność. One też najbardziej pomagają w sytuacjach stresowych.

Tak więc – banan dziennie działa jak najlepsza witamina i zastępuje jeden posiłek. Warto je dawać dzieciom do szkoły i samemu jeść na śniadanie – i to pierwsze, i to drugie. Bananowe koktajle z pomarańczą, jabłkiem czy truskawkami można potraktować jak zupę.

Ja polecam deser z pieczonych minibananów, które są słodsze i mają bardziej skondensowany smak. Robimy go dosłownie w pięć minut – owoce obieramy i układamy na rozgrzanym maśle klarowanym na patelni. Posypujemy cukrem kokosowym, który doskonale się karmelizuje. Delikatnie przekładamy szczypcami. Podajemy polane rumem lub brandy i podpalone! Można obok ułożyć lody, ciasto. Taki deser może być ukoronowaniem rodzinnej imprezy.

WILCZYM OKIEM

Benedykt, Mongołowie i tarty chrzan

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Niemal 800 lat temu, w Wielkanoc 1245 r., z Lyonu wyruszyła wyprawa. Niewiele było podróży w dziejach świata, które byłyby bardziej znaczące, niezwykłe, straceńcze i epickie. Kto wie, czy nie uratowała Europy.

Wyprawę odbyli dwaj franciszkanie: Włoch Jan Carpini i Benedykt Polak. Podróż trwała dwa lata i siedem miesięcy. Przebyli blisko 20 tysięcy kilometrów, śpiąc na stepie i budząc się pod warstwą śniegu, żywiąc się zbieranymi nasionami i wodą z roztapianego lodu. Polak i Włoch jako pierwsi Europejczycy dotarli do Charchorin (Karakorum) – serca Mongolii. Byli świadkami wyboru Gujuka na kolejnego wielkiego chana, na które to wydarzenie stawiła się cała Azja (imperium mongolskie było dwa razy większe od dzisiejszej Rosji).

Wyruszając, nie mieli pojęcia, jak długa droga ich czeka, nie mieli map, zapasów jedzenia, karawany ze sprzętem itp. Wyruszali w nieznane – w nieznane i zatrważające bardziej, niż możemy sobie wyobrazić, bo ówcześni Mongołowie w Europie byli postrzegani jako straszniejsza wersja wilkołaków i poważnie rozważano jako jedną z możliwości, że przyszli z piekła, żeby zakończyć dzieje świata.

Franciszkanom nie udało się nawrócić wielkiego chana – taką misję powierzył im papież – zebrali jednak wielką ilość informacji na temat Mongołów, sposobów walki, uzbrojenia, obyczajów, organizacji państwa, zamiarów – taka była tajna część ich misji. Mongołowie nie byli już niezrozumiałymi, przerażającymi istotami z czeluści, okazali się ludźmi: wprawdzie niestrudzonymi w walce i jeździe, stosującymi wymyślne podstępy i terror – ale ludźmi, których można pokonać.

Benedykt Polak, opisując Mongołów, stwierdził, że „nie jedzą chleba ani warzyw, ani owoców, ani roślin strączkowych, ani niczego innego niż mięso [...] mleko klaczy piją w ogromnej ilości".

Dziś Mongołowie złagodnieli; nie palą miast, nie usypują gór z czaszek ani nie obcinają uszu w celu zliczenia zabitych wrogów. Jednym słowem zmienili się, nie zmienili jednak swojej diety: tłuste mięso i końskie mleko.

Z jednym zadziwiającym wyjątkiem – niesamowitą popularnością wśród potomków Czyngis-chana cieszą się przetwory z Polski – kiszone ogórki, buraczki, papryka, chrzan, kompoty.

eprasa.pl 2c3010439d

Czego nie mówią pomniki?



Centrum stolicy, najbardziej prestiżowe dzielnice – to miejsca pomników. Tak jest w Rzymie, Paryżu, Londynie, Madrycie, Waszyngtonie i wielu innych stolicach narodów, które chcą być sobą. Które są dumne ze swej przeszłości i chcą swym dzieciom, swym gościom i sobie samym opowiadać, kim byli, co zbudowali, jakie wartości nieśli światu.

Spacer po centrach stolic takich narodów to nieustanna, dostępna dla milionów lekcja historii i tożsamości. Ludzie wyniesieni na pomniki opowiadają, prowokują pytania, zachęcają do sięgania po ciąg dalszy opowieści. Naród mówi przez pomniki, które stawia. Jaki był i – co ważniejsze – jaki chce być. Gdy pomników nie ma, naród milczy. Wstydzi się albo nie wie, co powiedzieć.

Naród mówi przez pomniki, które stawia. Jaki był i – co ważniejsze – jaki chce być. Gdy pomników nie ma, naród milczy. Wstydzi się albo nie wie, co powiedzieć

Wyśmiewacze „pomnikomanii" tego nie rozumieją albo nie chcą, by Polacy byli sobą – narodem, który ma przyszłość, a nie jedynie egzystencję we wstydliwym zapomnieniu, kim kiedyś był. Nie mają racji, że to na świecie moda miniona. Wręcz przeciwnie – w zalewie globalizacji miasta właśnie szukają tożsamości, zapełniania przestrzeni symbolicznymi znakami, które ogniskują świadomość.

Warszawskich pomników jest mało, wiele pochowanych w krzakach. A wielu nie ma w ogóle. Jakbyśmy chcieli nie wiedzieć. Za to obie syreny piękne i w dobrych miejscach. Ta nadwiślańska jest portretem Krystyny Krahelskiej, poetki, żołnierza AK, która zginęła w drugim dniu powstania. Ale kto pamięta, że pomnik zbudowany w roku 1939 miał być inny? Wizjonerski projekt Ludwiki Nitschowej, który wygrał konkurs, zakładał, że będzie to kilkunastometrowa statua z zielonego szkła, od środka podświetlana i umieszczona... na środku Wisły. Z realizacji zrezygnowano z powodu kosztów. Gdybyśmy mieli wyobraźnię, rozmach i odwagę, by zrealizować ów projekt teraz, były ogromną atrakcją i ikoną miasta rozpoznawalną na całym świecie.

Wiele warszawskich monumentów jest smutnych. Piłsudski ma dwa pomniki – na obu głowa nisko spuszczona. Podobnie zatroskani Prus i prymas Wyszyński. A wielu bohaterów jest pochowanych po krzakach. Piotr Wysocki ma małą głowę na uboczu w Łazienkach, „Inka" jest zepchnięta na teren parafii na Woli, Reagan przycupnął za drzewami, a przecież Polska zawdzięcza mu nie mniej niż Wilsonowi. Curie-Skłodowska gdzieś jest, ale nie wiadomo gdzie. Paderewski siedzi w parku zamaskowany, podobnie Sienkiewicz, choć jego pomnik powinien stać na wielkim placu, a u jego cokołu wartę powinni pełnić Zbyszko, Jurand, Ligia, Ursus, Kmicic, Zagłoba, Baśka i Wołodyjowski.

Nawet konny pomnik zwycięskiego Jana III Sobieskiego też upchnięty na pustkowiu Agrykoli, gdzie widzi o promil. Pomnik Jazdy Polskiej ładny, ale skromniutki (dwa koniki zaledwie), na kolumience bardzo wysokiej, poza sferą postrzegania, prawie jakby go nie było. Udany pomnik Niebieskiej Armii gdzieś na żoliborskim osiedlu, wyrzucony poza centrum. Kościuszko niby na Osi Saskiej, ale też bardziej między blokami, poza strefą życia miasta. Kiedy i gdzie powstanie Łuk Triumfalny Bitwy Warszawskiej, wciąż nie wiadomo. Na pomnik Polaków ratujących Żydów też wciąż czekamy.

Nie ma autonarracji, którą skutecznie prowadzą inne narody. Największe place stolicy (Narutowicza, Zawiszy, Dmowskiego, Unii, Zbawiciela, Konstytucji, Grzybowski, Inwalidów, Wilsona, Rynek Nowego Miasta) stoją puste. Dlaczego w Warszawie nie ma pomnika Mieszka I, skoro uznajemy, że od niego zaczęła się Polska? Albo pierwszego koronowanego króla Bolesława Chrobrego? A twórcy idei tolerancji religijnej i prawa międzynarodowego Pawła Włodkowica, który na największym forum świata, na soborze w Konstancji, pokonał Krzyżaków intelektem? Czemu nie ma pogromcy Moskwy, hetmana Żółkiewskiego? Świetnego króla Władysława IV? Ojców polskiej literatury Reja i Kochanowskiego? Krasickiego? Reytana? Krasińskiego? Fredry? Pułaskiego? Traugutta? Dunin-Wąsowicza? Hallera? Żeromskiego? Ligi Kobiet Pogotowia Wojennego? Dziewczyn z Polskiej Organizacji Wojskowej? Maksymiliana Kolbego? Modrzejewskiej? Leśmiana? Hemara? Kusocińskiego? Kutrzeby? Maczka? Witolda Urbanowicza albo całego Dywizjonu 303? Odkrywców tajemnicy Enigmy? Czochralskiego? Pileckiego? Herberta?

Nie opowiadamy światu ani sobie samym, co takiego zrobili i czego chcemy się od nich nauczyć. Jeśli pomniki zwycięskie i dumne, pomniki bohaterów, kreatorów narodowej świadomości oraz ojców niepodległości chowamy w krzakach, to w krzakach będzie nasze miejsce.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 2c3010439d

Stabilne ceny prądu dla gospodarstw domowych

W 2019 r. ceny energii elektrycznej dla klientów indywidualnych Enei nie wzrosną i pozostaną na tym samym poziomie jak w roku 2018. Zapewniają to przyjęte nowe regulacje ustawowe, które mają zastosowanie od 1 stycznia 2019 r.

Zgodnie z ustawą cena za kWh energii elektrycznej w tym roku pozostaje na poziomie cen stosowanych w 2018 r. W efekcie ceny energii elektrycznej znajdujące się na fakturach klientów indywidualnych Enei będą takie same, jak ceny stosowane w 2018 r. Zdecydowana większość klientów już otrzymała lub w najbliższym czasie otrzyma takie faktury, a pozostała nieliczna część otrzyma niebawem stosowne korekty, zgodnie z zapisami ustawy. W związku z tym klienci Enei nie muszą podejmować żadnych działań. Spółka realizuje zapisy ustawy gwarantującej stabilne ceny prądu przez cały 2019 r.

Nowi klienci, którzy chcą zawrzeć umowę z Eneą, mogą to zrobić osobiście w Biurach Obsługi Klienta, za pośrednictwem infolinii, dzwoniąc pod numer 611 111 111 lub zamawiając przez stronę www.enea.pl kontakt z konsultantem. Nowe umowy są zawierane na warunkach określonych przez ustawę, zgodnie ze wszystkimi jej zapisami. W ofercie Enei dla klientów indywidualnych znajduje się szeroka gama produktów, w której można znaleźć takie gwarantujące niezmienność cen energii na kolejne lata, zawierające ciekawą ofertę pomocy fachowców czy też nowoczesne zestawy Smart Home. Dla klientów ceniących ekologiczne rozwiązania firma przygotowała pakiet Enea Eco z możliwością korzystania z pieców elektrycznych, pomp ciepła czy też paneli fotowoltaicznych.

Najwygodniejszym sposobem na bieżące śledzenie swoich płatności i wysokości rachunków za energię elektryczną jest korzystanie z elektronicznego Biura Obsługi Klienta eBOK. To łatwa i szybka droga kontaktu z Eneą. Za pośrednictwem tego narzędzia klienci mogą również opłacać faktury, zamawiać kody do liczników przedpłatowych czy składać zapytania w sprawach związanych ze swoją umową. – Nasz eBOK to doskonały sposób na załatwianie spraw w Enei, dostępny 24 godziny na dobę, przez 7 dni w tygodniu i 365 dni w roku. Zachęcam do korzystania z tej nowoczesnej formy kontaktu – podkreśla Piotr Adamczak, wiceprezes ds. handlowych Enei.



Fot. Shutterstock | 2/0219/F

Równocześnie z wykorzystywaniem tej komfortowej drogi kontaktu z Eneą można korzystać z faktury elektronicznej. Firma stale rozwija tego typu ekologiczne rozwiązania. Poza ograniczaniem wydruku i wysyłki faktur papierowych stopniowo zmniejszana jest liczba drukowanych blankietów wpłat dla klientów, którzy z nich nie korzystają. – Zmiany wprowadziliśmy po dokładnej analizie sposobów płatności naszych klientów. Na tej podstawie nadal wysyłamy blankiety tym, którzy z nich korzystają. Klientom, którzy stale opłacają rachunki za energię elektryczną, np. poprzez przelewy internetowe, sukcesywnie wycofujemy wysyłkę dodatkowych papierowych blankietów – wyjaśnia Piotr Adamczak.

Ustawa gwarantująca stabilne ceny prądu dotyczy nie tylko gospodarstw domowych, lecz również pozostałych klientów. Spółka prowadzi intensywne przygotowania, by wdrożyć niezbędne rozwiązania, które umożliwią zmianę warunków umownych dla tej grupy klientów. Nastąpi to poprzez zmianę cen i stawek opłat za energię elektryczną stosowanych w 2019 r. na podstawie ustawy lub wynikającego z jej treści właściwego rozporządzenia.

eprasa.pl 2c3010439d

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Brońmy normalności



Dwa totalitaryzmy XX w. – brunatny i czerwony – niewiele się od siebie różniły. Ich motorem napędowym była apoteoza walki: walki ras i walki klas. Oba totalitaryzmy dążyły do bezwzględnej dominacji w świecie, zniszczenia panującego ładu społecznego, narodów, rodziny, religii i zaprowadzenia własnej zbrodniczej ideologii. Świat nie uległ „rasie panów" ani nie zaakceptował powszechnego społeczeństwa bezklasowego. Niemiecki rasistowski, szowinistyczny fanatyzm zakończył się w Norymberdze, ale „widmo" materialistycznego bezbożnego komunizmu nadal krążyło po Europie. Bunt neomarksistów w 1968 r., tzw. marsz przez instytucje, doprowadził do nowej globalnej fazy zachodniej rewolucji kulturowej. Kolejny totalitaryzm dąży dziś do zniewolenia społeczeństw poprzez kulturę, daleko wyprzedzając dawne postulaty feministyczne. Na sztandarach globalnej rewolucji kulturowej tym razem hasła obejmujące szerokie sfery ludzkiej aktywności: polityka, edukacja, wychowanie, zdrowie, rozwój. Uruchomiono kolejny dziejowy motor niszczenia człowieka. Dawną walkę ras i klas ma dziś zastąpić walka płci, walka o równość płci, których jest prawie nieskończona ilość, czyli gender equality.

Nowa ideologia ma już własną terminologię, aksjologię, semantykę, język i instytucjonalne światowe prawo firmowane przez ONZ oraz Światową Organizację Zdrowia (WHO). Nowym paradygmatem są „prawa jednostki", a nie władza instytucjonalna. Hierarchię zastępuje enigmatyczna „równość", szczęście człowieka – „jakość życia", religię – „duchowość", edukację – „szkolenie", małżonka – „partner", rodziców – „reproduktorzy", jedność narodową – „wielokulturowość".

Korzystając z polskiego prawa, które władzę dzieli na państwową i samorządową, dając tej ostatniej szeroką autonomię, prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski podpisał Warszawską deklarację LGBT. Pierwszy przystąpił do realizacji neomarksizmu kulturowego. Edukacja w każdej szkole ma walczyć z dyskryminacją seksualną i otwierać się szeroko na seksualne uświadamianie, nawet tych najmłodszych. Środowiska LGBT otrzymają dotacje na „hostel interwencyjny", „centrum spotkań", osobny system wsparcia w walce z „mową nienawiści", własne „kluby sportowe" oraz specjalnego pełnomocnika prezydenta. Genderowy prezydent będzie stał na czele Parady Równości.

Nie dajmy się zwieść hasłom równości, równouprawnienia, walki z dyskryminacją, tolerancji itd. Chodzi o zdekonstruowanie, wręcz przeoranie, tradycyjnego w swych poglądach rozumnego polskiego społeczeństwa broniącego się przed dehumanizacją, deprawacją dzieci i młodzieży w myśl globalnych założeń ideologów gender. Ta ponoć prześladowana grupa spod znaku LGBT (lesbijki, geje, biseksualiści, transseksualiści) wyrywa dziś dla siebie dodatkowe prawa, jeszcze większą swobodę działania i bezkarność w szerzeniu deprawacji. Mniejszość chce zdominować neutralną (normalną) większość i zmusza ją do dodatkowych opłat z podatków. Hipokryzję i fałsz tzw. klauzul dyskryminacyjnych, kierowanych do firm i pracodawców współpracujących z miastem, ujawnia dyskryminacyjna zapowiedź wykluczenia z obrotu gospodarczego tych, którzy nie przystąpią do „tęczowych sieci pracowniczych". A za rasistowską wręcz można uznać zapowiedź wiceprezydenta Warszawy Pawła Rabieja bojkotu trójmiejskiej piekarni Grzegorza Pellowskiego procesującego się z „Gazetą Wyborczą" i wspierającego finansowo środowiska narodowe. Tupet i bezczelność tego homoseksualisty przejawia się też w jego twitterowej wypowiedzi: „Zrównanie osób LGBT z pedofilią będzie ścigane. Radzę ważyć te słowa". Ta zagrażająca wolności słowa wypowiedź wskazuje na prawdziwe intencje homoseksualnych zwolenników rewolucji seksualnej dążących do umocnienia i powiększenia swojego ideowego zaplecza. Wszelkie badania, także wśród duchowieństwa, dowodzą, że wśród homoseksualistów pokaźną grupę (do 50 proc.) stanowią pedofile. Związki homoseksualizmu z pedofilią to dziś jeszcze prawda niewygodna dla zwolenników seksualizacji dzieci i młodzieży oraz dla ludzi spod znaku LGBT. Na Zachodzie pary homoseksualne już dostają dzieci na wychowanie, a celem jest trwałe zalegalizowanie pedofilii.

Groźba Rabieja ma swoje realne podstawy. Protesty wobec marszów równości, odbieranych przez społeczeństwo jako propagowanie homoseksualizmu, kończyły się dla ich uczestników oskarżeniami o homofobię i „sianie nienawiści". Policja nie dopuszcza do zrywania tęczowych flag, jak było w Poznaniu, ale na polecenie władz miejskich likwiduje plakaty ostrzegające przed pedofilią.

Polskie społeczeństwo nie jest bierne. Ruch 4 Marca (R4M) domaga się wycofania deklaracji LGBT Trzaskowskiego. Powstają inne ruchy, szczególnie w miastach rządzonych przez liberalną, kosmopolityczną rewolucyjną lewicę. Nie wszystko jeszcze stracone.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl 2c3010439d

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Pomnik Mazowieckiego...



Witold Gadowski

Przez całe życie pracowicie wyczuwał tchnienia historii. Wynalazł nawet formułę, wedle której mógł zachować swoje poglądy, a tylko od czasu do czasu trochę się ześwinić na potrzeby – jak to się określało w „Dzienniku telewizyjnym" – „bieżącej potrzeby politycznej". Z tego okresu została mu na twarzy boleściwa maska, która zapewne miała wyrażać najwyższe duchowe rozterki. Nieoczekiwanie – także dla niego – wiatr historii począł go wyraźnie pchać w górę. W końcu nawet został „solidarnościowym" zamiennikiem Kiszczaka, który z powodów historyczno-politycznych nie mógł zostać premierem „pierwszego niekomunistycznego rządu po 1945 r.". Kiszczak zadowolił się wówczas wykupieniem służbowego samochodu, a „boleściwy" zasłynął przemówieniem o odkreślaniu przeszłości „grubą kreską".

W istocie miał co odkreślać, bo gdyby znalazł się wnikliwy archiwista, to rychło wywlekłby mu domaganie się surowej kary dla kieleckiego biskupa Kaczmarka czy też artykuły szkalujące żołnierzy antykomunistycznego podziemia po 1945 r. W początkach III RP, będącej w istocie republiką okrągłego stołu, boleściwa mina i katolickie ponoć poglądy (dziś pamiętam jedynie, jak storpedował próby założenia w Polsce partii chrześcijańsko-demokratycznej, używając oryginalnego łamańca logicznego zbudowanego na stwierdzeniu, że co prawda jest chrześcijaninem i demokratą, ale nie jest chrześcijańskim demokratą) wystarczyły, aby był premierem rządu, w którym Florian Siwicki był ministrem obrony narodowej, a Czesław Kiszczak – ministrem spraw wewnętrznych.

Bezbarwny wykonawca konceptów Bronisława Geremka i Jacka Kuronia. Tak zapisał się w beznamiętnej pamięci historycznej Polaków. Zbudowanie wokół niego mitu człowieka wartości, głębokiego humanisty i intelektualisty służyło jedynie zamykaniu ust tym, którzy w umowach okrągłego stołu od początku wietrzyli perfidną, antyniepodległościową grę. Mit Tadeusza Mazowieckiego blednie jednak z każdym rokiem, odsłaniając nieciekawą figurę człowieka, który bardziej niż komunistów obawiał się „narodowych radykałów". Tych ostatnich zresztą bez wytchnienia tępił.

Tym bardziej więc przecierałem uszy i oczy ze zdumienia, gdy usłyszałem, że prezydent Andrzej Duda chce doprowadzić do tego, aby w Warszawie stanął pomnik Mazowieckiego. Co ma symbolizować ten monument? Tchórzostwo? Chodzenie na układy z bezpieką czy tolerowanie we własnym rządzie agentów tejże? Mazowiecki stał się patronem tego nurtu politycznego, który teraz doprowadził do paradoksalnego odrodzenia się peerelowskiego PRON, znanego obecnie pod nazwą Koalicja Europejska. Jeśli w stolicy stanie jego pomnik, to niech będzie on żałosnym memento przypominającym, do czego prowadzą przyjacielskie układy z komunistami.

Margines



Lech Makowiecki

Coś, co jest tylko małą, nieistotną częścią większej zbiorowości, nazywamy marginesem. Określenie „margines społeczny" ma znaczenie pejoratywne i oznacza ludzi wykolejonych, naruszających przepisy prawa i normy współżycia społecznego. „Ludzie marginesu" zdarzali się zawsze i wszędzie; ot, taka subkultura, na którą – dla dobra ogółu – trzeba mieć szczególne baczenie. I przede wszystkim nie pozwolić jej na przekroczenie rozmiarów zagrażających istnieniu całej populacji. Gdy jednak ten margines się rozrasta i zaczyna dominować (staje się wręcz normą), dochodzi do przyspieszonego upadku danej cywilizacji. Historia ludzkości pełna jest walk dobra ze złem.

Ludzie od wieków starali się upowszechniać i egzekwować uniwersalne normy chroniące społeczeństwo przed patologią (kodeks Hammurabiego, prawo rzymskie, Dekalog itp.). Dwie ostatnie światowe hekatomby wojenne zdeptały wszystkie nakazy i zakazy Dziesięciorga Przykazań. Chwilowe otrzeźwienie ludzkości nie trwało długo. Kilkadziesiąt lat bez wojen wystarczyło, by zresetować większość wypracowanych i sprawdzonych odwiecznych norm postępowania. Dziś pozbawione busoli prawa, zdrowego rozsądku i moralności społeczeństwa Zachodu na wyścigi odcinają korzenie swej cywilizacji i rugują... normalność. Wprowadzana (ustawowo!) destrukcja tradycyjnego modelu rodziny i promowanie marginalnych dotąd zachowań (LGBT w szkołach!) przyspieszają proces demograficznej destrukcji. Otwarcie granic w celu „wymieszania ras" będzie de facto ich wymianą. Tym łatwiejszą, że gospodarze nie chcą się rozmnażać i nie umieją już się bronić. Czeka ich zatem los ofiar.

PS Kierujące się instynktem owady perfekcyjnie regulują populację swego mrowiska/roju. Królowe składają odpowiednią liczbę jaj i za pomocą feromonów ściśle regulują proporcje ilościowe np. między robotnicami a żołnierzami. Każde zaburzenie (choćby nadmiar trutni) zagraża tej kruchej stabilności...

eprasa.pl 2c3010439d

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Warunki normalności



Aleksander Nalaskowski

Aby było normalnie, potrzebne jest m.in. rzetelne wyjaśnienie zbrodni na ks. Jerzym Popiełuszce

Jedna ze studentek zapytała mnie po wykładzie, zupełnie nie à propos jego treści: „Panie profesorze, a kiedy w Polsce będzie normalnie?". Zbaraniałem, bo takie pytanie w ustach całkiem młodej osoby brzmi zaskakująco. Wszak młodzież nie pamięta komuny, słabo zna historię II RP, po łebkach II wojnę i ma zupełnie inne rozumienie normalności, co zresztą widać na każdym kroku. Ale powiedziałem, że się zastanowię i kiedyś odpowiem. Intrygujące wydaje mi się to, że ta młoda osoba, pytając o normalność, mimochodem wskazywała, że normalnie nie jest.

Każda sytuacja, dobra czy zła, ma jakieś swoje objawy, wskaźniki. Tak samo nienormalność ma takie chorągiewki znaczące chwile informacyjnie przełomowe. To znaczy takie momenty, w których orientujemy się, że coś jest nie tak, że coś urąga logice, a nade wszystko prawdzie. W pewnych wypadkach trudno oddzielić jedno od drugiego.

Moje osobiste chorągiewki ostrzegawczo-informacyjne wyglądają następująco. Od ich zdjęcia, a więc „wyleczenia" danej sytuacji, uzależniam własne poczucie społecznego dochodzenia do normalności.

Rzetelne wyjaśnienie zbrodni na ks. Jerzym Popiełuszce. Chyba już nikt o zdrowych zmysłach i otwartej głowie nie wierzy w baśnie tzw. procesu toruńskiego, w samodzielne działanie kwartetu zdesperowanych ubeków i brak nieujawnionych dowodów w sprawie. A nawet w datę śmierci kapłana. Póki tego nie wyjaśnimy, nie pozbędziemy się cienia Kiszczaka ani Jaruzelskiego. Jak się okazuje – długiego cienia. Jeśli nie pozbędziemy się pozoru wyjaśnienia, nie dotrzemy do prawdy i nie będzie normalnie.

Katastrofa smoleńska. Tu także potrzebne jest rzetelne i niezależne śledztwo w sprawie tragicznej śmierci prawie stu Polaków, w tym prezydenta RP. Łączę z tym zwrot wraku. Naszej, polskiej, własności, dowodu w sprawie tragedii i jednocześnie symbolu. Niemożność odebrania go Rosjanom jest tak samo symboliczna jak on sam.

Ekshumacje w Jedwabnem. Nie zgadzam się na ingerencję przedstawicieli jakiejkolwiek religii w czynności zlecane przez polskiego prokuratora. Chcę wiedzieć, co mówią dowody spoczywające w jedwabieńskiej ziemi. Oczekuję wszystkich informacji, absolutnie wszystkich, które mogą wyjaśnić tę zbrodnię. Bez względu na to, kogo te informacje miałyby obciążać i jakie prawdy prostować. Póki będziemy ulegali presji rabinów, póty chorągiewka z napisem „Jedwabne" będzie powiewała, świadcząc o nienormalności.

Oczekuję sankcji wobec osób publicznie lżących Polskę i Polaków. W zależności od sytuacji prawnej i możliwości administracyjnych należy je uznać za persona non grata albo rozważać możliwość pozbawienia polskiego obywatelstwa. Nie życzę sobie być współobywatelem z „profesorami", których tezy są głęboko odległe od metodologii badań i prawdy naukowej. Jakiekolwiek ich upowszechnianie stanowi utrwalanie naszej nienormalności.

Nienormalna jest dla mnie afirmacja homoseksualizmu. Nie może być zgody na publiczne manifestowanie tej orientacji (określenie „zboczenie" jest już wszak niedozwolone), homoparad, akceptacji homozwiązków, zabiegów o adopcję dzieci. Należy podjąć kroki prawne w celu delegalizacji organizacji tzw. LGBT jako promujących homoseksualizm i jednoznacznie negatywnie ocenić te skłonności w procesie nauczania w szkołach. Nie należy moim zdaniem dopuszczać do zawodu nauczycielskiego, stanu duchownego ani służb mundurowych osobników o orientacji homoseksualnej. Publiczny coming out homoseksualistów należy uznać za homopropagandę i takich osobników odcinać od wszelkich ośrodków opiniotwórczych. Homoseksualizm winien wrócić na zawsze do alkowy.

Aby było normalnie, należy przeprowadzić dekomunizację i lustrację w Polsce. To nic, że spóźnioną, bo wciąż konieczną. W tym zakresie nie może być nieodrobionych lekcji. W życiu publicznym nie może być miejsca dla dawnych działaczy PZPR, wojskowych politruków, propagandystów minionego systemu i kapusiów.

Należałoby przemyśleć utworzenie osobnego cmentarza zasłużonych dla ustrojowo socjalistycznej Polski. Tam winni ostatecznie spocząć komunistyczni właściciele naszego kraju, pospolici zbrodniarze komunistyczni i inni służący nieludzkiemu systemowi aparatczycy. W obrębie tego samego cmentarza nie ma miejsca dla Chruściela i Jaruzelskiego, dla Skalskiego i Berlinga, dla Sosabowskiego i Siwickiego, dla Szarych Szeregów i Ochaba, bo to panteon chwały, a nie niesławy. Tu też musi być normalnie.

Nie będzie normalnie, jeśli Polaków będą obowiązywały wizy do USA. Nie uwierzę w dobre intencje kolejnych prezydentów Stanów Zjednoczonych, jeśli będą bierni wobec tej kwestii. Tak nie traktuje się sojuszników.

Na pytanie, które z tych postulatów muszą być spełnione, abyśmy mogli powiedzieć, że wraca normalność, odpowiedź może być tylko jedna – wszystkie. Te i jeszcze inne chorągiewki oznaczające miny muszą po prostu zniknąć.

Autopromocja

eprasa.pl 2c3010439d

PRZEZ ŚWIETLIK

Sztachetą w sztafetę



Wiktor Świetlik

Trzeba stwierdzić jedno – sport pozostał z tyłu. I to nie tylko u nas. Jakiś czas temu wydawało się, że tylko Polska, jak zawsze, jest w awangardzie wstecznictwa, jest jak banda kułaków krytykująca reformę rolną, jest światowym obciachem. Tym bardziej tak się wydawało, kiedy niejaka Jóźwik narobiła nam wszystkim niepostępowej siary, bo nie mogła przełknąć, że nie ona jest najszybszą kobietą na 800 m, a kilka większych i nieco bardziej umięśnionych koleżanek uwięzionych w męskich ciałach. Potem się okazało, że jóźwikowanie jest zaraźliwe. Teraz narzekają kolejne niemoty z amerykańskich koledżów, które przegrywają z większymi od siebie o pół metra i zarośniętymi na twarzach koleżankami.

Wygląda na to, że mamy do czynienia z zarazą, ale źródło tej zarazy jest oczywiste. Polskie sportsmenki okazują się większym problemem niż Kaczyński przemnożony przez Morawieckiego. Najpierw do boju ruszyła Klepacka, której przeszkadza uczenie warszawskich czterolatków technik masturbacyjnych przez coachów z organizacji gejowskich. Co więcej, surferka delikatnie napomniana przez tolerancyjnych działaczy LGBT+ piszących do niej maile sugerujące, że następnym razem może skończyć nie na, ale pod deską, nie poprawiła się i zapowiedziała recydywę. Jakby lekcja udzielona Klepackiej przez sztafety szturmowe różowej tolerancji nie była dostateczna, zaraz potem śliczna, młoda dziewczyna z Żor zdobyła mistrzostwo Europy w biegu na 60 m, urządzając wcześniej demonstrację religijną. W dodatku nosi obrazoburcze nazwisko Swoboda. Potem doszła jeszcze inna biegaczka, która stwierdziła, że w najbardziej postępowym polskim mieście nie dba się o sport na tyle, że ona poszła do wojska. I to za czasów Macierewicza i Błaszczaka. Dochodzi kilku bokserów, którzy nie chcą iść ścieżką postępu wyznaczoną przez przyjaznego gejom Dariusza Michalczewskiego ani przez wybitne dziecię pięściarskiego olimpijczyka Szczerby. No i jeszcze siostry Radwańskie i ich mający w nosie poprawność polityczną padre, przy którym toruński padre to prawie lewica. Obraz przedstawia się raczej ponuro. Rodzimy sport nie nadąża z homoduchem czasu. Co gorsza – Polska jest źródłem ogólnoświatowej, antypostępowej zarazy.

Problem leży chyba w samej naturze dziedziny. Od lat o wartości dzieła sztuki nie decyduje uznanie odbiorców, ale akceptacja kuratorów. O jakości książki – docenienie przez krytyków, a nie gusta czytelników. O wzniosłości teorii filozoficznej czy społecznej – jej niezrozumiałość dla prostego, konserwatywnego chama. Reakcyjny historyk Paul Johnson wszedł kiedyś na wykład wielkiego filozofa Habermasa. Przeprowadził potem logiczny rozkład wykładu. Wyszło, że nic z niego nie wynika. Oto myślenie chama. Mamy takich swoich chamów, a nawet chamki w sporcie. Na szczęście wkrótce na swej drodze napotkają światłych edukatorów, którzy z wrodzoną sobie wrażliwością enkawudzistów wyjaśnią im, kto powinien wygrać.

A tak w ogóle ten cały sport należałoby zlikwidować. Ma w sobie coś archaicznego, a utożsamiający z sobą na siłę ciało i płeć zawodnicy z natury mają w sobie coś podejrzanego. Ponoć zdradziła nawet Martina Navrátilová, która choć lubi kobiety, także kieruje się reakcyjnym zdrowym rozsądkiem. Ani ona, ani Klepacka czy Jóźwik nie powinny mieć następczyń. Zamiast sportu można postawić na lekcje LGBT+ w każdej kamienicy. O ile wcześniej nie zostały zlikwidowane.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

Cały sport należałoby zlikwidować. Ma w sobie coś archaicznego, a utożsamiający z sobą na siłę ciało i płeć zawodnicy z natury mają w sobie coś podejrzanego

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

45/0219/F

eprasa.pl 2c3010439d



ZNP tam, gdzie stało ZOMO

Obecny protest ZNP (mimo w jakiejś mierze słusznych postulatów) napędzany jest ideologiczną nienawiścią obozu III RP wobec dobrej zmiany

JAN POSPIESZALSKI

Na 8 kwietnia szef ZNP Sławomir Broniarz zapowiedział „strajk szkolny". Terminem, którym w polskich dziejach nazwano bohaterskie protesty uczniów przeciw pruskim i sowieckim Kulturkampfom (Września – 1901, Miętne, Włoszczowa – 1984), dziś firmuje się polityczną akcję nauczycielskiego związku zawodowego o komunistycznym rodowodzie. Ideowe korzenie przewodniczącego ZNP wiele tłumaczą. Gdy w 1981 r. rozkwitała oświatowa „Solidarność", Sławomir Broniarz wybrał inny, zależny od PZPR, związek. Peerelowska władza doceniła wybór, bo przed ukończeniem 30. roku życia związkowiec objął funkcje wicedyrektora, a wkrótce dyrektora szkoły w Skierniewicach. Potem szef ZNP cały związek zapisał do SLD, a w latach rządów PO-PSL nie grzeszył zbytnią aktywnością. Nie ogłaszał strajku generalnego, gdy likwidowano setki szkół, nie palił opon, kiedy na kilka lat zamrożono nauczycielom płace (sam przecież zarabiał więcej niż minister). Aż nagle, od jesieni 2015 r., Broniarz przeżywa nadzwyczajne wzmożenie. Widzimy go na marszach KOD, podczas okupacji Sejmu na trybunie przy Wiejskiej, we wszystkich antyrządowych inicjatywach. Ideowo zawsze po stronie „postępu", chętnie wspiera środowisko LGBT. Kilka dni temu ogłosił datę rozpoczęcia ogólnopolskiego strajku, tuż przed egzaminami, tak by był najbardziej dokuczliwy. Jeżeli rząd się nie ugnie, od 8 kwietnia szkołom grozi paraliż, odwołanie egzaminów, dezorganizacja, dramatyczny chaos o trudnych do przewidzenia konsekwencjach.

Jakże inny był 8 kwietnia 35 lat temu w Zespole Szkół Rolniczych w Miętnem – pierwszy dzień zwycięstwa strajku 1984 r. To był prawdziwy strajk szkolny. Tego dnia uczniowie – uczestnicy trwającego ponad 100 dni protestu – zasiedli ponownie w ławkach. Ich powrót do klas poprzedziły dramatyczne zmagania w obronie krzyża z upartyjnioną kadrą szkoły, posłuszną rządom Kiszczaka i Jaruzelskiego. Gdy dyrekcja usunęła ze szkolnych ścian krzyże, uczniowie, wspierani przez sześcioro odważnych pedagogów, ogłosili protest, żądając powrotu krzyży. Władze szkoły oczywiście odmówiły, uczniowie więc przynieśli własne i powiesili w klasach. Kiedy tamte też zniknęły, przynieśli kolejne i, broniąc ich, pozostali w szkole, ogłaszając strajk okupacyjny. W walkę z uczniami, w złamanie oporu, zaangażowane były wszystkie siły: dyrekcja szkoły, partyjne władze województwa, bezpieka, resort rolnictwa, prokuratura. Gdy protestu dzieci nie udało się złamać, użyto oddziałów ZOMO. Uczniowie zmuszeni do opuszczenia szkoły w dramatycznym czterokilometrowym marszu zanieśli krzyże do kościoła parafialnego w Garwolinie. Tam sami też znaleźli schronienie. Szkołę rozwiązano, nauczycieli, którzy wsparli strajk, wyrzucono i ogłoszono nowy nabór. Warunkiem powrotu było podpisanie lojalki, czyli zgody na szkołę bez krzyża. Większość – 85 proc. uczniów (w tym maturzyści) – odmówiła. Tym samym skazali się na przerwę w edukacji, wielu na poniewierkę, próby szukania innej szkoły. Wysyłano za nimi wilcze listy. Ale pusta szkoła w Miętnem, pozbawiona uczniów, nie miała prawa bytu. Po negocjacjach, które odważnie prowadził ordynariusz siedlecki bp Jan Mazur, władze ustąpiły. 7 kwietnia do szkoły wrócił krzyż. Od 8 kwietnia z czystym sumieniem mogli wrócić uczniowie. Motywowana ideologiczną nienawiścią postawa szkolnych i peerelowskich władz poniosła klęskę.

Obecny protest ZNP (mimo w jakiejś mierze słusznych postulatów) napędzany jest ideologiczną nienawiścią obozu III RP wobec dobrej zmiany. Siłowe forsowanie politycznie motywowanych racji podobnie jak 35 lat temu odbywa się kosztem uczniów, ich prawa do spokojnego i zgodnego z wartościami procesu kształcenia. Nie mam złudzeń, że w prowadzonej równolegle w szkołach ofensywie neomarksistów, ZNP, który tytułem Nauczyciela Roku uhonorował pedagoga geja, opowie się przeciw chrześcijańskim wartościom. Tak samo jak ich ideowi poprzednicy, którzy zdejmowali krzyże w Miętnem. Czy wobec wdzierania się do szkół homopropagandy, uczniowie będą mogli liczyć na wsparcie obecnej większości parlamentarnej? Na razie główny opór wobec ataku na szkoły tęczowego ZOMO wzięli na siebie rodzice wspierani przez jedną (!) odważną małopolską kurator Barbarę Nowak. To nie jest dobra prognoza.

eprasa.pl 2c3010439d

Ratusz mekką nowych pedagogów



Jerzy ***Jachowicz***

„W małym miasteczku, gdzie wszyscy nie tylko się znają, lecz także wszyscy o wszystkich wiedzą, nie mam żadnych możliwości rozwinięcia swoich talentów pedagogicznych w kierunku kształtowania, zgodnego z wydaną przez Pana Prezydenta Kartą LGBT+, najmłodszego i średniego pokolenia szkolnego, naszego jakże dynamicznie rozwijającego się społeczeństwa" – to fragment listu, którego kopię udało mi się uzyskać w warszawskim ratuszu.

List ten wkrótce znajdzie się na Facebooku prezydenta Rafała Trzaskowskiego, aby zachęcić inne osoby do nawiązania współpracy z kuratorium warszawskiej oświaty, które wkrótce w przedszkolach i szkołach zacznie wdrażać nowy pogram, wyrównujący nasze zaniedbania kulturowe w respektowaniu europejskich standardów.

Oto fragment tego pisanego z potrzeby serca i szczerego niesienia kaganka postępu listu:

„Na zakończenie chcę wyznać, że osobiście nie mogłem na Pana głosować, ale do poparcia Pana w ostatnich wyborach namawiałem swoich warszawskich znajomych. Jakże cieszę się dziś wraz z nimi. W ich imieniu chciałbym też podziękować za to, że Pan nas nie zawiódł. Jestem bardzo zadowolony, że zamierza Pan uczestniczyć w rekrutacji na funkcję obserwatorów-latarników, czyli specjalistów, których zadaniem będzie edukacja antydyskryminacyjna, uwzględniająca tożsamość psychoseksualną i identyfikację płciową, jak i bezpośredni nadzór na tym nurtem kształcenia. W obydwu tych dziedzinach mam duże doświadczenie. Z teorią zetknąłem się na wydziale prawa UW, gdzie jeden z wykładowców prowadził zajęcia z problematyki związanej z LGBT. Wiedzę tę rozwijałem i pogłębiałem poza formalnymi strukturami w życiu prywatnym. Teraz pojawiła się wspaniała okazja, aby to potwierdzić w praktyce.

Chcę nadmienić, że kiedyś próbowałem nawiązać współpracę z Krzysztofem Bęgowskim, ale wkrótce zmienił nazwisko na Anna Grodzka. Mimo to podjąłem nową próbę aktywności społecznej w Sejmie. Miałem jednak pecha – rozwiązano partię Palikota".

CO MNIE WKURZA

Obietnice pana Trzaskowskiego



Katarzyna ***Łaniewska***

Minęło sto dni od objęcia prezydentury w Warszawie przez Rafała Trzaskowskiego. No i co? Gdzie się podziały jego przedwyborcze obietnice? Miał remontować stadion Skry w Warszawie, który jest w ruinie. Obiecywał, że wybuduje nie dwie linie metra, lecz trzy, a nawet cztery. Czekałam na pięć i sześć. Obiecał, że będą darmowe żłobki, a miasto będzie budować nowe przedszkola, bo to tak naprawdę jest przyszłość dzieci, a 500+ nie będzie potrzebne. Zapewniał też, że będzie wypłacał pieniądze na zajęcia dodatkowe dla najmłodszych. Będą też parkingi w Warszawie i park do wypoczynku. Naobiecywał na lata. Po wygranej przyznał się, że nie będzie tego realizował, bo miasto nie rozporządza takimi pieniędzmi. Winien jest więc rząd, że tego nie da się zrealizować.

Zmienił swoje plany i zaczął się zajmować ludźmi kochającymi inaczej. Zatroszczył się o nich do tego stopnia, że mają być budowane dla nich hostele, do szkół mają zostać wprowadzeni (i to już nie jest zabawne, ale bardzo szkodliwe) tzw. latarnicy. Mają oni sprawdzać, czy małe dzieci są właściwie instruowane, gdzie się dotykać, by im to sprawiało przyjemność, i mają być z nimi poruszane inne seksualne sprawy. Proszę państwa, to ma być serwowane dzieciom od czwartego roku życia! Czy babcie, dziadkowie i rodzice zrozumieli, co planuje prezydent Trzaskowski?!

No i oczywiście od zaraz zaczął zdejmować tablice z bohaterami naszej najnowszej historii oraz przywracać komunistów, morderców jako patronów ulic. Mało tego, tablice bohaterów, które mogłyby zostać przechowane przez ludzi dla lepszej przyszłości stolicy, mają być utylizowane! I tak ma wyglądać Warszawa – wizytówka Polski?! Może ci, którzy go wybrali, obudzą się i zobaczą, w kim pokładali swoje nadzieje.

PS Prezydent Trzaskowski martwi się, czy zdąży zdeprawować najmłodsze pokolenie warszawiaków, a nie martwi się, że ulice Warszawy toną w brudzie i od tygodni coś się dzieje ze śmieciami.

eprasa.pl 2c3010439d

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Konto w słoiku

Powiedzenie „masz to jak w banku" straciło sens



Ryszard Makowski

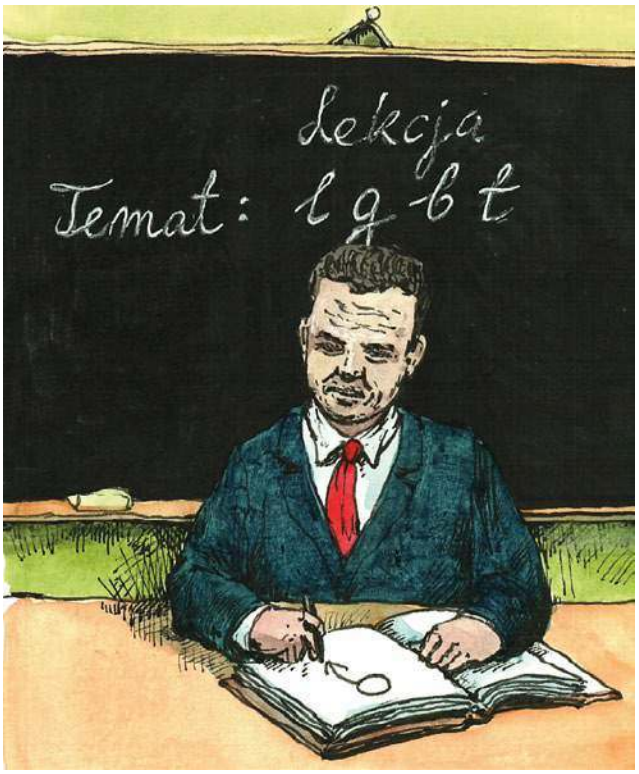
Rozwój technologii internetowych zrewolucjonizował napady na banki. Tylko nieudacznicy idą do placówki zamaskowani, z bronią lub jej imitacją, i wygłaszają wyświechtaną regułkę: „To jest napad!". Cywilizowani rabusie siedzą przy kompie, zarzucają hakerskie sieci i liczą spływającą gotówkę.

Mieszkanka powiatu kędzierzyńsko-kozielskiego dostała esemesa z informacją, że zalega za rachunek kwotę 1,47 zł. Ostrzeżono ją, że albo płaci, albo telefon zostanie zablokowany. Kobieta kliknęła w podany link do strony internetowej banku. Ma się rozumieć fałszywej. Podała login, hasło, uiściła, co miała, a po pewnym czasie się zorientowała, że z jej konta zniknęło 18 tys. zł. Zgłosiła to na policję. Policja zajęła się sprawą, ale nie ma żadnej gwarancji, że pieniądze uda się odzyskać. Czyli jak masz pieniądze w banku, to sobie ich pilnuj. Bo przecież co bank może na to poradzić, że istnieje fałszywa strona reprezentująca tę szacowną i godną zaufania instytucję?

Łatwo się domyślić, że włamania na strony bankowe są procederem powszechnym, ale utrzymywanym w tajemnicy. Banki odrabiają straty, udzielając klientom „korzystnych" kredytów. I interes się kręci. Szczytem troski o nasze pieniądze jest pojawiająca się w bankomatach ikona, żeby – wprowadzając PIN – zakrywać rękę drugą ręką. Superzabezpieczenia. Plastikowy pieniądz i wymóg posiadania rachunku bankowego to złudny postęp. Nie ma to jak słoik z zielonymi zakopany w ogródku. Byle pamiętać, gdzie się kopało.

eprasa.pl 2c3010439d

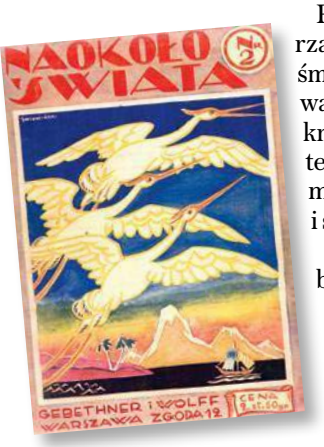
***Zawistowski prezentuje:* Edukacja**



Wycinki z przeszłości

Ta piękna ilustracja obok to okładka pisma „Naokoło Świata" z 1925 r. Ale tematem numeru było nie tylko piękno wiosny, lecz i piękno własnej, narodowej waluty. Polska właśnie pożegnała markę polską, zaczęła się era złotego polskiego. Redakcja nie ukrywała radości:

„Olbrzymiemi, siedmiomilowemi butami kroczy Polska ku świetlanej, pełnej chwały i potęgi przyszłości. Zapatrzeni w niziny życia, omotani nieszczęsnemi waśniami i partyjnemi porachunkami, nie zdajemy sobie sprawy, ile już dokonano rzeczy wielkich. Oto po odrodzeniu politycznem, po wyrąbaniu polską mocą, siłą polskiego ramienia granic ojczystych – jesteśmy świadkami odrodzenia gospodarczego i finansowego państwa polskiego. W oczach naszych ostatni obmierzły łącznik z epoką niewoli, z czasami najazdu pruskiego, to jest marka, dla krwawej ironji nazwana przez najeźdźców »polską«, ginie w otchłani niebytu.



Prawowity włodarz państwa polskiego, rząd, wydał na nią ostateczny wyrok śmierci. Państwo posiadło nareszcie własną walutę. Po wielu, wielu latach przesiąkłych krwią i łzami pokoleń – wkroczył z powrotem na widownię Złoty! Już mamy własną mennicę, zaraz ukażą się w obiegu złote i srebrne monety".

Własna polska waluta – w naszej historii był to zawsze symbol niepodległości.

(wu-ka)

Pamięci Michała Świdra... Malarza



Na żałobnych tablicach starożytności

Leszek *Długosz*

Ni skurczu, gestu gwałtownego
Nic –
Krzyk rozpaczy
Grom z jasnego nieba
Uplotu włosów, fałdów tuniki
Nic tu nie narusza

Ręka bezwładna tylko się osuwa
– Spełniony puchar
– Odsunięte krzesło
W przeciwną, niźli biesiadników
Niźli reszty świata –
W przeciwną stronę profil się odchyla
– Cieniu już jesteś odłączony.

Z nieprzeniknionym spojrzeniem
Oczu bez źrenic
W zbielałej ciszy marmuru
Starożytność
– Nienaznaczona grymasem bólu
– Bez ornamentu trupiej czaszki
Odchodzi przykładnie
Klasycznie niewzruszona

Przechodniu spojrzyj – sceny nie mąci
Afektacji skaza
Gadulstwo gminne: a d o k ą d t o?
A p o c o?...
Tu rzeźbiarz – ileż przed Hamletem
– Z tą samą wiedzą
Rozstania ukończywszy scenę
Dłuto odkłada
– Że reszta jest milczeniem
wiedząc
(Resztę – kunsztowi powierzając milczenia?)

Tu na żałobnych tablicach starożytności
Nieskazitelność proporcji
Linii doskonałość
Wytworna powściągliwość z obydwu
Emanuje światów
Harmonii nic tu nie zakłóca

Dogłębnie przyswojono tutaj
Tajemnicę złotego podziału
Życia i sztuki
– Śmierci i konwencji umierania.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 2c3010439d



OD A DO ZYBERTOWICZ

Sąd – władca słów?

Bez rozmowy, bez dialogu wielu ludzkich spraw nie zrozumiemy. Sądy nam w tym nie pomogą

„Paroles, paroles...” – śpiewali Dalida i Alain Delon. Utwór łatwo wpadający w ucho. Ale dziś „słowa, słowa” w całkiem inny sposób frapują moją głowę.

„GŁĘBOKA” PRAWDA

„[Do] dziś wielu obserwatorów i komentatorów okrągłego stołu nie uświadamia sobie, jak głęboka prawda była w komentarzu Andrzeja Gwiazdy po rozmowach okrągłego stołu, który powiedział, że podczas obrad okrągłego stołu władza podzieliła się władzą z własnymi agentami. I gdy uświadomimy sobie ten wymiar okrągłego stołu, to zupełnie inaczej obie strony powinny skonstruować swój wywód. I zabrakło mi tej świadomości historycznej”.

To fragment wypowiedzi mego męża w czasie niedawnej debaty oksfordzkiej zorganizowanej dla młodzieży w Pałacu Prezydenckim z okazji rocznicy obrad okrągłego stołu. Za tę wypowiedź, a właściwie rozmaite jej warianty żyjące swoim życiem (różnie zostały pojęte te trzy zdania – np. prof. Ryszard Bugaj zrozumiał, że uczestnicy strony „solidarnościowej” zostali przez Zybertowicza „wprost” nazwani agentami), grupa 37 osób wzywa męża do płatnych przeprosin i wysokiej wpłaty pieniężnej. Poczuli się dotknięci. Wezwanie dostępne jest w internecie.

Zresztą, czego w internecie nie ma. Ludzkie emocje, lęki, pragnienia. Zło ludzkie też. Jednak przede wszystkim są słowa. Słowa układające się w zdania. Albo zupełnie się nieukładające. Zdania przekazujące treść. Albo bez sensownej treści. Blogi, twittery, portale informacyjne i tropiące. Moc słów.

„DEPTANIE” KONSTYTUCJI

Zwróciła moją uwagę relacja (na portalu OKO.Press) z ubiegłorocznego wręczenia „newsweekowej” nagrody im. Teresy Torańskiej – laureatem została grupa prawników kojarzonych jako Inicjatywa #Wolne Sądy. Są wśród nich Michał Wawrykiewicz i Sylwia Gregorczyk-Abram, którzy występują w roli pełnomocników grupy 37.

Relacja z uroczystości cytuje facebookowy wpis mec. Jacka Dubois: „W lipcu zeszłego roku w kilku prawników zebraliśmy się pod Sejmem, by być świadkami historii, jak posłowie PiS i Kukiz ’15, depcząc konstytucję próbują zlikwidować niezależność sądów. Chciało nam się płakać, bo wraz z likwidacją niezawisłych sądów całe nasze zawodowe życie miało lec w gruzach. Byliśmy wkurzeni do granic możliwości i nie potrafiliśmy się z tym pogodzić. Uznaliśmy, że nie możemy być jedynie biernymi uczestnikami historii” (interpunkcja oryginału).

ZAMACH STANU?

Obecny rząd wprowadza wiele reform idących w poprzek interesów różnych środowisk. Chyba najtrudniejsza dotyczy wymiaru sprawiedliwości.

Pomyślałam: gdyby iść tropem rozumowania prof. Bugaja, to czy powyżej zacytowany mec. Dubois „wprost” nie zarzuca obecnej koalicji rządzącej zamachu stanu? Czyż bowiem „podeptanie” konstytucji nie ma „wprost” znamion takiego zamachu? Ale czy zarzucane jest to wszystkim posłom PiS i Kukiz ’15? A może tylko niektórym? Kto z PiS i Kukiz ’15 „podeptał” konstytucję? Czyż podeptanie symboliczne w przypadku aktu takiej rangi nie jest jeszcze poważniejsze niż naruszenie jakiegoś konkretnego zapisu?

Ileż tu możliwych interpretacji! Sytuacja podobna do wskazania, że w spostrzeżeniu Gwiazdy skrywa się „głęboka prawda”. Głęboka, czyli nieoczywista, skrywana, zawiła. Każdy doniosły proces historyczny ma swoje ukryte wymiary. Za kulisami ucierane są interesy i następuje podział wpływów.

BEZ PEŁNOMOCNIKÓW

Dwie wypowiedzi skrótowo opisujące ważne procesy społeczno-polityczne. Dwa sposoby wyrażenia także jakichś prawd emocjonalnych. Dwa społeczne procesy mające liczne, w tym głębiej ukryte konteksty, niektóre trudne do rozeznania.

Czy cytowany adwokat nie dotknął czegoś jeszcze? Ten silny emocjonalnie motyw, który często jest obecny po stronie totalnej opozycji „walczącej o wolność”: „całe nasze życie zawodowe miało lec w gruzach”. Wraz z uruchomieniem reformy gospodarczej w stylu Leszka Balcerowicza w gruzy legło życie setek tysięcy pracowników Państwowych Gospodarstw Rolnych. Oni nie znaleźli prawników, którzy byliby ich pełnomocnikami.

Bez rozmowy, bez dialogu wielu ludzkich spraw nie zrozumiemy. Sądy nam w tym nie pomogą.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | 46/0219/F

eprasa.pl 2c3010439d

WIOSENNE HITY

W POLSCE PL



PONIEDZIAŁEK, 17:30
Z torebki Jakubowskiej
Kobiecy punkt widzenia





WTOREK, 21:15
Debata specjalna
Wieczór wokół bieżących wydarzeń



ŚRODA, 10:05
Poranna rozmowa Marcina Fijołka
Najważniejszy polityczny wywiad dnia



CZWARTEK, 20:00
Wieczór z Piotrem Barełkowskim
Trudne tematy, kontrowersyjni goście



PIĄTEK, 11:20
Kolegium Wojciecha Biedronia
Gorąca dyskusja publicystów

WŁĄCZ TELEWIZJĘ W POLSCE PL

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

eprasa.pl/ 2c3010439d



DRAPIEŻNIKU DRAP i WYGRYWAJ

DRAPIEŻNICY KOCHAJĄ Zdrapki

eprasa.pl 2c3010439d